CZERWONA SZARAŃCZA ATAKUJE
Polska ludność cywilna stała się celem dla krasnoarmiejców

ZAGADKA GÖBEKLI TEPE
Odnaleziona w Turcji budowla wywróciła ustalenia historyków

500-LECIE HOŁDU PRUSKIEGO
Ostatni wielki mistrz krzyżacki ukląkł przed polskim królem i się ukorzył

NR 5(147)/2025 MAJ 2025

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

1945. Polska w potrzasku

KOSZMAR SOWIECKIEGO „WYZWOLENIA”

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Inwestuj w uczciwość! Kup akcje Do Rzeczy S.A.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Inflacja, podatki, tania energia – czas mówić prawdę o gospodarce.”



Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl a8150e68df

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, styczeń 1945 r.

Ruiny Klubu Wioślarskiego Syrena i zniszczony pomnik Syreny



FOT. WIKIPEDIA, MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO, EUGENIUSZ HANEMAN

Od redaktora



Piotr Włoczyk

„Wodki dawaj!"

Wróciliśmy z kościoła, miasto pogrążone było w ciszy. Patrzyłem przez okno na ulicę. Naraz widzę jakiegoś żołnierza w nieznanym mundurze. Szedł sam jeden. Szybko wyszliśmy popatrzeć na to nowe wojsko – wspominał pierwszą niedzielę po „wyzwoleniu" Chorzowa mój dziadek Stanisław. – To była hołota nieprzeciętna. Jechali furmankami i ryczeli tylko: „Wodki dawaj, wodki dawaj!". Wpadli do jednej restauracji i wychlali wszystko, podpalili też kino... Jeszcze wtedy ludzi nie napastowali, to się zaczęło później.

Rozmawialiśmy o końcu wojny w 2018 r., dziadek miał już 87 lat, ale obraz krasnoarmiejców wlewających się pod koniec stycznia 1945 r. do rodzinnego Chorzowa wciąż był bardzo żywy w jego pamięci.

– Masowo gwałcili kobiety. To było coś strasznego, te wrzaski... Plagą były też wówczas kradzieże zegarków. Interesowało ich tylko jedno hasło: „Czasy dawaj!". Widziałem jednego takiego idiotę – lewe i prawe przedramię miał całe w zegarkach. Ten strach przed Ruskimi trwał chyba miesiąc. Matki wtedy z domu nie wypuszczałem – opowiadał dziadek, który miał wówczas prawie 14 lat.

Co istotne, leżący na Górnym Śląsku Chorzów przed wojną należał do II RP. Faktycznie granica z III Rzeszą przebiegała tuż obok, ale jednak to była polska ziemia. Podobnie było właściwie w całym „wyzwalanym" kraju. O tym koszmarze, czyli zastąpieniu jednej okupacji drugą, opowiadamy w majowym numerze, akurat w 80. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej.

W niemal każdej polskiej rodzinie zachowały się pełne grozy opowieści o „wyzwoleniu" Polski przez ZSRS. Chciałbym zachęcić państwa do przesyłania do naszej redakcji takich rodzinnych relacji (wraz z danymi kontaktowymi). Najciekawsze z nich opublikujemy w jednym z kolejnych numerów „HDR". ©℗

eprasa.pl a8150e68df



/ TEMAT NUMERU

.6 TOMASZ ŁABUSZEWSKI
Polska w GUŁagu

.10 RADOSŁAW WOJTAS
Czerwona szarańcza

/ CZASY I LUDZIE

.14 MAREK GAŁĘZOWSKI
Największa zasługa Piłsudskiego

.18 SEBASTIAN REŃCA
Śmierć, która zatrzymała Polskę

.24 LESZEK LUBICKI
Hołd Matejki

.28 TOMASZ STAŃCZYK
Niemieckie książkobójstwo

.32 ANNA SZCZEPAŃSKA
Zagadka Göbekli Tepe

.36 JAKUB OSTROMĘCKI
Żelazny sąd

.40 MICHAŁ WÓJCIK
„Dorsz" po warszawsku

.44 PIOTR KITRASIEWICZ
Ambasador w sidłach Stalina

.48 SŁAWOMIR KOPER
Ladacznica na tronie

.52 PIOTR SEMKA
Królowa u Bieruta

.56 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Cud nad Dźwiną

.60 MIKOŁAJ IWANOW
Bałkarzy – naród ukarany

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Wszystko proste jak wiersze

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Wypadkowa przypadków

.71 PIOTR SEMKA
Amerykański totem

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 BEATA ZUBOWICZ
Festung Jersey

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Vis – polska „dziewiątka"

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Złoty standard

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Brudna wojna Izraela

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Z Armii Krajowej do NASA

eprasa.pl a8150e68df

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

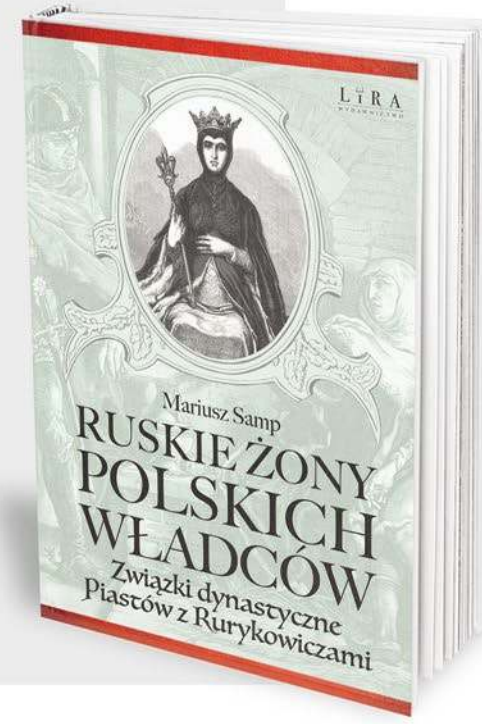
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA MARIUSZ SAMP: „RUSKIE ŻONY POLSKICH WŁADCÓW. ZWIĄZKI DYNASTYCZNE PIASTÓW Z RURYKOWICZAMI"

Ruskie żony polskich władców. Związki dynastyczne Piastów z Rurykowiczami

Począwszy od czasów Kazimierza Odnowiciela, wśród piastowskich małżonek najwięcej było kobiet pochodzących z Rusi Kijowskiej, co miało na celu sprzymierzenie się z Rurykowiczami. Większość małżeństw zawieranych na przestrzeni wieków przez polskich władców była bowiem mariażami politycznymi. Służyły one nawiązaniu lub umocnieniu sojuszu z innym państwem.

Jaką rolę odgrywały Rusinki u boku swych mężów? Co wiemy o ich codziennym życiu? Czy potrafiły się odnaleźć w świecie zdominowanym przez mężczyzn? Jak sprawdzały się jako matki i żony?

W swojej najnowszej książce dr Mariusz Samp szuka odpowiedzi na te pytania. Na podstawie dostępnych źródeł kreśli portrety kobiet – ruskich księżniczek, dla których los często nie był łaskawy. Niektóre z nich zapisały się w historii jako silne osobowości. Zapraszamy czytelników w kolejną podróż w odległe czasy średniowiecza!



162 zł

oszczędność 52 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a8150e68df



Sowieccy żołnierze, 1945 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Wywiad / Z dr. Tomaszem Łabuszewskim, historykiem z IPN

rozmawia Piotr Włoczyk

Polska w GUŁagu

PIOTR WŁOCZYK: Kto był głównym człowiekiem Stalina do spraw „wyzwalania" Polski?

DR TOMASZ ŁABUSZEWSKI: Generał Iwan Sierow 16 stycznia 1945 r. został mianowany na stanowisko pełnomocnika do spraw NKWD przy 1. Froncie Białoruskim. Jego głównym zadaniem było rozprawienie się z pozostałościami Polskiego Państwa Podziemnego (PPP), które przetrwały hekatombę powstania warszawskiego.

Sierow wywiązał się z tego zadania w sposób niezwykle skuteczny, czego przykładem była choćby tzw. operacja pruszkowska, w wyniku której w ręce Sowietów wpadli przywódcy PPP – m.in. Delegat Rządu na Kraj Stanisław Jankowski, pełniący formalnie funkcję wicepremiera rządu na uchodźstwie, uznawanego wówczas jeszcze przez wszystkie państwa poza Rosją sowiecką, ostatni komendant AK gen. Leopold Okulicki oraz przewodniczący Rady Jedności Narodowej Kazimierz Pużak. Zwróćmy uwagę, że w ten właśnie sposób oficjalne władze państwowe jednego koalicjanta sojuszu antyhitlerowskiego potraktowane zostały przez drugiego koalicjanta...

Historycy zajmujący się tamtym okresem dziejów Polski nie odmawiają Sierowowi jednego: profesjonalizmu.

Niewątpliwie Sierow znał się na swojej pracy, był w tym „fachu" wysokiej klasy specjalistą, ale miał też do pomocy dobrze dobrany zespół kompetentnych ludzi, znających się na eliminowaniu elit wrogich narodów i łamaniu wszelkiego oporu.

Według Moskwy Polska została w 1945 r. wyzwolona. Jednak patrząc na spis obozów, które Sowieci mieli wówczas do dyspozycji w Polsce, można odnieść wrażenie, że stworzyli tu Polakom coś na kształt małego GUŁagu.

Rzeczywiście, w latach 1944 i 1945 na terenie Polski Sowieci wprowadzili swego rodzaju mini-Archipelag GUŁag. Musimy pamiętać, że w tym systemie na zapleczu każdego z frontów działających na terenie obecnej Polski (1., 2. i 3. Frontu Białoruskiego oraz 1. Frontu Ukraińskiego) funkcjonowały trójstopniowe struktury obozowe.

Najbliżej frontu znajdowały się Punkty Przyjęć Jeńców (PPJ). To jednak dosyć mylna nazwa. W rzeczywistości kierowano tam nie tylko jeńców niemieckich, lecz także wszystkich tych Polaków, którzy ocenieni zostali przez Sowietów jako wrogowie systemu komunistycznego – czy to na zasadzie donosów miejscowych komunistów, czy też ustaleń własnego wywiadu.

Do PPJ kierowano ludzi schwytanych w wyniku obław, aresztowań, a także oczywiście jeńców. Następnym etapem były Zbiorcze Punkty Jenieckie (ZPJ), które komasowały ludzi już przefiltrowanych w PPJ. Znajdowały się one w odległości ok. 60–70 km za linią frontu. Centralnymi punktami dla działań represyjnych wojsk ochrony tyłów NKWD były Przyfrontowe Obozy Przesyłowe (POP). Jeżeli chodzi o Front Ukraiński, to takim POP-em był obóz nr 49 w Przemyślu. Dla 1. Frontu Białoruskiego były to obóz nr 173 w Brześciu i obóz nr 43 w Lublinie. Jeżeli chodzi o 2. Front Białoruski, to był to obóz nr 45 w Białymstoku, a dla 3. Frontu Białoruskiego – obóz nr 24 w Kownie. W miarę przesuwania się linii frontu obozy przesyłowe, podobnie jak PPJ i ZPJ, przesuwały się dalej na zachód. W ten sposób obóz nr 173 z Brześcia przeniesiony został później do Rembertowa, natomiast w drugiej połowie 1945 r. przesunięto go do Poznania.

Co się działo w tych obozach zakładanych na trasie „wyzwoleńczego" marszu przez Polskę?

Generalnie panujące tam standardy nie odbiegały od tego, co miało miejsce w niemieckich obozach dla jeńców sowieckich, czyli były dramatycznie złe. Cały ten trójstopniowy system obozów miał charakter tymczasowy, tzn. organizowano je nierzadko celowo w miejscach nieprzystosowanych do przetrzymywania więźniów, np. na odkrytych stadionach. PPJ często były zwykłymi dołami wykopanymi w ziemi, niekiedy tylko oszalowanymi deskami, zakrytymi drutami

eprasa.pl a8150e68df

kolczastymi. Przetrzymywano tam ludzi przez kilka, czasem nawet kilkanaście dni. Po czym je zostawiano i budowano nowe. Czas zaś „robił swoje" i do dzisiaj nie ma po nich śladu.

Ten system opierał się na transporcie kolejowym. Obozy w Białymstoku, Rembertowie, Lublinie, czy Przemyślu były tak usytuowane, by można było z nich jak najłatwiej wywozić aresztowanych Polaków do sowieckich łagrów. Z terenu tzw. Polski Lubelskiej, czyli obecnych terenów polskich zagarniętych w wyniku ofensywy z wiosny–lata 1944 r., wywieziono do końca roku ok. 50 tys. ludzi. Naturalnie część stanowili volksdeutsche, natomiast przeważali tu jednak żołnierze polskiego podziemia niepodległościowego.

Idąc przez Polskę z nową okupacją, pod względem eliminowania polskiego oporu Sowieci okazali się skuteczniejsi od Niemców.

Okręgi AK, które działały na terenie obecnej wschodniej Polski, doznały w ciągu tych kilku miesięcy drugiej połowy 1944 r. większych strat osobowych niż w okresie od 1939 r. do marca 1944 r.! To były uderzenia niezwykle bolesne. Niektóre struktury niepodległościowe wręcz się rozpadły – np. podokręg rzeszowski. Według raportu z grudnia 1944 r. sporządzonego przez dowodzącego nim ppłk. Łukasza Cieplińskiego zanotowano tam straty na poziomie 19 tys. aresztowanych, zabitych, wywiezionych do łagrów bądź też rozpoznanych i zmuszonych do ucieczki. Stanowiło to ok. 90 proc. stanu osobowego podokręgu! I niestety nie była to wyjątkowa sytuacja. Podobny los spotkał też Podokręg Wschodni Obszaru Warszawskiego AK, rozbity w wyniku operacji „Białowieża".



Iwan Sierow FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ENCYCLOPEDIA.MIL.RU

Już w maju 1944 r. gen. Iwan Gorbatiuk, dowódca wojsk NKWD ochrony tyłów, oraz Iwan Sierow, pełniący wówczas funkcję zastępcy Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych, wydali dyrektywę przestrzegającą przed tym, że na terenie Polski znajdują się formacje wrogo nastawione do ZSRS. Z kolei 31 lipca 1944 r. Stalin skierował do dowódców frontów działających na terenie Polski specjalny rozkaz, w którym wyraźnie określił, że poza organami PKWN nie należy uznawać żadnych innych organów władzy, w tym również agend polskiego rządu emigracyjnego w Londynie. Natomiast osoby podające się za przedstawicieli tego rządu należy traktować jako uzurpatorów i „awanturników". O jakim więc wyzwalaniu można tu mówić?

Czy w tym kontekście widać w zachowaniu Sowietów jakieś rozróżnienie na Polskę właściwą i ziemie odebrane Niemcom?

Moim zdaniem nie było tu jakiejś istotnej różnicy między terenami rdzennie polskimi a terenami niemieckimi przekazanymi Polsce, choć skala represji była różna i skierowana była wobec innych kategorii ludności. Na przykład Ślązaków z powodu wymuszonego na nich podpisywania list narodowościowych potraktowano właściwie jak Niemców. A to oznaczało potworne represje – ok. 60 tys. Ślązaków wywieziono w 1945 r. na wschód. Wielu z nich trafiło do Auschwitz i innych niemieckich obozów, które były następnie wykorzystywane przez Sowietów. Ślązacy byli potrzebni Moskwie w kopalniach Donbasu i w innych zagłębiach węglowych ZSRS. Państwo Stalina miało dzięki temu bardzo tanią siłę roboczą. Podobny wariant zastosowano wobec ludności zamieszkującej polskie (przedwojenne) Pomorze, skąd wywieziono kilkanaście tysięcy Polaków. O ile w drugiej połowie roku 1944 Sowieci przetransportowali na wschód ok. 50 tys. Polaków, o tyle w 1945 r. z terenów Polski Środkowej i Zachodniej (w rozumieniu granic zachodniej II RP) wywieziono ponad 100–150 tys. osób. To była gigantyczna skala represji.

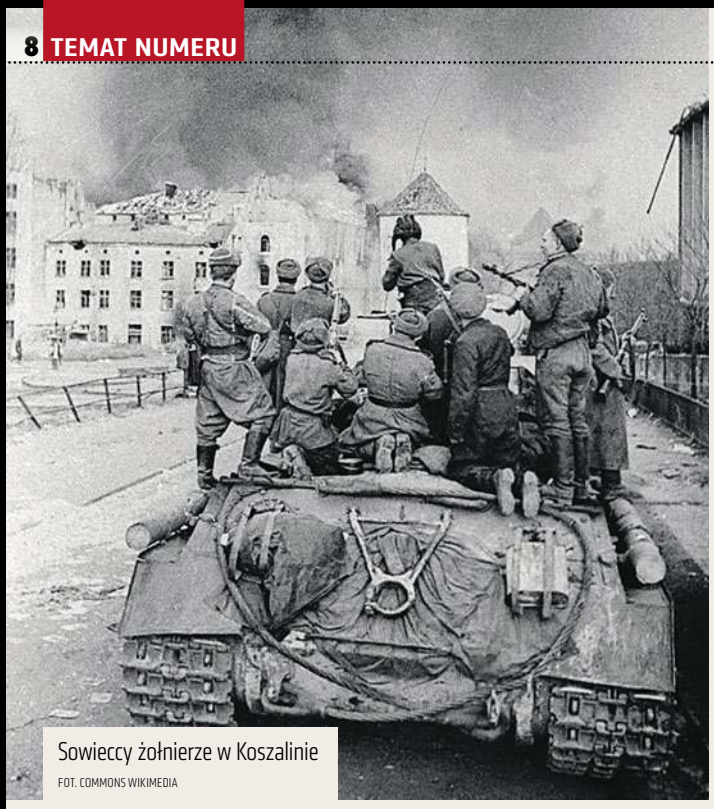
Na jakie siły mógł liczyć Sierow?

Przede wszystkim były to pododdziały 62., 63. i 64. dywizji wojsk NKWD, które późną wiosną 1945 r. liczyły ponad 30 tys. żołnierzy. Czyli były liczniejsze niż całość sił polowych wszystkich odłamów polskiej konspiracji niepodległościowej.

Te trzy dywizje były zbrojnym ramieniem Stalina do instalowania komunizmu w Polsce?

Bez nich komunistyczny zamach stanu, który trwał od 22 lipca 1944 r., nie miałby szans na powodzenie. Do zduszenia polskiego oporu były potrzebne ogromne siły. Pamiętajmy, że tuż po zakończeniu wojny na bazie 2. Frontu Białoruskiego utworzona została Północna Grupa Wojsk Armii Sowieckiej – licząca początkowo 500 tys. żołnierzy rozlokowanych w blisko 200 garnizonach. I to był ten zasadniczy element stabilizujący władzę komunistyczną w Polsce aż do 1993 r. Koronnym przykładem tego, do czego te oddziały były potrzebne, jest obława w Puszczy Augustowskiej. Między 10 a 21 lipca 1945 r. wojska 50. Armii 3. Frontu Białoruskiego zatrzymały 7,7 tys. ludzi. Po „przefiltrowaniu"

eprasa.pl a8150e68df



Sowieccy żołnierze w Koszalinie
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

ich minimum 562 osoby zostały gdzieś zamordowane. I wszystko to działo się na terytorium nominalnie niepodległego państwa polskiego...

... i do dziś nie wiadomo, gdzie te osoby spoczywają.

Niestety. Wiadomo tylko, że za egzekucje odpowiadały oddziały Smierszu 3. Frontu Białoruskiego.

To była największa pojedyncza zbrodnia sowiecka podczas „wyzwalania" Polski.

Tak, ale cały czas mieliśmy do czynienia z metodycznym eliminowaniem indywidualnych przeciwników komunizmu oraz walkami między podziemiem niepodległościowym a Sowietami i służącymi im polskimi kolaborantami, co jednak było dosyć kosztowne dla nowych okupantów.



Pomnik Ofiar Tragedii Górnośląskiej
FOT. URZĄD MIEJSKI W BYTOMIU, BYTOM.PL



Sowiecka ekipa rabunkowa w okolicach Legnicy FOT. FACEBOOK, BÓBR 1945

Choćby 7 maja 1945 r. pod Kuryłówką w starciu z Polakami zginęło kilkudziesięciu żołnierzy NKWD. 18 sierpnia 1945 r. pod Miodusami Pokrzywnymi enkawudziści ponieśli podobne straty.

Czym różniły się wspomniane przez pana trzy dywizje wojsk NKWD od innych sowieckich oddziałów?

To nie było zwykłe wojsko. Ci sołdaci byli lepiej wyszkoleni, umundurowani i wyposażeni. Dysponowali lepszymi środkami komunikacji i bronią – również pancerną. Najdłużej, bo aż do czerwca 1947 r., działała w Polsce 64. Zbiorcza Dywizja Wojsk Wewnętrznych NKWD. Jednostka ta, licząca ok. 10 tys. żołnierzy, do sierpnia 1946 r. aresztowała 50 tys. osób!

W bardzo wielu polskich rodzinach z pokolenia na pokolenie przekazywane są historie o bandytyzmie wiążącym się z „wyzwalaniem" Polski. Skala grabieży, gwałtów i mordów była tak duża, że nawet polscy komuniści skarżyli się do swoich mocodawców na sytuację w terenie, widząc, jak bardzo to zraża lokalną ludność do czerwonej władzy. Dlaczego więc Moskwa nie starała się hamować zapędów swoich sołdatów?

To był problem systemowy. Mimo specjalnych rozkazów, zapowiadających karanie śmierci żołnierzy złapanych na rabowaniu i gwałceniu, Sowieci realnie nawet poluzowali dyscyplinę.

Pochodną stosunku władz sowieckich do Polski był stosunek szeregowych żołnierzy do napotkanych Polaków. Jeżeli widzieli oni systemowy rabunek lub wręcz brali w nim udział, to sami wykorzystywali potem ludność cywilną. Stąd nagminne były kradzieże, morderstwa i gwałty. Przybrały one skalę plagi trudnej nawet do rzetelnego oszacowania.

Można się jednak zastanawiać, dlaczego Stalin, człowiek dosyć pragmatyczny, nie zadbał o to, by ludność cywilna w Polsce nie była wrogo nastawiona do nowych, czerwonych porządków.

Moim zdaniem to błędna optyka. Dla Stalina najważniejsze były rozbudowa imperium sowieckiego i czerpanie maksymalnych korzyści ze zwycięstwa nad Niemcami. Na każdej płaszczyźnie – zarówno politycznej, jak i gospodarczej. Masowe rabunki były próbą uzyskania szybkiej rekompensaty za zniszczenia dokonane przez Niemców. Celem było jak najszybsze odbudowanie infrastruktury przemysłowej w ZSRS.

Grabież fabryk ma pod tym kątem sens. Ale gwałty?

To był element zastraszania społeczeństwa. Dla prze-

eprasa.pl a8150e68df



ciętnego Polaka jasne było wówczas, że nie było to żadne wyzwolenie, tylko zamiana jednej okupacji na drugą. Stalin wiedział, dzięki działalności swojej agentury, że wpływy Polskiej Partii Robotniczej w polskim społeczeństwie oscylują w okolicach kilku procent. Co w takim razie pozostawało Kremlowi? Jedynie przetrącenie kręgosłupa temu zbuntowanemu społeczeństwu. Wszystko, co prowadziło do jego zastraszenia, czyli systemowe działania represyjne bądź też indywidualne przejawy bandytyzmu, takie jak gwałty, rabunki i morderstwa, mieściło się w katalogu użytecznych narzędzi. Stalin wiedział, że „po dobroci" nie weźmie Polski. W takiej sytuacji pozostawała mu tylko droga siłowego rozwiązania tej kwestii. Stosował ją od samego początku w sposób planowy i, niestety, skuteczny.

Rozkradanie przez Sowietów całego kraju może się wydawać procesem bardzo chaotycznym, ale przecież była to metodycznie zaplanowana operacja.

20 lutego 1945 r. Stalin wydał zarządzenie, które dawało zielone światło dla systemowych rabunków na terenie obecnej Polski i na ziemiach niemieckich przyłączanych do Polski. W grę wchodziło wszystko, co mogło być wykorzystywane do działań wojennych. Był to bardzo szeroki katalog… Sowieci utworzyli w Polsce specjalne oddziały nazywane „Trofiejnymi komandami", liczące ok. 80 tys. żołnierzy, które zajmowały się systemowym rabunkiem. Na terenie Polski zorganizowano również specjalne centra, gdzie zwożono zrabowany majątek. Utworzono je w Bytomiu, Gorzowie Wielkopolskim, Gdańsku i Elblągu. Co istotne, z rdzennie polskich terenów wywieziono wtedy więcej sprzętu niż z ziem niemieckich przyłączonych do Polski.

A zazwyczaj kojarzymy sowiecką grabież przede wszystkim z tzw. Ziemiami Odzyskanymi…

W tym pierwszym przypadku do ZSRS wywieziono urządzeń i materiałów na kwotę ok. 375 mln dol. Musielibyśmy to przemnożyć przez siedem, by uzyskać dzisiejszy odpowiednik tej kwoty. W sumie było to 36 tys. wagonów z urządzeniami i 37 tys. wagonów z różnymi materiałami. A skoro już mówimy o kolei, to Sowieci zdemontowali i zabrali ze sobą też 5,7 tys. km torów! Natomiast z terenów niemieckich przyznanych Polsce wywieźli oni mienie warte ok. 235 mln dol.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Tomasz Łabuszewski jest dyrektorem Oddziału Instytutu Pamięci Narodowej w Warszawie, znawcą historii polskiego podziemia niepodległościowego, autorem wielu prac na temat procesu instalowania komunizmu w Polsce.

REKLAMA



eprasa.pl a8150e68df



Żołnierze sowieccy, 1945 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Krasnoarmiejcy wobec cywili / Gwałty, grabieże i mordy

Czerwona szarańcza



Radosław Wojtas

Gwałcili nawet małe dzieci, rabowali zabiedzonych chłopów i byli w stanie zabić za szklankę wódki. Tak wyglądało „wyzwalanie" polskiej ludności cywilnej przez Armię Czerwoną

W nocy 25 VI br. o godz. 2-ej do mieszkania K. Wincentego w pow. krakowskim wtargnęło dwóch żołnierzy sowieckich, którzy dopuścili się gwałtu na 4-letniej dziewczynce, a potem zrabowali garderobę".

„Dnia 25 VI br. o godz. 2-ej dwaj nieznani osobnicy w mundurach wojsk radzieckich uzbrojeni w broń automatyczną zamordowali przez zastrzelenie B. Ludwika, córkę Helenę lat 3 oraz zgwałcili jego żonę B. Agnieszkę, poczem pobili ją, wybijając jej oczy. Osobnicy poza tym zrabowali garderobę i zbiegli".

„Dnia 3 VI [19]45 r. na powracających z Niemiec do wsi Wersale ob. Jakubowskiego wraz z żoną i sąsiadami napadło 4-ch jadących żołnierzy sowieckich, w tym Komendant Wojenny w Żydkowie. Ob. Jakubowskiego zamordowali w bestialski sposób (wykłuli oczy), ob. Raczydło pokroili nożem policzki, postrzelili i następnie powiesili. Po dokonanym morderstwie żołnierze zrabowali 3 konie, 3 wozy i odjechali w kierunku Gołdapi".

„W gminie Dynów zastrzelili żołnierze sow[ieccy] dwóch ludzi: Pieroga Antoniego z Harty, który stanął w obronie gwałcenia [gwałconej] swojej czternastoletniej córki przez Sowieta oraz Październy Julian z Ulanicy, który stanął w obronie dwóch kobiet gwałconych przez Sowieta".

„Lubaczów i powiat znajduje się w opłakanym stanie. Sow[ieci] tak długo go nie opuszczali i nie ustalili linii demarkacyjnej, dopóki zupełnie go nie ogołocili. Bolszewicy grabili i wywozili z powiatu wszystko, co się dało. Do gospodarstw zajeżdżały młockarnie i bez zgody gospodarza młócili zboże, zabierali wszystkie krowy, rozmontowywali maszyny w młynach, tartakach itd., kopali kartofle po polach, a nawet zdejmowali blaszane dachy z domów i wszystko to wywozili na wschód. Organy milicji polskiej stworzone w pierwszych dniach [po wkroczeniu Armii Czerwonej] rozbroili [...]. Wywożenie obejmuje nie tylko materiały. Sow[ieci] wywieźli wszystkich lekarzy – weterynarzy. Masę dziewcząt pobrano na roboty do Rosji. Lubaczów świeci dziś pustką".

Kryć się!

Tych kilka fragmentów z raportów, notatek i meldunków sporządzonych w czerwcu 1945 r. (pierwsze trzy) i w drugiej połowie 1944 r. (dwa ostatnie), oddaje kilka cech charakterystycznych zbrodni dokonywanych przez czerwonoarmistów na ludności cywilnej „oswobadzanych" ziem. Po pierwsze, rzuca się w oczy niesłychana brutalność. W niektórych przypadkach obrażenia głowy ofiar były tak rozległe, że badającym je po latach prokuratorom IPN trudno było ustalić, czy zostały zastrzelone

eprasa.pl a8150e68df



czy zmiażdżono im czaszki kolbami karabinów. Po drugie, bestialskie traktowanie kobiet i dziewczynek. Ofiarami brutalnych, często zbiorowych gwałtów padały już nawet kilkuletnie dziewczynki, choć bezpiecznie nie mogły się czuć nawet 80-latki. Po trzecie, grabieże wszystkiego – od siana ze strychu i kartofli wykopywanych z pól do złotych zębów oraz systemowego rozkradania Polski. Po czwarte, poczucie zupełniej bezkarności. I choć nie wynika to bezpośrednio z przytoczonych cytatów, to trzeba podkreślić: po piąte, wszystko to podlewane obficie wódką.

„Im bliżej jesteśmy zwycięstwa, tym bardziej powinniśmy być brutalni" – powiedział Stalin na jednej z odpraw z generałami. W wyścigu, którego metą był Berlin, nie liczyło się nic prócz tego, by to czerwona flaga z sierpem i młotem jako pierwsza załopotała na miejscu ściągniętej swastyki. Przemoc, gwałt i rabunek do ostatniej sztuki bielizny były elementem zemsty. Niestety, zezwierzęceni czerwonoarmiści granicę człowieczeństwa przekroczyli dużo wcześniej niż na przedwojennej rubieży III Rzeszy.

Doświadczali tego już na początku „wyzwolenia" mieszkańcy Rzeszowszczyzny. Armia Czerwona weszła na te tereny latem 1944 r., a do stycznia 1945 r. Rzeszowszczyzna stanowiła obszar przyfrontowy. „Mnożą się rabunki dokonywane przez wojsko sowieckie […]. Rabunki dokonywane są w różny sposób, po cichu, pod przemocą, z karabinem w ręku, pojedynczo i masowo" – meldował Kontrwywiad Inspektoratu AK Rzeszów. Delegat Rządu w Mielcu pisał: „Dotychczas ludność tak znienawidziła Rosjan, bardziej niż Niemców za ich grubiańskie obchodzenie się, po pierwsze kradną, co im się da, po drugie gwałcą kobiety. […] gospodarczo to wszystko wygląda tak, jak gdyby wszystko było własnością wszystkich, tak się przedstawia gospodarka za wielkich oswobodzicieli Rosjan".

Zubożała, wyczerpana wojną ludność traciła wszystko, co z trudem udało się zachować. „Bolszewicy wywożą, co się da, wobec czego starosta jest bezsilny. Sow[ieci] wywieźli wszystkie zboża z majątków i prawie cały kontyngent zbożowy plus 3600 m nadwyżki. Prawie wszystkie krowy i konie rozpłodowe wywieziono na wschód" – alarmowano w powiecie jarosławskim.

Śmierć za siano

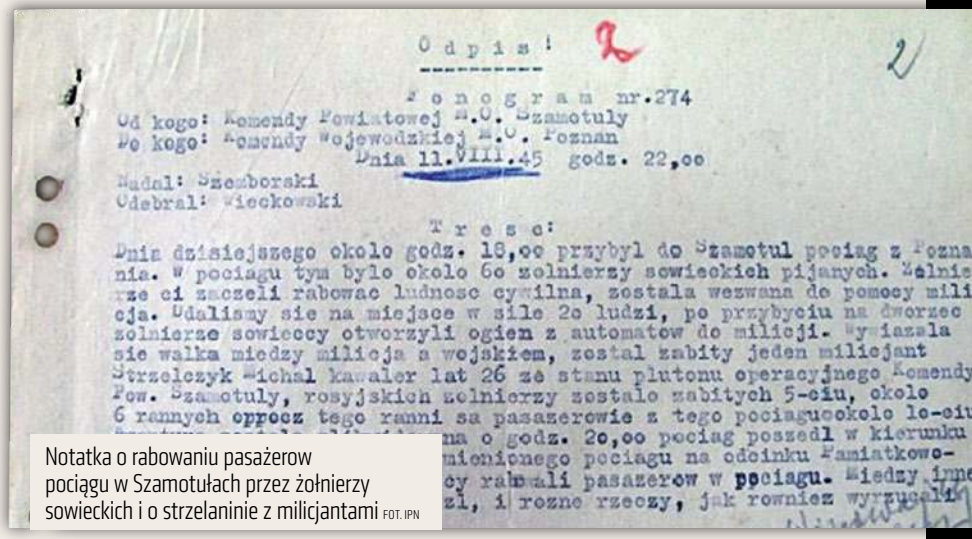
Sowieci byli jak szarańcza. Zabierali nie tylko to, co znaleźli w domach, stodołach i obejściach ludzi, lecz także to, czego Polacy nie zdążyli jeszcze zebrać z pól. Skala rabunków była tak duża, że Rzeszowszczyzna otarła się o głód. „Żołnierz sowiecki dalej niszczy i objada polską wieś. Bierze z pola produkty bez zezwolenia i zapłaty. Żąda dawania żywności i jedzenia, nie myśląc o płaceniu za nie. W razie odmowy grozi i wyrzuca, że skoro nas wyzwolą, to mu się żywność należy" – meldowała AK z okolic Rzeszowa.

Ci, którzy próbowali ratować resztki swojego dobytku, nie wiedzieli jeszcze, że dla „wyzwolicieli" życie ludzkie ma mniejszą wartość niż flaszka wódki, kura czy garść pszenicy. W oddalonej o 30 km na południowy wschód od Rzeszowa Błażowej Sowieci kradli ze strychów niewymłócone zboże i siano. Jeden z gospodarzy próbował bronić resztki siana, która mu została. Sowieci wyżej wycenili siano niż życie Polaka i zastrzelili go.

Mieszkanka pobliskiej wioski Nowy Borek być może oddałaby grzecznie wszystko to, czego zażyczył sobie czerwonoarmista, który odwiedził ją 3 września 1944 r., gdyby tylko mogła to uczynić. Jej gość miał wyraźnie sprecyzowane oczekiwania, ale pechowo trafił na niemajętną gospodynię. Sołdat miał bowiem chęć na masło i słoninę, których w tym domu akurat nie było, całkiem możliwe zresztą, że nie widziano ich pod tym dachem od miesięcy lub nawet lat. Najeźdźca doszedł do wniosku, że kobiecie należy się przykładne ukaranie. W swej wspaniałomyślności nie zabił jej na miejscu, za to wypalił z rakietnicy w jej stodółkę, która natychmiast stanęła w płomieniach. Podobnie jak dom kobieciny, a że tego dnia akurat dość mocno wiało, to z dymem poszły jeszcze dom i stodoła sąsiadów.

Opowieści o bestialstwie „wyzwolicieli" rozchodziły się lotem błyskawicy. Czy dotarły do Przyszowic, zanim 26 stycznia 1945 r. na przedpolach tej graniczącej z Gliwicami miejscowości „wyzwoliciele" starli się z dużo mniej licznymi oddziałami niemieckimi – bardzo możliwe, że tak. Możliwe też, że mieszkańcy znali obraz typowego Sowieta z niemieckich ulotek propagandowych. Wyobrażenie pijanego, brutalnego, brudnego, gwałcącego wszystko, co się rusza, dzikusa, które kreowała propaganda Goebbelsa, niewiele odbiegało od tego, z czym spotkała się ludność cywilna Przyszowic. Co istotne – po podziale regionu w 1922 r. między Polskę a Niemcy miejscowość ta była w granicach Rzeczypospolitej, a po 1939 r. wchłonęła ją III Rzesza

Sowieci zgotowali jej mieszkańcom prawdziwe piekło. 27 stycznia 1945 r. dręczyli miejscowych przez kilkanaście


Odpis!

Telegram nr.274
Od kogo: Komendy Powiatowej M.O. Szamotuły
Do kogo: Komendy Wojewodzkiej M.O. Poznan
Dnia 11.VIII.45 godz. 22,oo
Nadał: Szemborski
Odebrał: Wieckowski

Treść:
Dnia dzisiejszego okolo godz. 18,oo przybyl do Szamotul pociąg z Pozna
nia. W pociągu tym było okolo 6o żołnierzy sowieckich pijanych. Żołnie
rze ci zaczęli rabować ludność cywilna, została wezwana do pomocy mili
cja. Udaliśmy się na miejsce w sile 2o ludzi, po przybyciu na dworzec
żołnierze sowieccy otworzyli ogień z automatów do milicji. Wywiązała
się walka między milicją a wojskiem, został zabity jeden milicjant
Strzelczyk Michał kawaler lat 26 ze stanu plutonu operacyjnego Komendy
Pow. Szamotuły, rosyjskich żołnierzy zostało zabitych 5-ciu, okolo
6 rannych oprocz tego ranni są pasażerowie z tego pociągu okolo 1o-ciu
na o godz. 2o,oo pociąg poszedł w kierunku
mienionego pociągu na odcinku Pamiątkowo-
cy rabowali pasażerów w pociągu. Między inne
zi, i rozne rzeczy, jak rowniez wyrzucali

Notatka o rabowaniu pasażerów pociągu w Szamotułach przez żołnierzy sowieckich i o strzelaninie z milicjantami FOT. IPN

eprasa.pl a8150e68df

godzin. Mężczyzn, bez względu na wiek, mordowano. Także tych, którzy próbowali gasić pożary lub pomagać rannym. Strzelano ludziom w tył głowy, czaszka jednego z mężczyzn została zmiażdżona pod czołgową gąsienicą. Wśród 69 zabitych byli czterej więźniowie KL Auschwitz, którzy ledwie kilka dni wcześniej uciekli z „marszu śmierci". Najstarsza ofiara miała 78 lat, najmłodsza żyła na tym świecie tylko 10 dni. Większość dziewcząt i kobiet padła ofiarą brutalnych gwałtów. Duże były też straty materialne – spłonęło blisko 70 domów i budynków gospodarczych.

Bardzo dziki zachód

Kogo nie dosięgnęła czerwona fala zmierzająca w kierunku Berlina, ten mógł paść jej ofiarą, gdy cofała się na wschód. Żołdacy, którzy nie zdążyli się obłowić, mieli ku temu ostatnią szansę. Zdawali też sobie sprawę, że niebawem wrócą do swojego przedwojennego żywota – nędzy w zdegenerowanym społeczeństwie. Była to zatem ostatnia okazja, by się zabawić „na bogato".

Zwłaszcza na ziemiach świeżo przyłączonych do Polski jeszcze długo po wojnie żyło się jak na Dzikim Zachodzie. Każdy kontakt z podpitymi Sowietami był loterią, w której w najlepszym razie można było trafić pusty los i spokojnie odejść, a w najgorszym zostać ograbionym, pobitym, zgwałconym lub zabitym.

Marian Dumny z Ostródy wielokrotnie wyciągał pusty los, ale 15 stycznia 1946 r. szczęście się do niego nie uśmiechnęło. Zresztą nie próbował mu pomóc, decydując się na dokonanie zakupów w sklepiku, pod którym libację urządziło sobie kilkunastu Sowietów. Gdy stracił zawartość kieszeni, po sprawiedliwość wrócił w towarzystwie trzech funkcjonariuszy Służby Ochrony Kolei.

Dalej wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Sowieci zarepetowali broń, sokiści uciekli, ich dowódca Stanisław Dudczak został schwytany i ciężko pobity. Na widok kolejnego polskiego patrolu Sowieci zrobili z broni użytek i ostrzeliwując się, uciekli w kierunku budynku Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Polacy zebrali dość silną grupę (żołnierzy, sokistów, ubeków i milicjantów) i wypłoszyli Sowietów z kryjówki. W pościg za nimi ruszyli sokista Czesław Kafarski i kapral Wojska Polskiego Michał Ludwicki. Zostali jednak pojmani, rozbrojeni i rozstrzelani.

Gdy Polacy odkryli ich ciała, wzburzenie sięgnęło zenitu. Zaczęła się łapanka na Sowietów wokół dworca. Dwóch, którzy próbowali uciec, zastrzelono. Kolejnych trzech rozstrzelano, gdy do Polaków dotarły plotki o zbliżającej się rosyjskiej odsieczy. Ta nigdy jednak nie nadeszła. Bilans tej nocy: dwóch zabitych po stronie polskiej i pięciu po stronie sowieckiej.

Sprzedana żona

Dworce kolejowe na „polskim dzikim zachodzie" lat 40. XX w. były niebezpiecznymi miejscami. Ten w Lesznie także wiele widział, m.in. starcie oddziału LWP z żołnierzami Armii Czerwonej. I tym razem kamyk, który poruszył lawinę, był niepozorny. W tym wypadku był nim krawiec Feliks Lis, który 27 maja 1947 r. jechał pociągiem z Poznania do Lipna Nowego. Usiadł w przedziale, w którym podróżowało kilku czerwonoarmistów oraz Polka.



Demontaż pomnika wdzięczności dla Armii Sowieckiej w Sanoku, 2016 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SILAR

Kobieta zaczęła dyskretnie opowiadać zaskoczonemu krawcowi swoją dramatyczną historię.

Zofia Rojuk została wysiedlona z Baranowicz. Jej mąż sprzedał ją (wraz z dzieckiem) sołdatom za butelkę wódki. Ci uznali, że dziecko do niczego im się nie przyda, porzucili je więc na stacji, a kobietę wieźli do swojej jednostki.

Feliks Lis opowiedział tę historię obsłudze pociągu i dyżurnemu ruchu na stacji w Poznaniu. Rozpoczęły się negocjacje, ale ani konduktorom, ani funkcjonariuszom SOK nie udało się przekonać Rosjan do uwolnienia nieszczęsnej kobiety. Pociąg jechał dalej, zaalarmowano zatem stację w Lesznie, na którą skład dotarł po północy 28 maja. Tam interweniować próbował dyżurny milicjant, kpr. Zygmunt Handke, ale gdy zobaczył wylot lufy przed twarzą i usłyszał: „Uchodzi, Poliaki, bo was pozastrzelam, jobane w rot", zorientował się, że żadnych negocjacji nie będzie. Zawiadomił zatem oddział alarmowy leszczyńskiego garnizonu Wojska Polskiego.

„Poliaki" pojawili się na dworcu w sile jednego plutonu. Tyle wiemy na pewno, bo zeznania co do dalszych wypadków różnią się od siebie. Mało prawdopodobna jest wersja Sowietów, że polscy żołnierze ostrzelali ich podczas snu. Najprawdopodobniej było tak: polscy żołnierze stanęli na drodze kilku krasnoarmiejców, którzy próbowali opuścić teren dworca. Komuś puściły nerwy, wywiązała się strzelanina (według świadków pierwsi po broń sięgnęli Sowieci). Nasi byli jednak lepiej wyszkoleni. Szeregowy Michajłow zginął na miejscu, a mjr Kudriawcew i kpt. Nikołaj Wachnij odnieśli bardzo poważne rany i niebawem zmarli. Kolejnych pięciu Sowietów odniosło lżejsze obrażenia. Prawdopodobnie żaden z żołnierzy polskich nie został ranny.

A co z nieszczęsną kobietą sprzedaną za flaszkę wódki? Wiele jest w jej historii znaków zapytania. Lata później jej córka, Wanda, otrzymała list z Ukrainy. Zofia Rojuk tłumaczyła, że po wydarzeniach w Lesznie wywieziono ją w głąb ZSRS. Nie wolno jej było stamtąd wyjeżdżać ani pisać listów. Dopiero po odbyciu kary przeniosła się na teren Ukrainy. Dalej na zachód pojechać nie mogła, ale zapraszała córkę do siebie...

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8150e68df

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl a8150e68df

XX w. / „Albo swoje zrobię, albo zginę”

Największa zasługa Piłsudskiego



Oddział strzelców wkracza do Zakopanego, 1913 r., FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA



Marek Gałęzowski

Nie chciał biernie czekać, aż któryś z zaborców zdecyduje za Polaków o Polakach. Wiedział, że większość społeczeństwa polskiego nie myśli o odzyskaniu niepodległości, ale nie godził się z tym

Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz! – ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nieniewolniczą [...]. Chcę zwyciężyć, a bez walki i to walki na ostre, jestem nie zapaśnikiem nawet, ale wprost bydlęciem, okładanym kijem czy nahajką. Nie rozpacz, nie poświęcenie mną kieruje, a chęć zwyciężenia i przygotowania zwycięstwa [...]. Tę ideę chciałem przeprowadzić w swojej działalności ostatnich lat i przyrzekłem sobie, że albo swoje zrobię, albo zginę”.

Tak pisał Józef Piłsudski przed wyruszeniem na akcję w Bezdanach w osobistym, uderzającym szczerością liście do jednego z towarzyszy z PPS, Feliksa Perla. Kreślił w ten sposób ideę walki zbrojnej o niepodległość Polski. Jego determinacja wyrażona ostatnim zdaniem listu nie była frazesem. Jeden z najbliższych Piłsudskiemu ludzi, Kazimierz Sosnkowski, jeszcze po wielu latach wspominał rozmowę przeprowadzoną w czasie przygotowań do ekspropriacji bezdańskiej: „Mówił mi, że zdecydował się zakończyć epopeję Org. Bojowej [PPS] ostatnią grą, w której albo zginie sam, albo zwycięży, by rozpocząć nowy okres walki, bez którego wedle jego zdania żyć nie było warto”.

Dwa grosze i dwie krople krwi

Głównym problem, z którym przyszło mierzyć się zwolennikom irredenty polskiej, jak przed pierwszą wojną światową nazywano ideę niepodległościową, była obojętność, czasem podszyta szyderstwem, ze strony znacznej części społeczeństwa polskiego. Ich sytuacja była znacznie trudniejsza niż w dobie powstania 1863 r. Wtedy walka wyrażała wolę znacznej części tego odłamu społeczeństwa, który myślał i czuł po polsku. Mimo niekorzystnej sytuacji międzynarodowej stworzono państwo podziemne i liczne oddziały partyzanckie, które biły się z regularną armią rosyjską przez blisko półtora roku, niejednokrotnie odnosząc błyskotliwe sukcesy.

W pierwszych latach XX w. świadomość narodowa społeczeństwa polskiego obejmowała wprawdzie znacznie

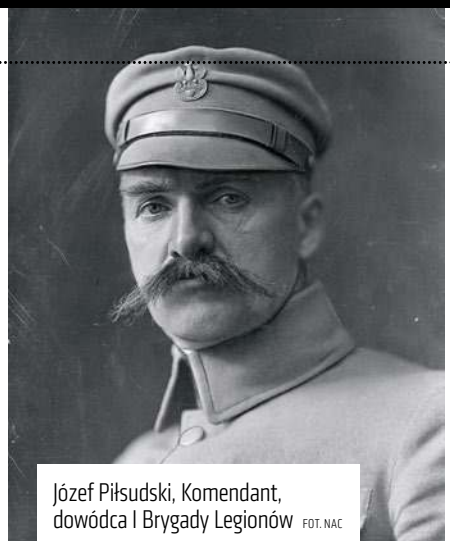
eprasa.pl a8150e68df

większą jego część niż w czasie powstania styczniowego, rozciągając się na chłopów, w 1863 r. w przytłaczającej większości obojętnych na sprawę narodową. Jednak wiara w odzyskanie niepodległości była daleko mniejsza. Jakkolwiek poczuwano się do silnych więzi z rodakami pod innymi zaborami, to jednak nie podnoszono hasła niepodległości państwowej, tak jak czyniło to pokolenie Wielkiej Emigracji czy powstania styczniowego. Przeważająca większość Polaków traktowała zbliżającą się pierwszą wojnę światową jako kolejny konflikt między mocarstwami, uznając, że należy się zachować biernie i liczyć na polepszenie sytuacji w poszczególnych państwach zaborczych – z woli tychże państw, nie zaś na skutek własnego czynu.

Piłsudski zdawał sobie sprawę z braku wiary w hasła irredentystyczne. Po wybuchu wojny mówił, że ci, którzy poszli za nim do Legionów Polskich bić się o niepodległość, „porywali się z motyką na słońce, dmuchali przeciw wichurze nieufności, pogardy dla tych, co się ważą na takie szalone czyny". Tej nieufności przeciwstawiał przekonanie, że jeżeli Polacy chcą mieć wpływ na swój los, to w wojnie między zaborcami muszą wystąpić z własną siłą zbrojną, i konsekwentnie wprowadzał je w życie, kierując polską szablę najpierw przeciw Rosji, a później przeciw państwom centralnym, po których stronie w początku Wielkiej Wojny stanęły utworzone w 1914 r. Legiony.

Niezależnie od zanotowanej przez Władysława Studnickiego gorzkiej konstatacji Piłsudskiego, że Polacy „pragnęliby, żeby ta niepodległość kosztowała dwa grosze wydatków i dwie krople krwi", w 1915 r. tak wyjaśniał swoje uparte dążenie do stworzenia siły zbrojnej: „Nie chciałem pozwolić, by w czasie, gdy na żywym ciele naszej ojczyzny miano wyrąbać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przy tym brakowało [...], zabrakło szabli polskiej".

W ten sposób przeciwstawiał się bierności Polaków w sprawie ich dotyczącej i wspomnianemu przekonaniu o charakterze wojny między zaborcami. Jak przenikliwie zauważył Michał Sokolnicki: „Piłsudski wyznawał w tej sytuacji pogląd diametralnie przeciwny. Największym nieszczęściem narodu, górującym nad wszystkim innym, była niewola, brak samodzielności i brak własnego państwa. Najgroźniejszym niebezpieczeństwem dla narodu było dalsze trwanie stanu niewoli, mogące się przyczynić do osłabienia nadal poczucia samodzielności i poczucia honoru w społeczeństwie. W tych warunkach wojna, wraz z ofiarami od niej nieodłącznymi, była czynnikiem może jedynym – gdy zawiódł socjalizm międzynarodowy – zdolnym przełamać zastój, Polskę zbudzić".



Józef Piłsudski, Komendant, dowódca I Brygady Legionów FOT. NAC

Siła samodzielna

Rola przyszłego Naczelnika Państwa w budowie polskiego ruchu wojskowego przed pierwszą wojną światową była decydująca. Studnicki uważał, że „potrzeba było uporczywej woli Piłsudskiego, jego uroku osobistego, jego wpływu w PPS, jego zajęcia się studiami militarnymi, aby organizację militarną rozwijać, nadać jej powagę".

W innym miejscu podkreślał, że „żaden z adeptów początków naszego polskiego militaryzmu nie mógłby przezwyciężyć tarcia otoczenia, przesądów pochodzących z nieznajomości rzeczy. Piłsudski nie dyskutował, ale robił i swym adherentom rozkazywał". Konsekwentnie prowadził prace nad budowę polskich kadr wojskowych mimo świadomości, że „pojęcie o żołnierzu zostało wyrzucone tak gruntownie z pamięci i myśli polskiej, że nie znam na całym świecie społeczeństwa, które by tak cywilnym było, jak jest nim społeczeństwo polskie".

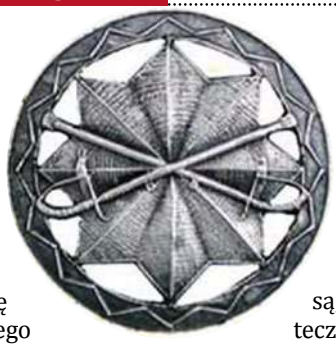
W swoich działaniach Piłsudski nawiązywał do powstania 1863 r., ale w przywiązaniu do jego tradycji nie był bezkrytyczny, świadom popełnionych wówczas błędów. Wiedział, że do walki trzeba się przygotować. „Od biernego znoszenia nahajek do powstania zbrojnego leży duża przestrzeń i ta musi być wypełniona formami przejściowymi [...]. Uzbrajanie narodu i wdrożenie go do obchodzenia się bronią są to etapy prowadzące do samodzielności" – mówił Studnickiemu. Tą formą przejściową była organizacja ruchu strzeleckiego w zaborze austriackim. Z niego miało powstać Wojsko Polskie, a nie improwizowane partie powstańcze. W hierarchii celów to właśnie stworzenie wojska było priorytetem, a nie rozpoczęcie powstania. Innymi słowy, wojsko miało poprzedzić insurekcję, a nie insurekcja wojsko, jak w 1863 r.



Pierwszy numer pisma „Strzelec", kwiecień 1914 r. FOT. OLD.MBC.MALOPOLSKA.PL

W lutym 1914 r., podczas odczytu w Sali Towarzystwa Geograficznego w Paryżu, w obecności weteranów powstania styczniowego oraz Władysława Mickiewicza, syna wielkiego Adama, Piłsudski stwierdził publicznie, że jeżeli Polacy chcą mieć wpływ na swój los w nadchodzącej wojnie, to muszą stworzyć własną siłę militarną. Stawiał na państwa centralne, lecz – jak stwierdzał Jerzy Łojek – „rzecz jasna nie chodziło tu o współpracę z państwami niemieckimi jako takimi, z Austrią i sprzymierzoną z nią Rzeszą Niemiecką. Szło o czynną współpracę z jakimikolwiek

eprasa.pl a8150e68df



„Parasol". Odznaka dla absolwentów kursu oficerskiego ZWC

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, AMERICCAN 1990

państwami, które rozpoczną działania wojenne przeciwko Rosji, bo z tego jedynie – z tej koncepcji – wyłonić się mogła polska niepodległość. Stąd wywodziła się idea Legionów, idea własnego czynu zbrojnego w momencie powszechnego konfliktu w Europie".

Czy rzeczywiście w czasie tego odczytu został skreślony przez Piłsudskiego scenariusz wydarzeń, wedle którego w pierwszej fazie przyszłej wojny Niemcy i Austro-Węgry pobiją Rosję, w drugiej zaś zostaną pokonane przez Anglię i Francję, jak podał w swojej relacji rosyjski socjalista Wiktor Czernow, a o którym nie wspominał obecny na odczycie agent carskiej ochrany? Na takie postawienie sprawy wskazuje wcześniejsza wypowiedź Piłsudskiego. Otóż na pytanie zadane przez publicystę narodowodemokratycznego Józefa Hłaskę rok przed odczytem paryskim, czy „wysługiwać się Austrii z perspektywą, że cała korzyść przypadnie Niemcom, które, jak sam Pan przyznawał, są naszymi zdecydowanymi wrogami" Piłsudski – niezrażony napastliwością rozmówcy – odpowiedział: „Niekoniecznie. Wystąpimy jako siła samodzielna, która przy likwidowaniu wojny, w czasie, kiedy strony wojujące będą znużone i wyczerpane, zaważyć będzie mogła na szali".

Pewne jest więc, że Piłsudski brał pod uwagę taki przebieg wydarzeń jako realny i rację miał Andrzej Kijowski, pisząc, że wśród polskich polityków „tylko Piłsudski był konsekwentny, rachując na klęskę wszystkich trzech [zaborców]".

Polityka to nie matematyka

Tym, co jednak umożliwiło taką wnikliwość i elastyczność polityczną, było konsekwentne przekonanie, któremu Piłsudski dał wyraz już w 1904 r.: „Polityka nie jest matematyką. Obliczyć i przewidzieć wszystkiego niepodobna. Ale dopóki społeczeństwo jest bierne, spodziewa się wszystkiego od wypadków, od innych, tylko nie od siebie – nic nie nastąpi". Jak i to, że „każdy czyn jest ryzykiem. Szanse są, wszystko jednak ostatecznie od samych Polaków zależeć będzie".

Przeciwny koncepcji Piłsudskiego obóz narodowodemokratyczny w zbliżającym się konflikcie zdecydował się poprzeć sojusz Francji i Rosji, do którego po wybuchu wojny dołączyła Wielka Brytania. Wyrazem jego stanowiska była deklaracja posła do parlamentu rosyjskiego Wiktora Jarońskiego, złożona w Dumie 8 sierpnia 1914 r., o której w niepodległej Polsce Roman Dmowski pisał, że „nigdy w życiu żaden nasz krok polityczny tak mię nie ucieszył".

Ogłaszając w imieniu Koła Polskiego deklarację lojalności wobec Rosji i nie stawiając w niej żadnych postulatów politycznych, Jaroński kończył swoją notę znamiennymi słowy – „oby krew przez nas przelana i okropności bratobójczej dla nas wojny przyniosły połączenie rozdartego na trzy części narodu polskiego".

To „oby" uzależniało jednak los Polaków od kaprysu politycznego zaborcy rosyjskiego. Narodowcy zapomnieli o słowach założyciela Ligi Polskiej, płk. Zygmunta Miłkowskiego, który w ciężkich czasach niewoli końca lat 80. XIX w. rzucił hasło obrony czynnej, dobitnie stwierdzając, że „obrona czynna polega nie na powstaniu, ale też i nie na zarzekaniu się powstania". Zapomnieli o poglądach, które sformułowali najwięksi spośród nich, żeby wspomnieć tylko słowa Zygmunta Balickiego – że „prawo do bytu niepodległego przysługuje tylko narodom o silnej indywidualności, umiejącym o ten byt walczyć i zwyciężać".

Czy zresztą życzenie Jarońskiego wyrażone nawet w tak oględnej formie miało jakąkolwiek szansę na realizację? Pomijając już, że nie było żadnej pewności, iż Rosja zwycięży w tej wojnie, sprawa polska nie była źródłem jej konfliktu z Niemcami. Zjednoczenie ziem polskich, na co liczyli Dmowski i jego obóz polityczny, nie było jej celem wojennym i nie było żadnej przesłanki, która kazałaby wierzyć, że takim celem się stanie. Zmienne koleje wojny mogły równie dobrze doprowadzić do kompromisu, ale kosztem Polaków, do nowego podziału ziem polskich zamiast zjednoczenia.

Podobnie dotychczasowa polityka rosyjska wobec społeczeństwa polskiego nie wskazywała na to, że w wypadku zwycięstwa Rosji zostanie spełniona obietnica zawarta w wydanej krótko po deklaracji Jarońskiego odezwie do Polaków wodza armii rosyjskiej, wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza. Jedynie mgliście zapowiadał nadanie im swobody w języku, wierze religijnej i samorządzie, celowo nie używając słowa „autonomia". Zmiany te wprowadzono by tylko w granicach Królestwa Polskiego. Ale bez Chełmszczyzny, dwa lata przed wybuchem wojny przekształconej w gubernię chełmską pod zwierzchnictwem generała-gubernatora kijowskiego, którą natychmiast zaczęto intensywnie rusyfikować.

Wielki książę nie był jednak władny zrealizować tej obietnicy i nieprzypadkowo też to właśnie on ją wyraził, a nie car czy parlament rosyjski. Jego odezwa nie dawała żadnej gwarancji, że po zwycięskiej wojnie zamiast zapowiadanej swobody w wierze, języku i samorządzie nie rozpocznie się nowy etap rusyfikacji. Z dotychczasowej praktyki wynikało bowiem, że – jak twierdził Jan Kucharzewski – „Polska może być wyzwolona od Rosji tylko wbrew rządowi carskiemu, wbrew liberałom, radykałom, rewolucjonistom rosyjskim – przez huragan dziejowy i własną siłę". Tak więc budowany na wierze w dobrą wolę Rosji realizm polityczny Narodowej Demokracji miał podstawę co najmniej bardzo wątpliwą.

Jak się wydaje, zasadnicza różnica między polityką Piłsudskiego a Dmowskiego tkwiła nie tyle w określeniu tego, co jest realne, a co nie, ile w kalkulacji, który z zaborców bardziej zagraża bytowi narodowemu. Według analiz Dmowskiego bardziej niebezpieczne były Niemcy, dominujące w bloku państw centralnych. Piłsudski uważał zaś, że Niemcy swoimi działaniami raczej mobilizowali aktywność narodową Polaków, podczas gdy Rosja władająca większym niż Niemcy obszarem ziem dawnej Rzeczypospolitej „wchłaniała nas", by użyć późniejszego określenia Adolfa Bocheńskiego.

Po odzyskaniu niepodległości Marszałek powiedział, że „nie mogliśmy

eprasa.pl a8150e68df



Strzelcy Piłsudskiego w Oleandrach, sierpień 1914 r. FOT. NAC

w żaden sposób uwierzyć autonomicznym obietnicom Rosji. Rosja obiecuje, gdy jest do tego zmuszona, i nie dotrzymuje swych obietnic z chwilą, gdy ma po temu siłę". Zapytany zaś o los Polski, gdyby ententa przegrała wojnę, odpowiedział, że „Polska miałaby więcej swobody pod Niemcami i Austriakami, niż jej miała pod panowaniem rosyjskim". Na taki pogląd Piłsudskiego wpływały osobiste doświadczenia – inaczej wyglądało panowanie rosyjskie w Warszawie, w której dorastał Dmowski, inaczej na Wileńszczyźnie, skąd pochodził Piłsudski. Znakomicie dostrzegł to Bohdan Cywiński, a sformułowane przez niego pojęcie „karczowania polskości" najlepiej oddaje tę rzeczywistość polityczną, w której znaleźli się Polacy na ziemiach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Nawet jednak jeżeli przyjmiemy, że Piłsudski lekceważył zagrożenie niemieckie, Dmowski nie doceniał rosyjskiego, krytyczne uwagi na temat swojej polityki zbywając irytacją i zamykającym usta przeciwnikom politycznym stwierdzeniem, że nie są realistami, co nie mogło wystarczyć za przekonujący argument. Zagrożenie ze strony Rosji dostrzegali nie tylko Piłsudski i jego zwolennicy, lecz także niemała grupa działaczy narodowych młodszego pokolenia, skupionych w Związku Młodzieży Polskiej „Zet", czy pisarzy politycznych związanych z tym nurtem. Kilka lat przed wojną, nie aprobując zbyt lojalistycznego kursu politycznego ruchu narodowego, zerwali z nim. A byli to ludzie tej miary co wspomniany już Jan Kucharzewski czy inny znakomity znawca Rosji Tadeusz Grużewski, zaprzyjaźniony z Dmowskim. Ten ostatni jeszcze w 1902 r. pisał na łamach „Przeglądu Wszechpolskiego": „Musimy raz wreszcie zrozumieć, że rząd rosyjski żywiołowo i świadomie dąży do tego, aby nam odebrać zasadnicze cechy społeczeństwa cywilizowanego [...]. Nie potrzeba mu, abyśmy się stawali zaraz Moskalami, ale abyśmy zapomnieli, żeśmy wielkim historycznym narodem, że mamy własną bogatą literaturę, własną kulturę i świadomość wyższą ponad plemienną".

Wydaje się, że narodowcy, zacietrzewiając się w zwalczaniu obozu irredentystycznego, w czym szczególnie celowała ich „Gazeta Warszawska", czyniąc to często w obelżywej formie do ostatniego dnia pobytu Moskali na ziemiach polskich, nie dostrzegali demoralizującego charakteru swoich ataków. Służyły one uzasadnieniu konformizmu, potępianego wszak przez Dmowskiego w „Myślach nowoczesnego Polaka". Takie stanowisko ruchu narodowego wobec idei niepodległościowej przynosiło skutki, z których jego przywódcy zapewne nie do końca zdawali sobie sprawę. Zwalczając ją, politycy i publicyści tego obozu sięgnęli po bardzo niebezpieczne środki – ośmieszając ideę niepodległości Polski. Drwiąc z niej, realizmem usprawiedliwiali pogodzenie się z niewolą z jednej strony, z drugiej zaś szerzyli demoralizujące przekonanie, jakoby idea ta była nonsensem. Był to objaw znakomicie zdiagnozowany przez Grużewskiego: „Trzeba nareszcie zrozumieć fakt, że długa niewola stwarza w swych ofiarach patologiczną ideologię i że głównymi rysami niewolniczej psychologii są niezdolność do samodzielnego czynu i głęboka obłuda wewnętrzna".

Honor żołnierski

Piłsudski nie chciał czekać, aż któryś z zaborców zdecyduje za Polaków o Polakach. Zdawał sobie sprawę, że większość społeczeństwa polskiego nie myśli o odzyskaniu niepodległości, ale w odróżnieniu od przywódców przeciwnego obozu nie godził się z tym. Rzucając tej większości wyzwanie, stawiał cel maksymalistyczny – odzyskanie niepodległego państwa. Za najważniejsze uważał stworzenie własnej siły zbrojnej. Narodowcy nie brali tego pod uwagę – dopiero po wybuchu wojny usiłowali utworzyć oddziały walczące po stronie Rosji pod własnym sztandarem. Zakończyło się to upokarzającą klęską, gdyż Rosjanie życzyli sobie tylko Polaków walczących w rosyjskich mundurach.

Piłsudski myślał i postępował inaczej „niż nasi rodacy", których większość – jak mówił adiutantowi Bolesławowi Wieniawie-Długoszowskiemu – „chce wygrać Polskę w totalizatora i zależnie od przewidywań, kto będzie zwycięzcą, stawia na jedną z walczących stron, propagując taką czy inną orientację. Ja wyszedłem z założenia, że każda polskimi rękami na terenie Polski zorganizowana siła jest lepszą dla przyszłych losów jej gwarancją niż obietnice austriackie i rosyjskie razem z francuską czy angielską protekcją. Stwarzam więc wszelkimi sposobami i we wszelkich postaciach realną siłę, która w chwili likwidacji wojny tym donioślejsze będzie miała znaczenie, że z wojny tej zarówno zwyciężeni, jak i zwycięzcy wyjdą znacznie osłabieni. Warunki więc staną się dla nas korzystniejsze. Dlatego to, ponieważ na własną, nie na obcą liczę moc, nazywają mnie romantykiem i budowniczym zamków na lodzie te rodzime karły i podlece, którzy uważają, że jedynie realną pracą jest budowanie zamków na g[noju] [...]. Mam pewien minimalny program. Jest mianowicie jedna rzecz, jedna wartość, która od nas jedynie zależy, którą my wyłącznie rozporządzamy. Jest nią nasza żołnierska cnota – nasz honor żołnierski!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl a8150e68df



Maj 1935 r. / Naród żegna Józefa Piłsudskiego

Śmierć, która zatrzymała Polskę



Sebastian Reńca

Stanisław Cat-Mackiewicz pisał w wileńskim „Słowie", że to „najbardziej ponura wiadomość, jaka Polskę spotkać mogła. Wskrzesiciel państwa i wódz narodowy zakończył życie. Zostawia nas jak sieroty przy trumnie ojca"

10 maja 1935 r. Piłsudski nie był już w stanie przyjąć ministra spraw zagranicznych Francji Pierre'a Lavala, który zatrzymał się w polskiej stolicy w drodze do Moskwy. Marszałek wezwał jedynie do siebie ministra Józefa Becka, który wówczas usłyszał: „Słuchajcie, dziecino, ja umieram, a po mojej śmierci wszystko zrobią, żeby

eprasa.pl a8150e68df



Warta przy trumnie Marszałka w Belwederze
FOT. NAC



Eksportacja trumny Marszałka z Belwederu do katedry św. Jana
FOT. NAC

zmienić naszą politykę i by was przede wszystkim usunąć. Nie wolno do tego dopuścić. Trzeba, jak długo to możliwe, utrzymać dobre stosunki z Niemcami. To się wielu nie podoba. Za wszelką cenę musicie utrzymać przymierze z Francją i, co więcej, starajcie się w to wciągnąć Anglię. To wydaje się dziś niemożliwe, ale trzeba wytrwale do tego dążyć".

Bohdan Urbankowski, autor biografii Marszałka, napisał, że te słowa były testamentem politycznym Piłsudskiego. Na drugi dzień (11 maja) Marszałka odwiedził gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski.

– Posiedzę, poopowiadam facecji, może choć na chwilę o chorobie zapomni Marszałek – mówił Wieniawa.

W końcu do generała zatelefonował Mieczysław Lepecki, ostatni adiutant Piłsudskiego, i zaprosił go do Belwederu. Wieniawie nie trzeba było dwa razy powtarzać.

Lepecki zapowiedział gościa:
– Przyszedł Wieniawa, panie Marszałku. Czy może wejść?

Piłsudski nic nie odpowiedział. Adiutant powtórzył pytanie. Marszałek lekko się uśmiechnął i wyszeptał:

– Wieniawa…

„Widok zmienionej twarzy Marszałka musiał na gen. Wieniawie wywrzeć wrażenie wstrząsające, gdyż zamiast wesoło opowiadać, stanął w miejscu, milcząc i tylko spoglądając w przerażeniu na cień swego Komendanta […]. Nigdy nie zapomnę wyrazu rozpaczy w oczach biednego generała



Rok XII. Nr. 132 (3378) Wilno, Czwartek 16 maja 1935 r. Cena 15 gro

KURJER WILEŃSKI

NIEZALEŻNY DZIENNIK DEMOKRATYCZNY

Na łożu śmierci

MIŁOŚĆ I SŁAWA

Pośmiertna fotografia Józefa Piłsudskiego
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl a8150e68df



Aleksandra Piłsudska i gen. Edward Śmigły-Rydz (za nim gen. Kazimierz Sosnkowski) w kondukcie pogrzebowym w Warszawie FOT. NAC

Wieniawy" – pisał w swym pamiętniku Lepecki.

Piłsudski ponownie wypowiedział nazwisko swego gościa, który się opamiętał.

– Tak jest, Komendancie!

Marszałek mówił o Lavalu i Francuzach, co Wieniawa tak skwitował:

– Nie trzeba, Komendancie, o nic się martwić. Już tam nimi Józef Beck się zajmuje. On pewnie już Komendantowi wszystko meldował.

– Tak, meldował – potwierdził Piłsudski. – To przecież jego obowiązek.

„Generał Wieniawa począł coś opowiadać. Marszałek leżał bezwładnie i tylko od czasu do czasu się uśmiechał. W pewnej chwili głowa Marszałka osunęła się" – opisywał Lepecki, który poprawił poduszkę. Piłsudski spojrzał na adiutanta i powiedział:

– Drogie dziecko…

Marszałek Józef Piłsudski zmarł następnego dnia, 12 maja 1935 r., o godz. 20.45. Przeżył 67 lat.

Bolesław Wieniawa-Długoszowski towarzyszył swemu Komendantowi również po śmierci. „Kiedy Piłsudski umarł, Wieniawa jechał na czele nocnego widmowego konduktu i wyglądał tak, że w oczach jego każdy, nawet najbardziej nieczuli prześmiewcy czytali ową grecką tragedię, która kryła się dla naszego narodu w tej śmierci" – pisał poeta Jan Lechoń.

Cisza przed Belwederem

Stanisław Cat-Mackiewicz wspominał po latach, że już przed godz. 22 o śmierci Józefa Piłsudskiego wiedzieli mieszkańcy polskich miast i miasteczek. W kawiarniach muzycy przestawali grać, na chodnikach gromadzili się ludzie, a „uczucie zdenerwowania ogarnęło cały kraj".

Tamtej nocy poeta Kazimierz Wierzyński poszedł pod Belweder. Pod bramą stało kilkadziesiąt milczących osób. Wśród nich był artysta Wojciech Jastrzębowski, który widząc poetę, podszedł do niego, wskazał na tłum i powiedział: „To wszystko sieroty, już nie będzie tych brwi, pod które mogliśmy się schronić".

O tej ciszy panującej wśród ludzi zebranych przed Belwederem pisał również warszawski korespondent „Słowa": „Nie czuło się w tym milczeniu jeszcze ani żalu, ani ciekawości, ani smutku, ani niepokoju, czuło się tylko jakieś zupełne odrętwienie i to właśnie tępe odrętwienie, jakby skutkiem nagłego porażenia gromem, udzielało się wszystkim. Policjant konny, stojący przed Belwederem, kazał nam przechodzić: nie stać, nie zatrzymywać się! Powtarzał te rozkazy kilkakrotnie, ale nikt ich nie tylko nie słuchał, ale po prostu ich nikt nie słyszał. Sam policjant powtarzał te rozkazy głosem pewnym może, ale głosem raczej prośby, nalegania niż rozkazu. Panowała nad wszystkim zupełna cisza".

Żałoba narodowa

W chmurny poniedziałek Polska była w żałobie. Do Warszawy płynęły kondolencje z całej Europy. O godz. 10 kard. Aleksander Kakowski przybył do Belwederu i „udał się do sali, gdzie złożone zostało ciało śp. Marszałka Piłsudskiego. Kardynał Kakowski ukląkł przy zwłokach i pozostawał chwilę w modlitwie" – pisało wileńskie „Słowo".

eprasa.pl a8150e68df

Następnie hierarcha złożył kondolencje wdowie.

Na pałacu belwederskim powiewały wielkie czarne chorągwie spuszczone do połowy masztów. Przed pałacem wartę honorową pełnili żołnierze 1. Pułku Szwoleżerów im. Marszałka Piłsudskiego.

Rada Ministrów uchwaliła, że pogrzeb Józefa Piłsudskiego odbędzie się na koszt państwa. Rada ustaliła również obowiązujące formy żałoby narodowej. Do dnia pogrzebu „zawieszone zostaną wszystkie widowiska, zabawy publiczne, produkcje w lokalach publicznych. W tym samym czasie mają być wywieszone flagi opuszczone do połowy masztu, okryte krepą" – można było przeczytać w ówczesnej prasie. Ponadto „Wojsko oraz wszystkich funkcjonariuszy państwowych obowiązywać będzie sześciotygodniowa żałoba. Formy tej żałoby będą: czarna opaska na lewym ramieniu, zarówno dla mężczyzn, jak i dla kobiet oraz wstrzymanie się od urządzania i brania udziału w przyjęciach".

Na placu Trzech Krzyży, przed sklepem z głośnikami radiowymi, tłum słuchał reportażu z Belwederu. Przysłuchiwał się opisowi sceny złożenia zwłok Marszałka wśród czerwonych tulipanów na mahoniowym starym łożu, jak przed tym łożem w ciągu nocy przesuwały się różne ważne postacie polskiej polityki, jak klęczały przed nim całą noc dwie córki Marszałka Piłsudskiego. Ludzie słuchali tego ze łzami w oczach.

W poniedziałek wieczorem Wieniawa poleciał samolotem do Krakowa. Dzień później krakowski „Czas" relacjonował: „Gen. Wianiawa-Długoszowski udał się do pałacu arcybiskupa, by jako przedstawiciel p. prezydenta Rzplitej ustalić wspólnie z ks. Metropolitą Sapiehą miejsce, w którym zwłoki Marszałka Piłsudskiego spoczną na Wawelu. Jak słychać, w rachubę wchodzą tu następujące miejsca: krypta św. Leonarda, znajdująca się tuż u wejścia, krypta Trzech Wieszczów oraz krypta Wazów".

W środę wieczorem, gdy liczne delegacje oddały hołd Piłsudskiemu w Belwederze, trumnę z ciałem Marszałka przewieziono do katedry św. Jana. Laweta, zaprzężona w sześć par koni, pojechała wzdłuż szpaleru ludzi ustawionych od Belwederu przez Aleje Ujazdowskie,

Trumna jechała z Warszawy do Krakowa na otwartej platformie. Po drodze miały miejsce rozdzierające serce sceny. Tłumy witały pociąg śpiewaniem hymnów narodowych i kościelnych

Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście aż do Świętojańskiej. Za lawetą szli wdowa z córkami, prezydent RP, członkowie rządu, marszałkowie Sejmu i Senatu, generałowie… Dalej za oficjelami szedł m.in. Cat-Mackiewicz, który pisał: „Okna kilkusetletnich kamienic wybałuszają swe szyby. Przez ulicę, wysoko ponad naszymi głowami zrobione były mosty z czarnej krepy. Pochodnie niesiono cały czas wzdłuż konduktu, tutaj w tej wąskiej uliczce zgęściły się dookoła nas. Staliśmy tak w głosie dzwonów, ogniach żałobnych pochodni, w dźwiękach trąbek szwoleżerskich, które żegnały Wodza".

O godz. 22 orszak żałobny dotarł do katedry. Trumnę ze zwłokami ustawiono w nawie głównej kościoła św. Jana na wysokim katafalku. Przez kolejne dni ludzie tłumnie oddawali tam hołd Marszałkowi.

Na Wawel

Zanim trumna z ciałem Józefa Piłsudskiego ruszyła pociągiem do Krakowa, stała przez pewien czas na Okęciu. Tego dnia spadł deszcz. Zmoczył nie tylko żałobników, kompanie honorowe i oficjeli, lecz także maciejówkę leżącą na trumnie…

Trumna jechała na otwartej platformie. Obok niej stał wierny Wieniawa… „Po drodze miały miejsce rozdzierające serca sceny… Pociąg jechał odwrotnym szlakiem Kadrówki przez Kielce, Jędrzejów i Miechów. Tłumy witały pociąg odśpiewaniem hymnów narodowych i kościelnych" – pisał wileński reporter.

Gdy pociąg wolno wjechał na krakowski dworzec, czekali już na niego prezydent RP, przedstawiciele polskiego rządu, ministrowie i dyplomaci obcych państw oraz duchowieństwo.

„Cała platforma zalana jest kwiatami. Obok trumny pełni straż generalicja, na krańcach platformy szwoleżerowie z 1. Pułku Marszałka Piłsudskiego – relacjonował krakowski dziennikarz. – Trumnę wzięli na swe barki generałowie. Obok stanęła warta generalska.



Kondukt pogrzebowy na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie FOT. NAC

eprasa.pl a8150e68df



Generałowie zdejmują trumnę Piłsudskiego z wagonu po przyjeździe do Krakowa FOT. NAC



Mieszkańcy Krakowa i uczestnicy konduktu pogrzebowego FOT. NAC

Powoli trumna płynie nad głowami zebranych".

Dawna stolica Polski przywitała żałobny orszak masztami z kirami ustawionymi wzdłuż ulicy Basztowej.

Kraków tonął w zieleni i czerni. Na lawecie ciągniętej przez konie leżały trumna przesłonięta białym całunem, biało-czerwony sztandar i maciejówka złożona na skrzyżowanych buławie i pałaszu. Zaraz za lawetą szli wdowa z córkami, Wandą i Jadwigą, oraz gen. Edward Śmigły-Rydz. Dopiero za nimi szli politycy oraz przedstawiciele obcych państw. Gdy orszak doszedł do Rynku, „głuche bicie bębnów połączyło się z dzwonami kościoła Mariackiego – pisał reporter »Czasu«. – Ze wszystkich stron miasta biją dzwony krakowskich kościołów. Z góry od Wawelu bije silnie Zygmunt […]. Naraz z wieży Mariackiej padają dźwięki hejnału. Laweta z trumną okrąża jeden z najstarszych kościołów w Polsce – świątynię św. Wojciecha…".

Aleksandra Piłsudska, druga żona Marszałka, opisując tamte dni po śmierci męża, miała w pamięci „żałosne werble i dzwony". „Słyszę dźwięki marsza Chopina, widzę płonące ognie wzdłuż jego ostatniej drogi z Warszawy do Krakowa – wspominała wdowa po Józefie Piłsudskim. – Oto dzwon Zygmunta dzwoni, gdy trumnę jego wnoszą na Wawel. Pamiętam, jak Naród go żegnał".

Na Wawelu i wokół niego morze ludzi czekało na Marszałka Piłsudskiego. Jedynie droga na zamek była pusta. O godz. 10.45 koła ciężkiej lawety głucho uderzyły o kamienie dziedzińca wawelskiego. Kwadrans później przed wejściem do katedry prezydent Ignacy Mościcki wygłosił przemówienie. Mówił m.in.: „Cieniom królewskim przybył towarzysz wiecznego snu. Skroni jego nie okala korona, a dłoń nie dzierży berła. A królem był serc i władcą woli naszej. Półwiekowym trudem swego życia brał we władanie serce po sercu, duszę po duszy, aż po purpurę królestwa swego ducha zagarnął niepodzielnie całą Polskę".

Po przemówieniu prezydenta oficerowie zdjęli trumnę z lawety i podali na barki generałów, którzy wnieśli ją do katedry. Po zakończeniu modłów generałowie znów podnieśli trumnę, tym razem z katafalku, i przenieśli ją do krypty. Ustawione na wałach armaty wystrzeliły

eprasa.pl a8150e68df

101 razy. W mieście wyły syreny fabryczne. Przed katedrą słychać zaś było śpiew. Najpierw odśpiewano hymn, a następnie „Pierwszą Brygadę".

„Gdy Marszałek Piłsudski spoczął w krypcie, obecni tam dostojnicy państwa przyklękli, całując sztandar Rzeczypospolitej okrywający trumnę" – relacjonował obecny na miejscu reporter.

Ukochana matka

„I gdy pomyślę, że tam gdzieś na Rossie, u wrót cmentarza, mogiłka za mogiłką leżą, jedna przy drugiej, jak żołnierze w szeregach, ci, co życie dali, by komendanta serce pieścić, to mówię, że miłym to być musi i gdy serce swe grobem poję, serce swe tam na Rossie kładę, by wódz spoczął z żołnierzami..." – mówił Józef Piłsudski w 1931 r. na zjeździe legionistów.

Pewnego razu Aleksandra usłyszała od męża takie słowa o jego ukochanym mieście: „[...] kto mnie kocha, niech broni Wilna, aby nie dostało się w obce ręce".

Stało się tak, jak sobie zamarzył Marszałek – jego serce wróciło do Wilna i spoczęło wśród 163 mogił poległych żołnierzy, choć nie od razu. Najpierw, na wyraźne życzenie Piłsudskiego, trzeba było zrobić rzecz dla niego najważniejszą.

„Pamiętaj, jeśli ja odejdę przed tobą, a przed śmiercią nie zdążę sprowadzić z Litwy do Polski zwłok swojej matki, musicie wy to zrobić – usłyszała kiedyś Aleksandra od męża. – Chcę, aby spoczęła w Wilnie. Serce złóżcie u jej stóp. Chcę, żeby jej trumna i serce moje leżało tam, gdzie leżą moi kochani chłopcy, którzy pomogli mi zdobyć Wilno. Proszę cię, dopilnuj tego".

Aby tak się stało, należało porozmawiać ze stroną litewską, a wówczas nie było bezpośrednich stosunków dyplomatycznych między Warszawą a Kownem. Mieczysław Lepecki, któremu Beck powierzył zadanie ściągnięcia prochów matki Marszałka na Rossę, napisał, że posłużyła temu „droga okrężna".

Ekshumacja miała miejsce 1 czerwca 1935 r. na cmentarzu w Sugintach. Zwłoki włożono to metalowej trumny, tej samej, w której przewożono ciało syna z Warszawy do Krakowa. W kierunku Polski ruszył sznur samochodów. „Na granicy pochód Polaków litewskich zatrzymał się. Jątrząca się rana – kordon litewski – stanął między nami i zwartymi oddziałami wojsk polskich, salutujących w milczeniu" – pisał Lepecki.



Prezydent Ignacy Mościcki, przy trumnie Marszałka, wygłasza przemówienie przed katedrą na Wawelu FOT. NAC

Serce w Wilnie

Niemal w tym samym czasie, gdy uruchomiono starania o sprowadzenie zwłok matki Piłsudskiego do Wilna, ruszyły prace nad grobowcem, który już za rok stanie na wileńskiej Rossie.

„Roboty prowadzone były przez 1500 robotników, pracujących na trzy zmiany, nieraz przy świetle ognisk i reflektorów. Znaczną część swej pracy robotnicy ofiarowali bezinteresownie. Do budowy grobowca użyto wyłącznie materiałów krajowych. Największe trudności sprawiało odszukanie odpowiedniego bloku granitu. Po pokonaniu wielu przeszkód odnaleziono wreszcie ogromny blok czarnego granitu na polach wołyńskiej wsi Bronisławki" – można przeczytać w piśmie „W Służbie Penitencjarnej" z maja 1938 r.

Głaz ważył 19 ton. Przez dwa tygodnie ogromny kamień był przetaczany po belkach, aż w końcu robotnicy dotarli do niewielkiej stacyjki kolejki wąskotorowej. W Warszawie głaz przerobiono na 10-tonowy blok czarnego granitu.

Uroczystość przeniesienia do grobowca na Rossie zwłok matki i serca Marszałka odbyła się 12 maja 1936 r. – w pierwszą rocznicę śmierci Józefa Piłsudskiego.

To Aleksandra Piłsudska poleciła, by na nagrobnej płycie wyryć słowa Juliusza Słowackiego, które mały Józef nieraz słyszał wypowiadane przez matkę.

Na płycie umieszczono napis: MATKA I SERCE SYNA, pomiędzy dwoma wersetami Słowackiego: U góry: „Ty wiesz, że dumni nieszczęściem, nie mogą / Za innych śladem iść tą samą drogą". Na dole: „Kto mogąc wybrać, wybrał zamiast domu / Gniazdo na skałach orła: niechaj umie / Spać, gdy źrenice czerwone od gromu / I słychać jęk szatanów w sosen szumie / Tak żyłem".

1 września 1939 r. ostatni adiutant Marszałka zapytał panią marszałkową, czy nie należało wywieźć serca Piłsudskiego z Wilna.

„Niech będzie wśród żołnierzy, niech im w obronie pomoże" – odpowiedziała Aleksandra Piłsudska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8150e68df

Historia jednego obrazu / Wielki mistrz na kolanach

Hołd Matejki



Fragment „Hołdu pruskiego" Jana Matejki FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Wydarzenie to znane jako hołd pruski miało miejsce na krakowskim rynku 10 kwietnia 1525 r. i zainspirowało najwybitniejszego polskiego malarza historycznego Jana Matejkę do namalowania obrazu pod tym właśnie tytułem. I to nie jakiegoś tam „zwykłego" obrazu, których namalował ponad trzy setki, tylko dzieła mającego ponad 30 mkw. zamalowanego płótna (388 x 785 cm). To jeden z wielkoformatowych obrazów, na których Mistrz Jan ukazywał chwile świetności Rzeczypospolitej.



Leszek Lubicki

Dokładnie 500 lat temu ostatni wielki mistrz zakonu krzyżackiego, klęcząc przed polskim królem, złożył mu hołd lenny. Tym samym zakon przestał istnieć, a sam Albrecht Hohenzollern został pierwszym świeckim władcą Prus

Postawię tezę, że Jan Matejko dla polskiej świadomości narodowej i ku „pokrzepieniu serc" zniewolonego społeczeństwa zrobił nawet więcej niż historycy czy powieściopisarze. Grube, mądre księgi trzeba było czytać, a w owych czasach analfabetów mieliśmy mnóstwo. Obrazem łatwiej było budować rodzimy

eprasa.pl a8150e68df

patriotyzm. Wiemy, że na pokazy jego monumentalnych dzieł przybywali nie tylko ludzie z wyższych sfer, lecz także – i to w dużej liczbie – przedstawiciele gminu. „Ogół go cenił i kochał, bo mu Matejko podawał w zrozumiałej formie jego ideały głęboko w sercu spoczywające" (Piątkowski, 1895).

Po swojemu

Na swoim słynnym obrazie „Hołd pruski" Mistrz Jan przedstawił to wydarzenie po swojemu, jak zawsze. Sukiennice w tamtym czasie nie wyglądały tak, jak jest na tym dziele. Autor zrobił to jednak świadomie – z myślą, aby wszystko było czytelne dla współczesnego mu odbiorcy. „Jestem najmocniej przekonany – pisał Adam Bochenek – że w wypadku tła »Hołdu pruskiego« anachronizmy są świadome i celowe. Szło przecież o unaocznienie szerokim rzeszom oglądających obraz, że mistrz krzyżacki, przodek królów pruskich, składa hołd królowi polskiemu właśnie na rynku krakowskim. A cóż by to był za rynek bez kościoła Panny Marii i Sukiennic w postaci takiej, w jakiej je ówczesny szary człowiek dobrze znał? Czy wprowadzenie fantazyjnej rekonstrukcji Sukiennic gotyckich i pozostawienie niższej wieży Mariackiej bez hełmu nie spowodowałoby – że tak powiem – »odmiejscowienia« akcji hołdu?".

Jesteśmy w tej dobrej sytuacji, że możemy odtworzyć obecnie bez problemu proces powstawania „Hołdu…". Zawdzięczamy to przede wszystkim sekretarzowi Mistrza, Marianowi Gorzkowskiemu. Był on człowiekiem bardzo oddanym Matejce, niezwykle lojalnym, a nade wszystko gruntownie zapisującym wszystko, co dotyczyło Mistrza. Nawet to, co w danej chwili Matejko powiedział. Po śmierci artysty wydał drukiem (własnym nakładem) trzy tomy owych wspomnień, które tutaj możemy nazwać nawet „pamiętnikami". W kwestii daty rozpoczęcia malowania obrazu Gorzkowski podaje trzy wersje, wprawdzie niezbyt od siebie odległe. Niemniej przyjmuje się za początek prac koniec roku 1879, właściwe malowanie od 4 lutego 1880 r., zakończenie natomiast niespełna trzy lata później – w roku 1882.



Szkic do obrazu „Hołd pruski"
FOT. DOM JANA MATEJKI W KRAKOWIE

Jan Matejko stworzył obraz „ku pokrzepieniu serc" narodu zniewolonego przez trzech zaborców i dla przypomnienia Rzeczypospolitej u szczytu potęgi

„Dnia 20 grudnia naciągnęliśmy razem z Matejką płótno na blejdram, bo chciał, aby odbyło to się w sobotę, jako dzień pomyślny. Robota ta odbyła się już w nowej pracowni, w gmachu szkolnym […]. Cała robota doskonale się udała" (Gorzkowski, 1898). Nie był to najlepszy okres w życiu malarza, a jednak podjął się namalowania tak monumentalnego dzieła. „Twórcę zaczęła nękać przewlekła, ciężka choroba żołądka (ta, która w końcu miała mu przerwać życie); objawił się też wówczas coraz wyraźniejszy rozstrój nerwowy jego żony, zakończony odwiezieniem Matejkowej w lutym 1882 do domu obłąkanych; zaostrzyły się kłopoty finansowe…" (Szypowska, 1985). Warto tutaj zaznaczyć, że o przedstawieniu na obrazie wydarzenia, które miało miejsce w Krakowie w 1525 r., Mistrz myślał już kilkanaście lat wcześniej, o czym świadczą wykonane przez niego szkice ołówkowe z lat 1853 i 1855.

Jan Matejko „Hołd pruski" podarował narodowi z myślą, aby obraz znalazł się na Zamku Królewskim w Krakowie. Jednak wówczas stacjonowali tam żołnierze austriaccy, więc uznano, że najwłaściwszym miejscem w tym czasie będą Sukiennice. I tak już zostało.

Natłok osób

Stanisław Witkiewicz, krytyk obrazów Matejki, zarzucający mu m.in. zamieszczanie na nich zbyt wielu niepotrzebnych osób, w kwestii tego dzieła wypowiedział się jednak niezwykle pozytywnie: „Z pomiędzy szeregu wielkich obrazów Matejki »Hołd pruski« jest jednym z najjaśniej skomponowanych, pod względem zaś doskonałości pojęcia, sformułowania i namalowania figur jest bodaj najświetniejszym". Tym bardziej musimy docenić słowa Witkiewicza, malarza i najwybitniejszego krytyka sztuki owych czasów, ponieważ wiedział on, że ten „najjaśniejszy zaś, najżywszy, najweselszy obraz, maluje się i kończy w czasach najcięższych przejść osobistych, czasach ostatecznego przesilenia nieuleczalnej choroby żony, najgłębszego, naruszenia spokoju rodzinnego życia. Twórczość pochłania tyle jego życia, tyle jego myśli i czucia, że osobiste, wszechludzkie tego życia wymagania schodzą na dalszy plan".

Tych „namalowanych figur" jest tak wiele, że ramy naszej opowieści nie pozwalają wymienić choćby części. „Głównym akcentem artystycznym i ideowym obrazu jest król w monarszym

eprasa.pl a8150e68df

majestacie, przekazujący chorągiew pruską klęczącemu przed nim w zbroi księciu Albrechtowi, który składa przysięgę na wierność, z ręką na rozłożonej na kolanach Biblii. Na chorągwi czarny orzeł Zakonu ma na szyi królewską koronę, a na piersi literę S (Sigismundus), co uwidacznia wasalną zależność Prus od Polski" (Sroczyńska, 1991).

Spośród „figur", które artysta umieścił na malowidle, wskażmy tylko najważniejsze dla historycznej wymowy tego wydarzenia. Zaraz za królem widzimy małego chłopca. To pięcioletni wówczas syn Zygmunta Starego i królowej Bony – królewicz Zygmunt August, przyszły władca Polski. Królową Bonę artysta umieścił zaraz za klęczącymi dwoma paziami w otoczeniu grupy kobiet. Znajdują się tam m.in. księżna mazowiecka Anna z córką i synem Januszem, ostatnim władcą Mazowsza, zmarłym rok później w wieku 23 lat. O jego otrucie podejrzewano w tamtych czasach właśnie Bonę, gdyż po jego śmierci Mazowsze inkorporowano do Korony. Jednak obecnie odrzuca się tę hipotezę. Przyjrzyjmy się postaci królowej. Matejko w jednym z listów pisał: „Zwykłem wykończając obraz, do każdej figury szukać żywego modela". Bona zatem ma rysy żony artysty Teodory. Nie musiał także szukać modela do postaci Stańczyka, którego widzimy siedzącego poniżej króla. To alter ego samego Matejki, które wcześniej uwiecznił na słynnym swym obrazie „Stańczyk" z roku 1862.



Królowa Bona na obrazie „Hołd pruski" FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Janusz Tazbir: „Stańczyk tylko przez grzeczność powstrzymał się od gwizdania. Jego obecność podczas składania hołdu jest możliwa, ale wyeksponowanie postaci Stańczyka przez malarza posłużyło do zaznaczenia krytycznego stosunku wobec hołdu pruskiego" („Polaków...", 2007). Stanisław Witkiewicz: „Matejko jednak wie, co z tego będzie po wiekach, i każe wiedzieć o tem Stańczykowi". Artysta ukazał błazna jako „wstrząsającą figurę patrioty, która umie nawet w chwilach chwały i triumfu sięgnąć wzrokiem dalej niż politycy bieżącej chwili. Sięgnąć w głąb nadchodzącego czasu, w przyszłe zagrożenie dziejowe" (Kobyliński, 1997).

Oczywiste jest, że artysta stworzył ten obraz „ku pokrzepieniu serc" narodu rozdartego przez trzech zaborców, a także dla przypomnienia, czym Polska była kiedyś, ukazując Rzeczpospolitą u szczytu potęgi (choć wprowadzona postać Stańczyka to zła wróżba na przyszłość). Malarz swoje rysy twarzy nadał jeszcze jednej postaci z płótna. To wchodzący na schody w lewym dolnym rogu, z dokumentem w ręce, Bartolommeo Berrecci, Włoch, nadworny rzeźbiarz i architekt Zygmunta Starego, budowniczy kaplicy Zygmuntowskiej. Matejko umieścił na obrazie kilka osób, które w czasie hołdu już nie żyły, jak choćby wspomniana księżna mazowiecka Anna. To niejako norma na jego monumentalnych obrazach, ponieważ artysta syntetyzował wydarzenia i ponoć powiadał: „O rzeczy ważniejsze mi chodzi, o wyraz postaci lub wyrazistość grupy".



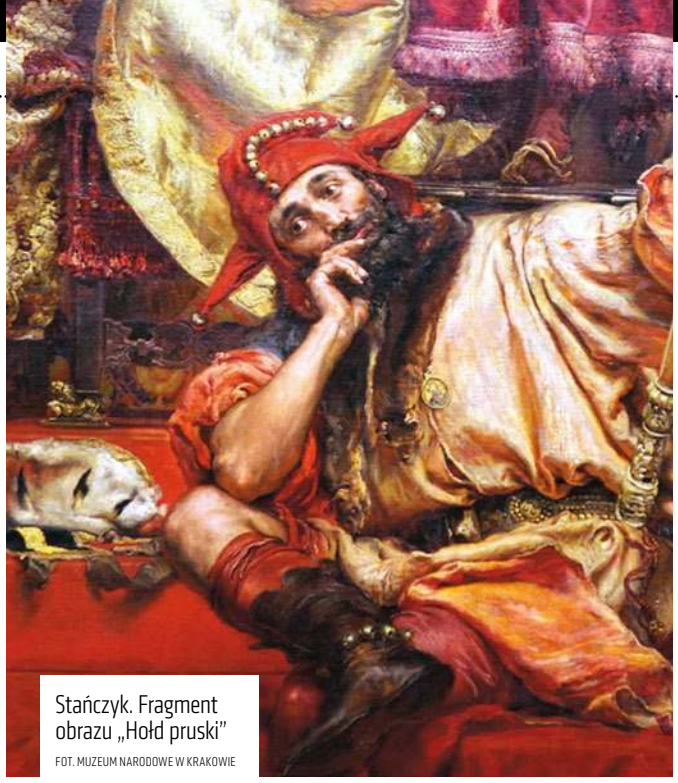
Obraz Jana Matejki w Galerii Sztuki Polskiej XIX w. w Sukiennicach FOT. LESZEK LUBICKI

Polowanie na obraz

Nienawiść Niemców do tego dzieła objawiła się zaraz po jego namalowaniu. „Na wystawie Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie w 1884 jury postanowiło przyznać Matejce za obraz wielki złoty medal, jednakowoż cesarz Wilhelm I, za namową kanclerza Bismarcka, nie zatwierdził decyzji jury i artysta medalu nie dostał" (Sroczyńska, 1991).

„Przy wystawieniu go w Wiedniu [wcześniej, bo na przełomie lat 1882 i 1883 – przyp. red.] były napaście, że Matejko porusza ciągle polskie narodowe sprawy, że treść obrazu »Hołdu pruskiego« jest upokarzająca dla Prus i Niemiec, że obecne austryacko-pruskie przymierze doznaje upośledzenia, że polski artysta jest agitatorem polskiej sprawy, mogącej nawet zakłócić pokój i porządek" (Gorzkowski, 1898). Ot, jaka jest potęga nie tylko w słowach mówionych czy pisanych, lecz także w dziele malarskim. Mistrz Jan był z tego powodu niezwykle kontent. Gorzkowski: „Matejko dowiedziawszy się o tem, był bardzo z tego zadowolony, twierdził, że cesarz niemiecki dobrze uczynił, iż mu

eprasa.pl a8150e68df



Stańczyk. Fragment obrazu „Hołd pruski"
FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

nie zatwierdził medalu! Bo gdyby mu był przyznał i ów medal z Berlina mu nadesłano, toby go nie przyjął i na powrót mu odesłał, bo wstydziłby się od Niemców brać jeszcze nagrody!".

Niemcy, atakując nasz kraj 1 września 1939 r., dobrze wiedzieli, które dzieła sztuki mają ukraść, a jeszcze lepiej wiedzieli, które mają zniszczyć. Cóż, wiemy skądinąd, że dzieła sztuki niszczą tylko barbarzyńcy. Nasi zachodni sąsiedzi przygotowywali się do tego na długo przed wybuchem wojny. Na tej liście znajdował się przede wszystkim „Grunwald", a także „Hołd pruski". To właśnie obrazy Matejki najbardziej ich irytowały i to te, które ukazywały chwałę polskiego oręża („Bitwa pod Grunwaldem) i siłę Rzeczypospolitej upokarzającej Krzyżaków („Hołd pruski"). I dlatego znalazły się na ich czarnej liście jako dzieła do zniszczenia.

Nasi muzealnicy na szczęście także dobrze wiedzieli, na które obrazy historyczne szczególnie będą czyhać niemieccy barbarzyńcy. Już 31 sierpnia 1939 r. wyjęto obraz z ramy, zrolowano go i właściwie zabezpieczono. Podjęto decyzję, że „Hołd…" zostanie przewieziony do Zamościa, ponieważ nie spodziewano się, że Niemcy aż tak daleko posuną się w ataku na Polskę. Już 3 września wielka paka z obrazem dotarła do miasta i został ukryta w podziemiach kościoła pw. św. Katarzyny. W połowie września Niemcy dotarli do Zamościa. Dwa tygodnie później jednak się wycofali, a do miasta weszła Armia Czerwona. W tym czasie ktoś doniósł, że w kościele jest ukryta jakaś wielka skrzynia ze „skarbem". Sowieci dokonali przeszukania i znaleźli ukryty obraz. Na szczęście w ogóle ich nie zainteresował, ponieważ szukali kosztowności, choć jednak uszkodzili go i rzucili w kąt. W trzeciej dekadzie października Sowieci wycofali się z Zamościa i miasto ponownie zajęli Niemcy. W związku z nową sytuacją obawiano się, że ktoś znów może donieść, gdzie obraz jest przechowywany, i podjęto decyzję o przewiezieniu go z powrotem do Krakowa. Udało się dzięki staraniom wielu ludzi. 17 listopada dzieło Matejki dotarło do Krakowa i zostało ukryte pod podłogą w Muzeum Czapskich.

Jedna zaleta

Na koniec zacytujmy dłuższy, piękny fragment z książki Marii Szypowskiej. „Gdzie jest obraz Matejki »Hołd pruski«? Cóż mogłem na to odpowiedzieć? Wyraziłem zdziwienie i mówię, że nie wiem, o co chodzi. Widzę reakcję gestapowca, skurcz wściekłości na twarzy; już nie mówi, ale wrzeszczy: Pytam raz jeszcze, gdzie jest »Hołd pruski«?! – w ten sposób gestapo zaczęło przesłuchiwać księdza Wacława Staniszewskiego, rektora kościoła św. Katarzyny […]. Potem ksiądz Staniszewski został znów aresztowany, wraz z inteligencją Zamojszczyzny, przeszedł martyrologię obozów koncentracyjnych: Sachsenhausen, Dachau. Mógł się uratować udzieleniem choćby jednej informacji o »Hołdzie pruskim«. Nic nie powiedział. Uczestniczący we wrześniowym ukryciu »Hołdu« w Zamościu burmistrz tego miasta Michał Wazowski, który potem 17 listopada 1939 pomagał w zorganizowaniu niezwykle zręcznego, tajemnego transportu obrazu z powrotem do Krakowa – został aresztowany, razem z nim jego syn. Mógł siebie i syna uratować podaniem informacji o »Hołdzie pruskim«. Nic nie wyjawił. Michał Wazowski i jego syn zostali rozstrzelani […]. Ci wszyscy ludzie z najrozmaitszych kręgów społecznych […] przyjmowali cierpienie i śmierć nie dla metrów pokrytego farbami płótna i nie dla wartości materialnej, jaką te obrazy reprezentowały [mowa tu także o „Bitwie pod Grunwaldem" – przyp. red.], ale dla Polski, którą te obrazy uczyły kochać. Uczyły, że dla niej trzeba żyć, walczyć, ginąć, zwyciężać. Uczyły tego z całą siłą, jaką dał im geniusz Matejki".

Psioczyli na obrazy Matejki kiedyś, psioczą i teraz. „Został obwołany bogoojczyźnianym kiczarzem, facetem od patriotycznych malowanek, pozbawionych artystycznych wartości" (Kobyliński, 1997). Stanisław Witkiewicz, choć wiele dzieł malarza krytykował, a największy wymiarami obraz artysty – „Dziewicę Orleańską" – nazwał nawet „potwornością", to jednak uznał w rezultacie jego geniusz. Posłuchajmy: „Miał on wiele wad, których unikają nawet średnie talenty, ale miał jedną bezwzględną zaletę – tworzył arcydzieła".

Nie przypominam sobie sytuacji z naszych dziejów, aby ludzie oddawali życie swoje i swoich bliskich dla ratowania dzieł jakichkolwiek twórców. Nie sposób tu wymienić wszystkich ludzi, którzy przyczynili się do tego, aby „Hołd pruski" szczęśliwie przetrwał do końca wojny ukryty w Krakowie. Chylimy czoła przed bohaterami. Dzieło po konserwacji od 1 sierpnia 1945 r. znajduje się do dziś na stałej wystawie w Muzeum Narodowym w Krakowie, w Galerii Sztuki Polskiej XIX w. w Sukiennicach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Bochenek A., ***„Wiedza Matejki o historii i zabytkach",*** *„Ochrona zabytków" 1954, nr 7/1(24); Gorzkowski M.,* ***„Jan Matejko. Epoka lat dalszych do końca życia artysty",*** *Kraków 1898; Kobyliński S.,* ***„Matejko maleńki olbrzym",*** *Warszawa 1997; pr. zb.,* ***„Polaków dzieje malowane",*** *Warszawa 2007; Piątkowski H.,* ***„Polskie malarstwo współczesne",*** *Petersburg 1895; Sroczyńska K. (red.),* ***„Matejko. Obrazy olejne. Katalog",*** *Warszawa 1991; Szypowska M.,* ***„Jan Matejko wszystkim znany",*** *Warszawa 1985; Witkiewicz S.,* ***„Matejko",*** *Lwów 1908.*

eprasa.pl a8150e68df



Urna ze spopielonymi książkami z Biblioteki Ordynacji Krasińskich

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA CC 4.0

1939–1944 / Tragiczny los warszawskich bibliotek i archiwów

Niemieckie książkobójstwo



Tomasz Stańczyk

Z niepowtarzalnych polskich rękopisów, akt, unikatowych książek, rysunków spalonych przez Niemców pozostał tylko popiół

Jedną z najbardziej znanych fotografii z czasu obrony Warszawy we wrześniu 1939 r. jest płonący hełm wieży Zamku Królewskiego. Ogień strawił wówczas zamkowe wnętrza. Pięć lat później, podczas powstania warszawskiego, niemieccy saperzy wysadzili w powietrze mury zamku. Po latach został on odbudowany i wróciła do niego część zabytków, które ocalały.

Nic jednak nie wskrzesi z popiołów setek tysięcy książek, w tym starych druków, grafik, map, rękopisów ze zbiorów warszawskich bibliotek. A także kilometrów akt z archiwów. Wszystko to spłonęło w wyniku terrorystycznych nalotów i ostrzału niemieckiego we wrześniu 1939 r. oraz – w znakomitej większości – w rezultacie metodycznej akcji podpalania w trakcie powstania warszawskiego i po jego zakończeniu. To niemieckie barbarzyństwo Bohdan Korzeniewski, teatrolog, przedwojenny pracownik Biblioteki Narodowej, nazwał „książkobójstwem".

Dramat warszawskich bibliotek zaczął się we wrześniu 1939 r. Od niemieckich bomb i pocisków spaliły się prawie w całości zbiory Biblioteki Ordynacji Przezdzieckich przy ulicy Foksal. Wśród 60 tys. woluminów znajdowały się tam m.in. dzieła z księgozbiorów polskich królów: Zygmunta Augusta, Jana Kazimierza i Jana Sobieskiego (600 inkunabułów i 500 rękopisów).

Pożar strawił we wrześniu 1939 r. niemal całe zbiory Centralnej Biblioteki Wojskowej. „Pożar trwał trzy dni. Kol. Irena Biskupska, ówczesna współpracowniczka CBW, opowiada, że gdy się jej udało dotrzeć w Aleje 26 września, magazyny biblioteczne jeszcze się tliły, a książki zalegały trawniki wzdłuż Alej przed GISZ-em – wspominała Alodia Kawecka-Gryczowa, pracownica Biblioteki Narodowej. – Zbierano je potem skrzętnie, choć zmoczone i zniszczone, następnie przetransportowano na Koszykową, do Biblioteki Publicznej. Dzięki bohaterstwu ratowników ocalało wówczas ok. 3000 książek rapperswilskich oraz ok. 8000 tomów z CBW. Ale większość zbiorów zamieniła się istotnie w popiół: spłonęło ok. 250 000 tomów CBW, a wśród nich ok. 800 rękopisów i 30 000 woluminów ze zbiorów rapperswilskich, w tym najpełniejszy zestaw druków Wielkiej Emigracji" („Walka o dobra kultury. Warszawa 1939–1945", t. 2, księga zbiorowa pod red. Stanisława Lorentza).

Dodać trzeba, że zbiory z Muzeum Polskiego z Rapperswilu w Szwajcarii zostały przewiezione do Polski w 1927 r. Na nieszczęście dla polskiej kultury, jak się miało okazać. Ogromne straty, 50 tys. tomów, czyli jedna trzecia zbiorów, poniosła podczas oblężenia stolicy Biblioteka Ordynacji Zamojskiej.

eprasa.pl a8150e68df

Czy niemieccy piloci i artylerzyści świadomie celowali w warszawskie biblioteki, muzea, zabytki? Było im to obojętne: naloty i ostrzał miały charakter terrorystyczny, celem było jak najszybsze zmuszenie stolicy Polski do kapitulacji.

Ekipy grabieżców

Jesienią 1939 r. do Warszawy zjechały dwie niemieckie ekipy rabunkowe. Pierwszą z nich kierował historyk sztuki Kajetan Mühlmann mianowany przez Hermanna Göringa na stanowisko pełnomocnika do spraw ochrony i zabezpieczania dzieł sztuki na zajętych terenach wschodnich (tak w tłumaczeniu brzmiała ta funkcja). Drugą i konkurencyjną ekipę rabusiów wysłał Heinrich Himmler, a na jej czele stał Peter Paulsen, profesor archeologii na uniwersytecie w Berlinie, a zarazem SS-Untersturmführer.

Oba zespoły miały ograbić polskie zbiory z dzieł sztuki, cennych książek i archiwów. W listopadzie 1939 r. ekipa Mühlmanna przedstawiła dyrekcji Biblioteki Narodowej listę najcenniejszych pozycji ze zbiorów mających ulec konfiskacie. Ku wściekłości Niemców najważniejsze cymelia zostały wywiezione z Polski we wrześniu 1939 r. do Rumunii, a stamtąd do Kanady. A były to „Rocznik Świętokrzyski (XII w.), „Kazania świętokrzyskie" (XIV w.), „Psałterz floriański" (XIV/XV w.), najstarszy odpis „Kroniki" Wincentego Kadłubka i rękopisy muzyczne Fryderyka Chopina.



Sala Główna Biblioteki Ordynacji Zamojskiej FOT. NAC

Ekipa Kajetana Mühlmanna odnalazła jednak cenne kolekcje Biblioteki Narodowej, ukryte w Forcie Sokolnickiego i Legionów. Z Gabinetu Rycin Uniwersytetu Warszawskiego zabrano 41 rękopisów pergaminowych i trzy rysunki Albrechta Dürera.

Komando Paulsena także nie próżnowało, wywiozło najcenniejsze zbiory Biblioteki Sejmowej, a także Głównej Biblioteki Judaistycznej. Z Biblioteki Ordynacji Zamojskiej zabrano „Sakramentarz tyniecki", „Kodeks supraski", „Kodeks zamojski" i 30 rękopisów.

„W lutym 1940 przedstawiciele komisji [Mühlmanna – przyp. red.] zabrali z Biblioteki Ordynacji Zamojskiej 21 rękopisów włoskich. Była to ostatnia grabież dokonana oficjalnie przez Niemców w bibliotekach warszawskich do końca 1944 r." – stwierdzała Hanna Łaskarzewska, autorka artykułu o stratach bibliotek warszawskich w publikacji „Straty Warszawy 1939–1945. Raport". Podkreślała ona, że los rysunków Dürera z Gabinetu Rycin Uniwersytetu Warszawskiego i rękopisów włoskich z Biblioteki Ordynacji Zamojskiej pozostaje nieznany.

Zrabowany przez ekipę Paulsena „Kodeks supraski" trafił do Berlina. Nie był z tego zadowolony rezydujący na Wawelu generalny gubernator Hans Frank, nie podobało mu się bowiem uszczuplenie zbiorów na podległym mu terenie okupowanej Polski. Dzięki zabiegom Gustava Abba, stojącego na czele Zarządu Bibliotek Generalnego Gubernatorstwa, do Warszawy wróciły dwa kodeksy (obok supraskiego także zamojski) i sakramentarz z biblioteki Zamoyskich, a Biblioteka Narodowa odzyskała 410 kodeksów pergaminowych.



Spalony budynek Biblioteki Ordynacji Zamojskiej FOT. WIKIPEDIA

Płoną cymelia

Decyzją Wilhelma Wittego, komisarycznego kierownika Staatsbibliothek Warschau, najcenniejsze warszawskie zbiory zostały przewiezione do gmachu Biblioteki Ordynacji Krasińskich na Okólniku. Umieszczenie największych skarbów w jednym miejscu było ryzykowne: bombardowanie lub ostrzał biblioteki mogły je wszystkie zniszczyć. Witte nie mógł jednak przewidzieć, że podjęta przez niego decyzja ułatwi pracę jego rodakom podpalaczom. Józefowi Gryczowi, mianowanemu przez Wittego kierownikiem II Oddziału Staatsbibliothek Warschau (Zbiory Biblioteki Narodowej),

eprasa.pl a8150e68df



Spalony gmach Biblioteki Ordynacji Krasińskich FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

udało się doprowadzić do przeniesienia z Okólnika kilkunastu skrzyń cennych książek i innych archiwaliów do Biblioteki Ordynacji Zamojskiej. Te zbiory zostały ocalone. Jednak biblioteka Zamoyskich poniosła straty, gdy w pierwszych dniach powstania warszawskiego żołnierze niemieccy wrzucili do budynku granaty podpalające. „Ogień strawił ponad 10 000 starych druków, map, atlasów, rycin, a także katalogi i kartoteki biblioteczne" – oceniała Hanna Łaskarzewska.

Los zbiorów zgromadzonych na Okólniku był tragiczny. Podczas powstania warszawskiego (5 września 1944 r.) w gmach Biblioteki Ordynacji Zamoyskiej trafiły niemieckie bomby. Bibliotekarz Jerzy Zathey, kierownik działu rękopisów, wspomniał: „Akcja polegała na gaszeniu pożaru na wysokości III piętra i wyrzucaniu książek z I i II piętra na podwórze" („Walka...", t. 1).

Ale to był dopiero początek dramatu. Zathey, który tuż po upadku powstania przybył na Okólnik, stwierdził, że w piwnicy pod magazynami znajdowały się najcenniejsze dzieła: zbiory graficzne, rękopiśmienne, stare druki, muzykalia, mapy. Ich dni były już jednak policzone. Polscy bibliotekarze starali się je jak najdokładniej zabezpieczyć, obkładając zbiory workami z piaskiem i arkuszami blachy. Wydawało się, że jest to wystarczająca ochrona.

W drugiej połowie października 1944 r. Bohdan Korzeniewski był w ruinach gmachu Biblioteki Ordynacji Zamoyskiej na Okólniku. „Zejście do podziemi nie było zawalone gruzami. Dotarłem więc do lochu. Przy pierwszym spojrzeniu można było doznać oszałamiającej radości. – Ależ tak – chciałoby się zawołać – zbiory ocalały! Leżały w grubych, równych warstwach. Uderzał nawet jakiś porządek, którego nie zostawiliśmy, maskując schron. Nie było ani blach i worków z piaskiem. Zwracał uwagę także znacznie niższy poziom pokładów. Woluminy nie przylegały już tak ciasno do sklepienia, jak wówczas, kiedyśmy jej układali. Bliższe podejście odkrywało sekret tych zmian. Był ohydny. Przy dotknięciu warstwy równo ułożonych egzemplarzy już nawet nie rozpadały się, ale znikały. Zbiory zetlały doszczętnie w ogniu, który musiał je trawić wolno przez parę dni" („Walka...", t. 2.)

Korzeniewski stwierdził, że Niemcy „wypełniali wyrok wydany na sąsiedni naród. Mieściło się w nim nie tylko ludobójstwo, ale także książkobójstwo". Świadectwem niemieckiego barbarzyństwa jest szklana urna ze spalonymi, spopielonymi książkami, przechowywana w gmachu Biblioteki Narodowej w Pałacu Rzeczypospolitej na placu Krasińskich.

Cudownym dla kultury polskiej trafem ocalały wywiezione z Okólnika przed powstaniem, w celu konserwacji, prawdziwe skarby: „Kronika" Janka z Czarnkowa, „Pamiętniki" Jana Chryzostoma Paska i „Liber Chamorum" Waleriana Nekandy-Trepki.

Jednak na Okólniku spaliły się inne bezcenne zbiory. Tomasz Makowiecki, członek ekipy ratunkowej, na której czele stał prof. Stanisław Lorentz, dyrektor Muzeum Narodowego, wspominał moment, gdy zszedł do piwnic Biblioteki Ordynacji Krasińskich: „Tu zgromadzono największe skarby: rękopisy, starodruki, rysunki, ryciny nuty, mapy, Biblioteka Załuskich, zbiory Stanisława Augusta, reszta zbiorów rapperswilskich, archiwa Krasińskich, cymelia z wszystkich bibliotek Warszawy. Nic. Nic. Z górą 100 000 pozycji rękopiśmiennych niedrukowanych nigdy i już nigdy. Od iluminowanych złotem miniatur z XIV wieku, przez bezcenne silva rerum, do nieznanych listów Żeromskiego, Reymonta, Berenta. Nic. Znów ręce opadają bezwiednie, jak wtedy przy okrutnych meldunkach strat bliskich".

Pastwą ognia podłożonego w Bibliotece Ordynacji Krasińskich przez Niemców padło 88 proc. rękopisów, 2,5 tys. druków z XV w., ok. 80 tys. starych druków (tj. książek wydanych przed 1801 r.), ponad 100 tys. grafik, 50 tys. nut i teatraliów. Alodia Kawecka-Gryczowa, podsumowując te straty, napisała: „Świadomości niepowetowanej straty nie zaciera czas. Z biegiem lat staje się ona coraz bardziej dojmująca, gdyż wciąż potykać się trzeba o brak źródeł, których już nie będzie. Biblioteka Narodowa, Biblioteka Krasińskich i wiele innych spalonych na ziemiach polskich z premedytacją, nie w działaniach wojennych, zostaną na zawsze świadectwem hańby narodu, który wydał z siebie Hitlera". I dodajmy: także Gutenberga.

Zbiory palone były do ostatnich dni niemieckiej okupacji stolicy. 17 stycznia 1945 r., gdy Armia Czerwona wkroczyła do Warszawy, Niemcy mieli jeszcze czas, by podłożyć ogień w Bibliotece



Zniszczone dokumenty ze spalonego Archiwum Głównego Akt Dawnych FOT. ARCHIWA.GOV.PL

eprasa.pl a8150e68df

Publicznej m.st. Warszawy. Spłonęło tam 300 tys. woluminów.

W wyniku działań wojennych – ale jednak głównie podpaleń, a także grabieży niemieckich – Centralna Biblioteka Wojskowa straciła 99 proc. zbiorów, Biblioteka Politechniki Warszawskiej – 97 proc., Biblioteka i Archiwum Sejmu i Senatu – 93 proc., Biblioteka Ordynacji Przezdzieckich – 85 proc., Biblioteka Ordynacji Zamojskiej – 84 proc., Biblioteka Ordynacji Krasińskich – 60 proc., Biblioteka Publiczna m.st. Warszawy – 72 proc., Biblioteka Narodowa – 32,5 proc. Takie wstrząsające dane podaje publikacja „Straty Warszawy 1939–1945. Raport", opracowana i wydana przez władze stolicy w 60. rocznicę zakończenia drugiej wojny światowej.

Kilometry strat

Ogromne straty poniosły warszawskie archiwa. Podczas niemieckiego ostrzału stolicy we wrześniu 1939 r. spaliły się niemal w całości zbiory Archiwum Oświecenia Publicznego. Edward Chwalewik w wydanej przed drugą wojną światową publikacji „Zbiory polskie" podawał, że liczyły one ok. 300 tys. ksiąg, fascykułów, akt i dokumentów od XVIII w. do 1920 r. W archiwum tym zgromadzono m.in. akta Komisji Edukacji Narodowej i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z okresu Księstwa Warszawskiego.

Zorganizowaną niemiecką grabież archiwów podsumował dwa lata po wojnie Adam Stebelski, kustosz Archiwum Głównego Akt Dawnych. Z Archiwum Akt Nowych zabrano do Berlina i Wiednia m.in. akta niemieckich i austriackich urzędów okupacyjnych na ziemiach Królestwa Polskiego z lat 1916–1918, akta urzędów wiedeńskich dotyczące Galicji (od ok. 1850 do 1914 r.). Zabrano także dokumenty pergaminowe zakonu krzyżackiego z Archiwum Koronnego.

„W ciągu pięciu lat okupacji, od końca 1939 do końca 1944 r., wywieźli Niemcy z Warszawy około 38 piętnastotonowych wagonów akt, w tym szereg zespołów pierwszorzędnego znaczenia dla dziejów Polski i jej stolicy" (A. Stebelski, „Archiwa warszawskie po wojnie", „Przegląd Historyczny" 1947, t. 37).

Podczas walk o Stare Miasto niemieckie bomby i ostrzał zniszczyły Archiwum Akt Dawnych, a w nim m.in. akta Senatu Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego oraz Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego.

W Arsenale mieściło się Archiwum Miejskie. Doznało ono pierwszych strat podczas walk w czasie powstania warszawskiego. W gmachu Arsenału kwaterowali powstańcy, co narażało zbiory archiwum. Pożar wywołany niemieckim ostrzałem spowodował częściowe zniszczenie akt. Ale hekatomba przyszła dopiero po zakończeniu powstania, 4 listopada 1944 r. „Tego dnia Niemcy spokojnie i metodycznie podpalili gmach i znajdujące się w nim zbiory archiwalne. Prowadzone w październiku u władz niemieckich starania dyrektora Archiwum Miejskiego dr. Bachulskiego o wydanie pozwolenia na wywiezienie najcenniejszych zasobów nie przyniosły rezultatu" – pisał Romuald Śreniawa-Szczypiorski w broszurze „2 września 1944" poświęconej stratom warszawskich archiwów.

Czterysta tysięcy jednostek archiwalnych poszło z dymem. Spaliła się zapisana w nich historia Warszawy, a wśród spopielonych akt znajdowały się księgi uchwał magistratu z wieków XIX i XX oraz rad miejskich od 1916 do 1939 r.

Zagładzie uległo także Archiwum Główne Akt Dawnych przy ulicy Długiej. W 1939 r. gromadziło ono m.in. największy w Polsce zbiór akt urzędów i sądów przedrozbiorowej Rzeczypospolitej i mieściło 15 km półek z archiwaliami.

Słowo oficera

W gmachu AGAD kwaterowało dowództwo grupy „Północ", co – jak w przypadku Archiwum Miejskiego – narażało zbiory na wielkie niebezpieczeństwo podczas walk. Po opanowaniu 2 września 1944 r. Starego Miasta do budynku weszli Niemcy i kazali znajdującym się tam Polakom, w tym rannym, opuścić to miejsce. A potem „nastąpiły rzeczy niespotykane dotąd w Europie czasów nowożytnych" – pisał Władysław Stępniak (w latach 2011–2016 naczelny dyrektor Archiwów Państwowych), cytując następnie Adama Stebelskiego, świadka tragedii. Stebelski wspomniał, że jeden z pracowników archiwów uświadomił niemieckiemu oficerowi, że w gmachu znajdują się akta o wyjątkowej wartości historycznej. „Oficer ów – relacjonował Stebelski – zapewnił, że ani gmachowi, ani zbiorom nic nie grozi. Zamelduje on o tym, co mu przedstawiono, wyższemu dowództwu, które da potrzebną ochronę. Ponowił przy tym rozkaz natychmiastowego opuszczenia gmachu przez wszystkich, którzy się w nim znajdowali. Tegoż dnia przed południem budynek Archiwum Głównego został przez hitlerowców podpalony. Ogień podłożono z dwóch krańców: od strony pl. Krasińskich i od ul. Długiej. Do piwnic i okien parterowych wrzucano żagwie i materiał zapalający" (broszura „2 września 1944").

Spłonęło ok. 90 proc. zbiorów AGAD. Niemal w całości (97 proc.) z dymem poszło podpalone w listopadzie 1944 r. Archiwum Akt Nowych, przechowywane w Szkole Głównej Handlowej. Były tam m.in. akta Prezydium Rady Ministrów, Kancelarii Cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej, kancelarii Sejmu i Senatu, Najwyższej Izby Kontroli oraz kilku ministerstw.

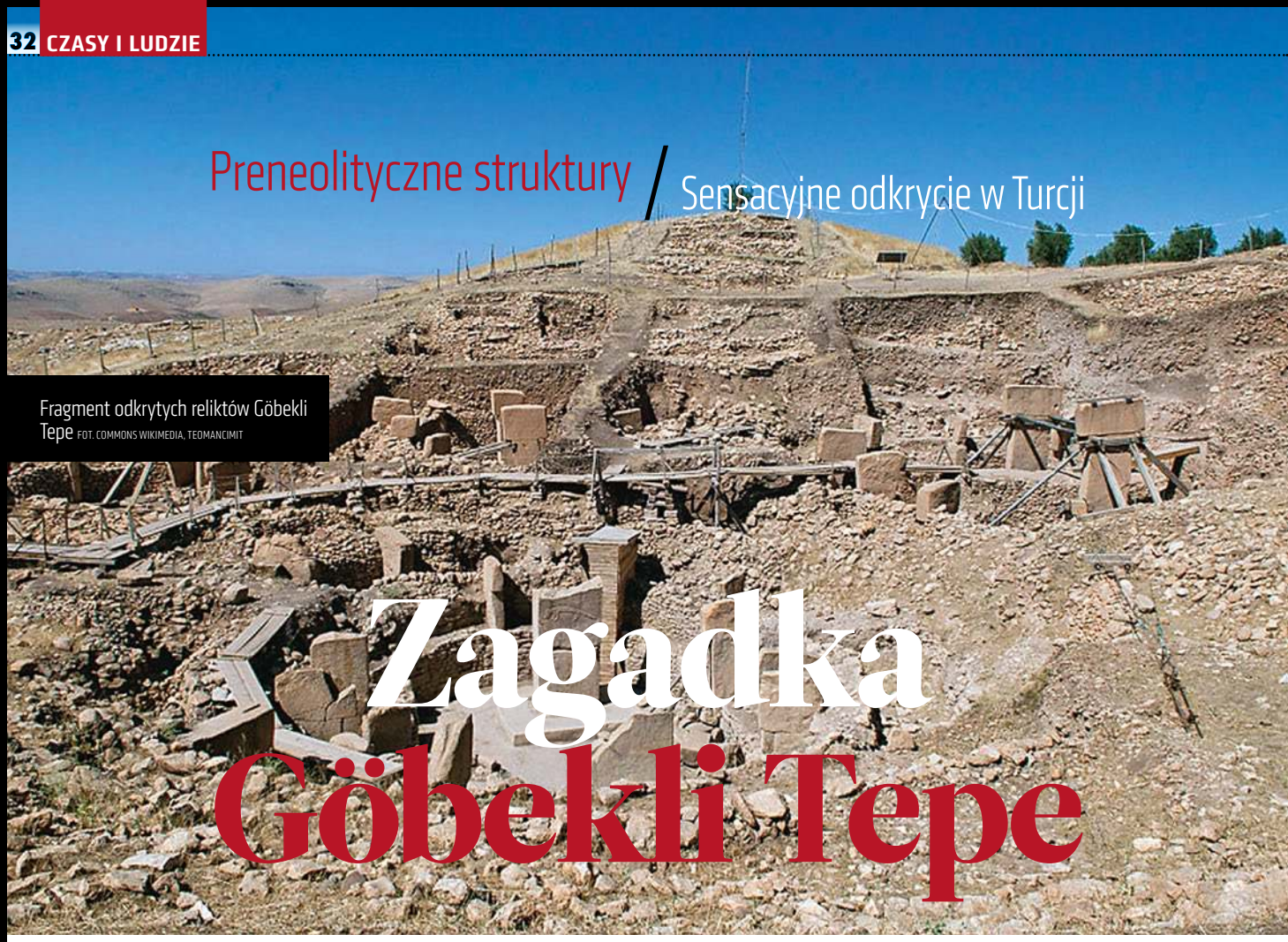
„Szacujemy, że straty archiwów warszawskich wynoszą od 90 do 95 proc. ich przedwojennych zasobów – powiedział dr Paweł Pietrzyk, dyrektor Archiwów Państwowych, w wywiadzie z portalem Dzieje.pl. – Podczas wojny straciliśmy w znacznej części akta dotyczące Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego. Zniszczeniu uległa też duża część akt z okresu I RP dotyczących np. sądów szlacheckich czy Trybunału Koronnego".

Polska kultura i nauka poniosły niepowetowane straty. Żadne odszkodowania pieniężne ich nie zrekompensują. Jednak w prawie istnieje pojęcie restytucji zastępczej. Polega ona na dostarczeniu przez sprawcę zniszczenia i grabieży przedmiotów takich samych lub podobnych do tych utraconych. W przypadku strat warszawskich bibliotek powinniśmy się domagać od Niemiec wydania z ich zbiorów poloników, inkunabułów, starych druków, książek grafik, map archiwaliów, dotyczących ziem polskich – w zamian za spalone i zagrabione w latach niemieckiej okupacji warszawskie zbiory.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8150e68df

Preneolityczne struktury / Sensacyjne odkrycie w Turcji



Fragment odkrytych reliktów Göbekli Tepe FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TEOMANCIMIT

Zagadka Göbekli Tepe



Anna Szczepańska

Wyobraźmy sobie miejsce, które dosłownie wywraca do góry nogami naszą wiedzę na temat dziejów ludzkości. Właśnie czymś takim jest Göbekli Tepe

To miejsce pojawiło się w niejednym odcinku znanego, choć – delikatnie mówiąc – kontrowersyjnego z punktu widzenia historyka serialu pt. „Starożytni kosmici". Nie ma się jednak co dziwić. Göbekli Tepe jest tak niesamowite, że teoria o wpływie istot pozaziemskich na jego powstanie może się niektórym wydawać rzeczywiście najbardziej prawdopodobna, gdyż żadna inna nie pasuje do wiedzy, jaką dotąd posiadaliśmy.

Göbekli Tepe jest starsze niż egipskie piramidy i Stonehenge, a także maltańskie megalityczne budowle znane jako Ġgantija, które jeszcze nie tak dawno uważano za najstarszą „wielkoformatową" budowlę stworzoną przez człowieka. Młodsza od Göbekli Tepe jest nawet znajdująca się w tureckiej Anatolii osada Çatalhöyük, która powstała ok. 7500–6500 r. p.n.e. i którą uważa się za jedno z najstarszych ludzkich osiedli. Miejsce to powstało tym samym wcześniej niż pismo i… koło.

Tajemniczą aurę wokół Göbekli Tepe potęguje fakt, że na terenie Turcji znaleziono jeszcze inne podobne struktury (choć mniejsze), np. Karahan Tepe i Nevalı Çori. Pomimo licznych znalezionych w tych miejscach artefaktów wciąż wiemy o tych kompleksach zaskakująco mało. Kim byli ludzie, którzy zbudowali te struktury? Jakie funkcje one pełniły? I wreszcie – dlaczego po latach wszystko zostało zasypane piaskiem, jakby nie chciano, aby ktokolwiek je w przyszłości odnalazł? Na temat tych preneolitycznych świątyń powstało wiele teorii. Brak źródeł pisanych, a nawet niemożność porównania tych miejsc z innymi strukturami na świecie sprawiają, że przyciągają one „historyków" gotowych snuć nawet najbardziej oderwane od rzeczywistości teorie.

Bodaj najpopularniejsza z nich mówi, że Göbekli Tepe jest dziełem istot pozaziemskich, gdyż łowcy zbieracze nie byli zdolni do wznoszenia tak precyzyjnych budowli. Są i tacy, którzy posuwają się jeszcze dalej, twierdząc, że w miejscu tym kosmici stworzyli bramę do innego wymiaru. Zdaniem kolejnych Göbekli Tepe faktycznie wznieśli koczownicy, ale

eprasa.pl a8150e68df

tacy, których inspirowali budowniczowie zaginionej Atlantydy – wymarłej cywilizacji, która miała istnieć w epoce kamienia. Jeszcze inni są zdania, że jeżeli Göbekli Tepe pełniło funkcję obserwatorium astronomicznego, to ukryte wewnątrz „kody" mogą pozwolić na uniknięcie kosmicznych katastrof. Pojawiały się także teorie, wedle których Göbekli Tepe to biblijny rajski Eden, na co dowodem mają być wyryte na filarach wizerunki zwierząt, które żyły w ogrodzie.

To wszystko teorie szukających sensacji historyków celebrytów. A jaka jest prawda? Co wiemy o Göbekli Tepe?

„T"-kształtne filary

Na terenie starożytnej Górnej Mezopotamii, na płaskowyżu w dzisiejszej południowej Turcji, znajduje się wzgórze, na które przez lata nikt nie zwracał uwagi. Nie było bowiem w zasadzie nic, co pozwalałoby przypuszczać, że takie wybrzuszenie terenu nie powstało w sposób naturalny. Dopiero w latach 60. XX w. archeolodzy doszli do wniosku, że miejsce to różni się od okolicznych pagórków i zapewne jest wytworem człowieka. Początkowo sądzili jednak, że pod warstwą ziemi znajduje się cmentarz z czasów bizantyńskich, więc nie jest to raczej nic, co wymaga – jak uważano – pilnej uwagi. Dużo ciekawsze były badania poświęcone neolitycznym wioskom. Dzięki nim jedna z kolejnych archeologicznych ekspedycji dotarła w końcu na miejsce, które nazwano Wybrzuszonym Wzgórzem (tur. Göbekli Tepe).

Prace archeologiczne rozpoczęły się tutaj w 1994 r. Prowadzili je Niemiecki Instytut Archeologiczny oraz tureckie Muzeum Archeologii i Mozaiki w Şanlıurfa. Do 2014 r. pracami kierował prof. Klaus Schmidt. Po jego śmierci badania kontynuuje zespół, który wcześniej działał pod jego okiem. Odkrycie było spektakularne. Pod grubą warstwą ziemi znaleziono pozostałości monumentalnego kompleksu budowli. Badania wykazały, że mają one nawet 12 tys. lat, a ich budowę datuje się na 9600–8200 r. p.n.e.



Jeden ze słupów budowli

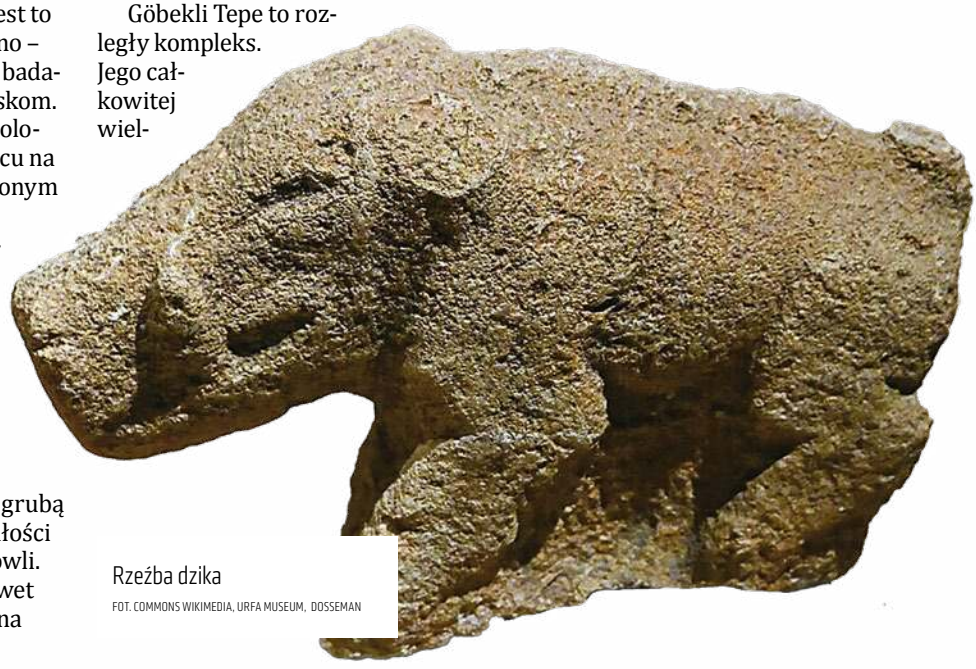
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TEOMANCIMIT

Wydawało się to niemożliwe. Do tamtej pory w nauce panował powszechny konsensus mówiący, że człowiek nie był w stanie wznosić potężnych, trwałych budowli aż do czasu tzw. rewolucji neolitycznej, czyli do chwili, kiedy zaczął się osiedlać, rezygnując ze zbieracko-łowieckiego sposobu życia. Jak jeszcze w latach 90. uważano, rewolucja neolityczna na terenie Azji Mniejszej miała miejsce ok. 10 tys. lat temu. Stąd też na wieść o odkryciu Göbekli Tepe pojawiła się tak wielka konsternacja. Jak zakwalifikować bowiem coś, co – jak sądzono – nie miało prawa istnieć?

Göbekli Tepe to rozległy kompleks. Jego całkowitej wielkości jak dotąd nie znamy, gdyż wciąż prowadzone są na miejscu badania, a jak szacują badacze, przekopano dopiero zaledwie 10 proc. całego kompleksu. Co jakiś czas media obiegają informacje o kolejnych ciekawych znaleziskach na tym jednym z najważniejszych na świecie stanowisk archeologicznych.

Najbardziej charakterystycznym elementem Göbekli Tepe są liczne filary mające kształt litery „T". To najstarsza część Göbekli Tepe, tzw. warstwa trzecia. Filary mają od 3 do 6 m wysokości, a każdy waży 10–50 ton. Najczęściej pojawiającym się motywem wyrytym na słupach są zwierzęta (głównie lwy, węże, dziki i ptaki drapieżne), choć nie brakuje też abstrakcyjnych wzorów i figur geometrycznych. Postacie ludzkie pojawią się rzadko.

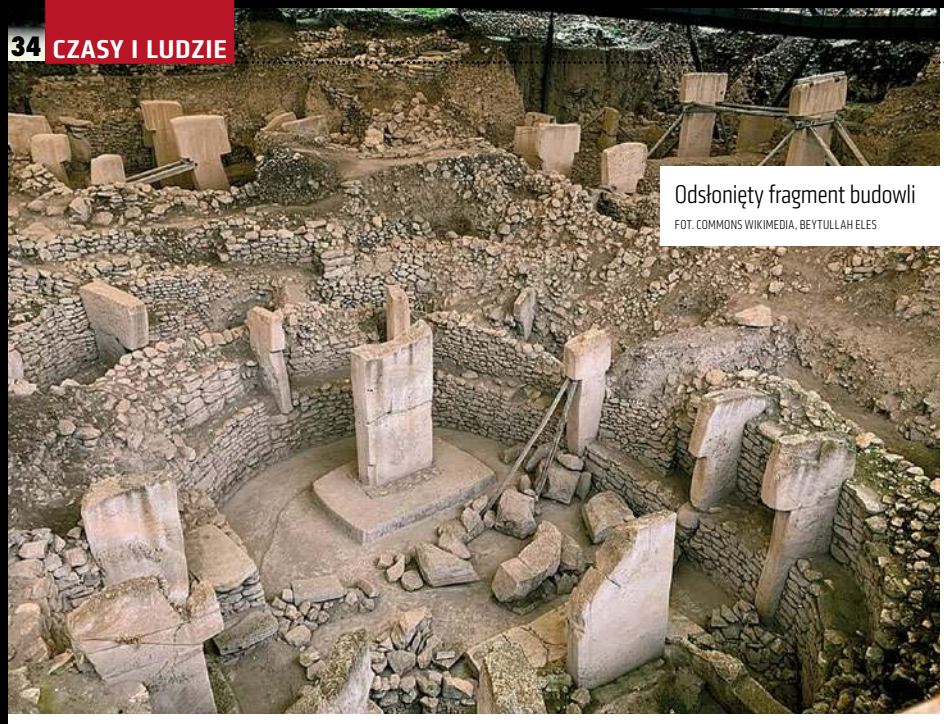
Część badaczy jest zdania, że słupy są uproszczonymi wizerunkami pochylonego człowieka lub bóstwa, gdyż na niektórych z nich wyrzeźbiono ludzkie ramiona. Filary tworzą regularne, owalne struktury, a ich precyzyjne ustawienie wskazuje na wysoce rozwinięte umiejętności ówcześnie żyjących łowców zbieraczy i ich znajomość obróbki kamienia. We wnętrzu tych owalnych pomieszczeń znaleziono ponadto różnego rodzaju kamienne obiekty, m.in. wielkie koryta, na których dnie wyodrębniono szczawiany, co pozwala przypuszczać, że



Rzeźba dzika

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, URFA MUSEUM, DOSSEMAN

eprasa.pl a8150e68df



Odsłonięty fragment budowli
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BEYTULLAH ELES

produkowano tu sfermentowany napój podobny do piwa. Niedawno odkryto także naturalnej wielkości rzeźbę dzika, na której zachowała się farba w kolorach czerwonym, białym i czarnym. To najstarszy na świecie znany pomalowany posąg zwierzęcia. Dodatkowo kilka lat temu w Göbekli Tepe znaleziono maskę o ludzkich cechach, którą zinterpretowano jako część totemu, podobnego do tego odkrytego na stanowisku Nevali Çori.

Druga, nieco młodsza warstwa Göbekli Tepe, datowana na 8–7 tys. lat p.n.e., to przede wszystkim prostokątne pomieszczenia z wapienną podłogą. Ściany tych izb zostały precyzyjnie postawione, co jest kolejnym dowodem na to, że budowniczowie Göbekli Tepe posiadali zaawansowane zdolności.

„Niebieski" kalendarz

Do czego jednak służyły te pomieszczenia? Archeolodzy zwykli żartobliwie mówić, że jeżeli nie wiadomo, jaką funkcję pełniła dana budowla, to z pewnością była miejscem kultu. Göbekli Tepe faktycznie najczęściej określane jest jako świątynia, a nawet „najstarsza świątynia świata". Dlaczego wydaje się to możliwe? Wiadomo, że Göbekli Tepe nie było osadą. Nie znaleziono tam śladów domów, żadnych narzędzi ani dowodów na uprawę roli. Najpewniej było to miejsce cyklicznych spotkań koczowników, którzy mogli przybywać tu nawet z bardzo oddalonych rejonów. Istnieje kilka hipotez, które tłumaczą, do czego łowcom zbieraczom potrzebne było Göbekli Tepe.

Jedna z teorii mówi, że świątynia była wielkim cmentarzyskiem albo miejscem związanym z kultem zmarłych, a nawet czymś w rodzaju bramy między światem ludzi a światem duchów. Może o tym świadczyć odkrycie ludzkich szczątków. W 2017 r. Julia Gresky z Niemieckiego Instytutu Archeologicznego znalazła w Göbekli Tepe trzy czaszki z głębokimi nacięciami biegnącymi od czoła do potylicy oraz jednym otworem wywierconym na górze. Badacze są zdania, że nacięcia i otwory mogły służyć do mocowania czaszek do megalitów. Być może w Göbekli Tepe właśnie w ten sposób czczono zmarłych. Podobnego zdania był odkrywca kompleksu, Klaus Schmidt, który uważał, że Göbekli Tepe pełniło rolę świątyni, gdzie odprawiano rytuały związane z kultem przodków lub sił natury. Co ciekawe, wokół Göbekli Tepe archeolodzy znaleźli dowody na to, że w okolicy odbywały się uczty, w których uczestniczyły setki osób. Znalezione szczątki zwierząt, w tym dzików i gazeli, wskazują, że organizowano tu biesiady, które mogły (choć nie musiały) być częścią ceremonii religijnych. Ludzie mogli zbierać się tu w czasie, gdy dojrzewały w tym miejscu zioła.

Kolejna teoria wykorzystania Göbekli Tepe mówi, że miejsce to pełniło funkcję kalendarza słonecznego lub było potrzebne do wykonywania obliczeń astronomicznych. W artykule „Decoding Göbekli Tepe with Archaeoastronomy" autorzy sugerują, że niektóre rzeźby mogą odzwierciedlać ważne wydarzenia astronomiczne, np. aktywność meteorów z roju Taurydów. Analizując reliefy na filarach, zwłaszcza tzw. kamień sępa, autorzy podają, że przedstawienia zwierząt mogą odpowiadać konstelacjom gwiezdnym i odnosić się do układu gwiazd widocznego w konkretną noc 11–12 tys. lat temu.

Inna hipoteza zakłada natomiast, że w Göbekli Tepe odbywały się rytuały związane z cyklem życia i śmierci lub ceremonie inicjacyjne. Analiza ikonografii oraz układu przestrzennego sugeruje, że monumentalne struktury mogły służyć do różnego rodzaju obrzędów przejścia, np. inicjacji młodych mężczyzn w dorosłość – kiedy zmieniał się ich status, zdobywali nowe przywileje i obowiązki.

W artykule „Ritual Practices and Conflict Mitigation at Early Neolithic Körtik Tepe and Göbekli Tepe, Upper Mesopotamia" autorzy wskazują, że obrzędy te wspomagały integrację społeczną i łagodziły konflikty we wspólnocie, utrwalały hierarchię i tożsamość grupy. Ta hipoteza wskazywałaby, że wczesnoneolityczne społeczeństwa miały wykształcone rytuały, które pomagały utrzymać stabilność w dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości.

Dla współczesnych badaczy jedną z największych zagadek pozostaje jednak nie tylko to, dlaczego Göbekli Tepe zbudowano, ale i to, kto tego dokonał. Jeszcze 30 lat temu nikt nie przypuszczał, że stosunkowo małe społeczności łowców zbieraczy były zdolne do takiej współpracy i budowy skomplikowanych budowli. Göbekli Tepe jest dowodem na to, że pewne grupy ludzi były zdolne do wznoszenia megalitycznych budowli, na długo zanim zaczęto budować osady i miasta. Szacuje się, że w transporcie i ustawianiu masywnych bloków skalnych potrzebnych przy budowie brały udział nawet tysiące ludzi. Świadczy to o umiejętności współpracy i zaskakująco dobrym zorganizowaniu koczowników. Współpraca na taką skalę sugeruje istnienie hierarchicznej struktury społecznej i wyspecjalizowanych ról, np. „architektów", rzemieślników, robotników.

eprasa.pl a8150e68df

Kolejną intrygującą zagadką związaną z Göbekli Tepe jest to, że cała budowla została zakopana. Nie przez siły natury, lecz samych budowniczych. Dlaczego? Miejsce to używane było stosunkowo krótko. Niektórzy twierdzą, że już ok. 8000 r. p.n.e. cały kompleks został zasypany piaskiem. Być może Göbekli Tepe przestało pełnić swoje funkcje rytualne, religijne lub jego zakopanie miało być symbolicznym zakończeniem pewnej epoki. Niewykluczone, że koczowników zmusiła do tego sytuacja zewnętrzna, np. konieczność przeniesienia się w inny rejon, najazd obcych ludów, katastrofa naturalna. Może zasypanie budowli miało ją uchronić przed wrogami? W każdym razie ludzie w to miejsce już nie powrócili, a Göbekli Tepe przeleżało pod piaskami tureckiego płaskowyżu przez tysiące lat. Paradoksalnie jednak to właśnie dzięki ukryciu tego miejsca pod ziemią dotrwało ono do naszych czasów w tak dobrym stanie.

Jeszcze starsze?

W 1997 r. ok. 40 km od Göbekli Tepe znaleziono podobny, choć znacznie mniejszy kompleks, który nazwano Karahan Tepe. Prace archeologiczne ruszyły tam trzy lata później. Badacze są zdania, że miejsce to powstało mniej więcej w tym samym czasie co Göbekli Tepe, choć nie brakuje głosów, że jest jeszcze starsze.

Na miejscu znaleziono wykute w skale okrągłe pomieszczenia oraz zbiorniki przypominające baseny, a do tego znaczną liczbę przedmiotów codziennego użytku, tj. dłuta, topory, garnki, kamienie szlifierskie i koraliki. To stanowi kolejną zagadkę: Czy wobec tego ludzie mieszkali tu na stałe lub przynajmniej sezonowo? W Karahan Tepe odkryto również łącznie 266 filarów w kształcie litery „T", podobnych do tych z Göbekli Tepe, oraz płaskorzeźby zwierząt przedstawiające m.in. węże, owady, ptaki czy głowę królika. Znaleziono tam także płaskorzeźby i rzeźby ukazujące ludzi, co odróżnia to miejsce od Göbekli Tepe, gdzie takich wizerunków prawie nie ma.

Najpotężniejszy i najbardziej charakterystyczny jest posąg siedzącego mężczyzny trzymającego w dłoniach fallusa. Posąg ma prawie 2,5 m wysokości i datowany jest na ok. 8500 r. p.n.e., co czyni go najstarszym znanym monumentalnym przedstawieniem człowieka. Motyw męskich narządów bardzo często pojawia się w kulturach starożytnych w różnych miejscach świata, dlatego ich obecność na preneolitycznym stanowisku w Turcji nie dziwi. Jednocześnie może jednak świadczyć o tym, że w miejscu tym zaczął rozwijać się kult płodności, odrodzenia i sił witalnych, co z kolei wiąże się z powolnym przechodzeniem do osiadłego trybu życia (koczownicy, w przeciwieństwie do rolników, nie modlili się raczej o urodzaj i dobre plony). Karahan Tepe było użytkowane dość krótko. Podobnie jak Göbekli Tepe miejsce to zostało zasypane ziemią przed tysiącami lat. Nie wiadomo, co było przyczyną porzucenia tej „praosady".

Kto wie, może Göbekli Tepe i inne podobne obiekty to dowód na istnienie całkowicie zapomnianego rozdziału w historii ludzkości? Być może istniała kiedyś cywilizacja, której ślady zostały zatarte przez czas, a my dopiero zaczynamy je odkrywać? Jeżeli komuś taka teoria wydaje się niemożliwa, to warto przypomnieć, jak przypadkowo doszło do odkrycia zaawansowanej cywilizacji, która przez wiele lat istniała w dolinie Indusu. Znalezione tam w XIX w. miasto Mohendżo Daro także zszokowało archeologów i historyków. Okazało się, że w czasach, kiedy wzdłuż Nilu, Tygrysa i Eufratu rozwijały się cywilizacje, podobnie rozwinięta kultura miejska kwitła na pograniczu dzisiejszych Indii i Pakistanu.

Göbekli Tepe zmieniło sposób, w jaki postrzegaliśmy początki naszej cywilizacji. To dowód na to, że pierwsze ludzkie społeczności były bardziej zaawansowane, niż wcześniej sądzono. To stanowisko jest też świadectwem tego, że to nie osiadły tryb życia i rolnictwo dały impuls do kształtowania kultury, ale że było wręcz odwrotnie: to religia i rytuały ważne dla małych społeczności mogły skłonić je ostatecznie do porzucenia koczowniczego trybu życia i budowy pierwszych osad.

Dalsze prace archeologiczne w Göbekli Tepe i na innych podobnych stanowiskach znajdujących się w Turcji z pewnością dostarczą nowych informacji, które pomogą poznać strukturę organizacyjną społeczności przedrolniczych na Bliskim Wschodzie. Göbekli Tepe może być kluczem do zrozumienia, jak kształtowały się późniejsze cywilizacje w rejonie basenu Morza Śródziemnego, które dobrze znamy z kart podręczników.



Wykopaliska na ekspozycji muzealnej w Urfa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEUM ŞANLIURFA, KLAUS PETER SIMON

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Clare L. i in., ***„Ritual Practices and Conflict Mitigation at Early Neolithic Körtik Tepe and Göbekli Tepe, Upper Mesopotamia";*** *Collins A.,* ***„Karahan Tepe. Göbekli Tepe's Sister Site Another Temple Of The Stars";*** *Dietrich O. i in.,* ***„Masks and masquerade in the Early Neolithic: a view from Upper Mesopotamia";*** *Sweatman M., Tsikritsis D.,* ***„Decoding Göbekli Tepe With Archaeoastronomy: What Does The Fox Say?".***

eprasa.pl a8150e68df



Kadr z filmu „Ostatni pojedynek” Riddleya Scotta FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Średniowiecze / Pojedynki zamiast procesu

Żelazny sąd



Jakub Ostromęcki

„Ostatni pojedynek” Ridleya Scotta przypomniał widzom o dawnym, przedziwnym sposobie rozstrzygania spraw kryminalnych

W rzeczywistości nikt nie wie, jak wyglądała prawda w tej kwestii”. To słowa Jeana le Coqa, paryskiego prawnika, który w 1386 r. był obrońcą rycerza Jacques’a Le Gris’a. Jego klient został oskarżony o gwałt na Marguerite de Carrouges, żonie Jeana de Carrouges’a. Paryski parlament, wtedy bardziej instytucja sądownicza niż ustawodawcza, nie mogąc dojść do prawdy, zgodził się na pojedynek sądowy między rycerzami. Był to ostatni raz, kiedy to szanowne gremium wydało zgodę na taki, już wówczas uznawany za barbarzyński, sposób wskazania (i ukarania) przestępcy.

Sprawa została zrelacjonowana przez ówczesnych kronikarzy na tyle dogłębnie, że po ponad 600 latach amerykański mediewista i literaturoznawca Eric Jager opisał ją w książce „Ostatni pojedynek”, która z kolei stała się kanwą scenariusza słynnego filmu Ridleya Scotta o tym samym tytule. Aż do samego pojedynku Scott prowadzi swoją opowieść, dość wiernie oddając realia epoki. Z kilkoma wyjątkami. Hrabia Piotr d’Alençon, w filmie korporacyjny dandys, w rzeczywistości był pokrytym bliznami wiernym lennikiem króla. Niepodobna też, aby mówił o sobie, że jest „libertynem”. Nic nie wskazuje również, aby de Carrouges, człek rzeczywiście podejrzliwy, małostkowy i zadufany w sobie, miał się popisywać głupotą w czasie walk z Anglikami. Pojedynkowi zwaśnionych rycerzy przygląda się król Karol VI, cherlawy, głupawy i zaburzony. Tak naprawdę choroba psychiczna zaatakowała tego bojowo nastawionego władcę dopiero sześć lat po opowiedzianych tu wydarzeniach.

Pojedynek był dla reżysera ważny tak samo jak Marguerite – ofiara męskiej chuci i prawa, które stanowiło, że gwałt uderza bardziej w honor jej męża niż w nią samą. W tych realiach triumf sprawiedliwości jest triumfem mężczyzny, który za bardzo nie pojmuje spustoszenia, które gwałt wywołał w psychice jego żony. Premiera filmu odbyła się w czasach, gdy świat show-biznesu co i rusz obiegały informacje o kolejnych reżyserach i producentach, teraz już obleśnych starcach, którzy mieli napastować seksualnie młode aktorki. Ofiary (również sama XIV-wieczna Marguerite) musiały zmagać się z ogromnym wstydem i – delikatnie mówiąc – śladowym wsparciem ze strony społeczeństwa. Scott nie krył zresztą, że jego film to odpowiedź na akcję ofiar molestowania, znaną jako #MeToo. Zobaczmy więc, na jaką opiekę w średniowieczu mogła liczyć ofiara gwałtu, czy ta epoka była pod tym względem wyjątkowa i skąd wziął się pomysł na pojedynki sądowe.

Gwałt antyczny

Jeśli wierzyć w rzetelność Rosalie Gilbert, autorki „Tajemnego życia seksualnego kobiet w średniowieczu”, w latach 1313–1314 w Anglii zgłoszono do królewskich urzędników i sądów 142 sprawy o gwałt. Jedynie 23 z nich skończyły się postawieniem podejrzanego przed sądem. I tylko jedna zakończyła się skazaniem sprawcy. Francja nie mogła być pod tym względem diametralnie inna.

Dla porównania: spośród wszystkich zgłaszanych przypadków gwałtu w dzisiejszej Polsce 70 proc. spraw umarzanych jest na etapie prokuratorskim. Natomiast spośród 30 proc. spraw, które rozpatrzono przed sądem, ok. 60 proc.

eprasa.pl a8150e68df

kończy się bezwzględną karą pozbawienia wolności. Ogółem więc jedynie ok. 18 proc. zgłoszonych przypadków gwałtu skutkuje osadzeniem sprawcy w więzieniu.

Marguerite nie mogła sama dochodzić sprawiedliwości. Lokalne prawo normandzkie, któremu podlegali bohaterowie opowieści Scotta, stanowiło, że gwałtu musi dowieść opiekun ofiary. Pani de Carrouges i tak powinna się cieszyć. Miała przecież męża. Samotne kobiety z plebsu były traktowane przez sądy dużo bardziej sceptycznie. Czcigodne matrony sprawdzały, czy ofiara miała zadrapania, jej narządy nosiły ślady przemocy i czy sąsiedzi słyszeli krzyki. Jeśli tak, to mogła liczyć na opiekę swojego seniora. Jeśli nie, to bito ją i przepędzano.

Nie był to z pewnością raj dla kobiet, ale problem w tym, że popkultura, której Scott jest znakomitym przedstawicielem, zrobiła sobie ze średniowiecza ulubionego chłopca do bicia. Jeśli wierzyć jej koryfeuszom, to właśnie między upadkiem Rzymu a renesansem mieliśmy w Europie najwięcej prześladowań religijnych, wojen, biedy, ciemnoty, okrucieństwa i oczywiście gnębienia kobiet.

Ukochany niezmiennie przez europejskie elity antyk nie traktował jednak kobiet lepiej. Ateńczycy z okresu klasycznego swoje kobiety najchętniej zamknęliby w domu i ubezwłasnowolnili, nie dopuszczając ich nawet do imprez organizowanych dla znajomych. Kobieta średniowieczna, choć też w części ubezwłasnowolniona, mogła liczyć na odrobinę czułości ze strony małżonka. W Grecji okazywanie uczuć żonie uznawano za nietakt, w przeciwieństwie do kochanki, a jeszcze lepiej – młodego kochanka. Zdarzało się, że uwiędli starcy chcący zwiększyć liczbę potomków poszukiwali w swojej polis młodzików gotowych zapłodnić ich młode żony. Tych ostatnich o zdanie nikt nie pytał. Podobnie wyglądały sprawy w starożytnym Izraelu, gdzie sprawca mógł uniknąć kary za gwałt, poślubiając swoją ofiarę.

W gwałcie poczęty został Rzym. Dzieckiem gwałtu miał być Romulus, z gwałtu i porwania Sabinek powstały rzymskie rody i również gwałt stał się zaczynem republiki, kiedy to mąż i wdowiec po pohańbionej Lukrecji zemścił się na ostatnim królu Tarkwiniuszu Pysznym. W antyku gwałt na kobiecie, często mylony z cudzołóstwem, był przestępstwem przeciw jej ojcu i mężowi i mało kto przejmował się szkodą na ciele i umyśle ofiary. Zwykle sprawa kończyła się na odszkodowaniu, chyba że krewki małżonek nakrył przestępcę na gorącym uczynku – wtedy mógł go zabić. Tu antyk nie różnił się wiele od średniowiecza. Gwałty były w starożytności surowo karane, ale tylko na obywatelkach. Niewolnicy zgwałcić się nie dało – jej ciało należało do właściciela, który mógł go używać do woli.



Jacopo Tintoretto „Tarkwiniusz i Lukrecja”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ART INSTITUTE OF CHICAGO



Johann Heinrich Tischbein „Pojedynek Menelaosa z Parysem” FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Rozstrzygnijmy to jak mężczyźni

Walka na broń białą dla sportu, aby oddać cześć bogom, upamiętnić zmarłych, powróżyć – znali to zarówno

eprasa.pl a8150e68df



Średniowieczny pojedynek. Grafika na podstawie miniatury z XV-wiecznego manuskryptu FOT. COMMONS WIKIMEDIA, INTERNET BOOK ARCHIVES

Grecy, Rzymianie, jak i barbarzyńcy. Pomysł, by wskazywać winnego przestępstwa za pomocą walki, był jednak śródziemnomorskim cywilizacjom obcy. Wywodził się od germańskich barbarzyńców, którzy osiedlając się na gruzach zniszczonego przez sobie imperium, przynieśli rzymsko-greckiej ekumenie swoje specyficzne rozumienie prawa karnego.

Czytając te słowa, miłośnicy „Iliady" zapewne zmarszczą groźnie brew. Przecież jeden z najsłynniejszych mitycznych pojedynków między Menelaosem a Parysem, który miał zakończyć epicki konflikt, jak najbardziej zdarzył się w cywilizacji śródziemnomorskiej. A jeśli przyjąć za pewnik tezę, że „Iliada" jest odbiciem pradawnych mykeńskich zwyczajów wojskowych, to w takim razie pojedynki sądowe u Greków powinny były mieć miejsce. Otóż nie każdy pojedynek mający zakończyć jakiś spór czy oddać honor jest pojedynkiem sądowym. Aby takim się stał, zwaśnione strony, wyczerpując wszystkie możliwości rozwiązania sporu, muszą udać się do swojego wodza, księcia, najwyższego kapłana, a być może nawet całego wiecu wojowników i poprosić o sędziowanie. Zwierzchnik dopilnuje, aby przegrany, jeśli przeżyje starcie, został potraktowany zgodnie z miejscowym prawem, czyli najczęściej zawisł na uprzednio w tym celu wzniesionym szafocie. Na polach pod Troją nie było żadnego sędziego.

Obyczaj ten wydaje się nam prymitywny, nieracjonalny, bo oznacza, że wytrenowany osiłek zazwyczaj okaże się w myśl prawa niewinny. W wiekach V i VI germańscy barbarzyńcy klęknęli przed krzyżem i okazało się wtedy, że w czasie pojedynków sądowych to sam Bóg wskazuje niewinnego, kierując jego uzbrojonym w miecz ramieniem. Pojedynki takie z naszej perspektywy są więc kpiną nie tylko z prawa, lecz także z wiary. Sprawa nie jest jednak wcale taka prosta.

W Europie wczesnośredniowiecznej nie było prokuratorów i policji, a postępowanie karne prowadzili z reguły ofiara lub jej krewni. Dziś nazywamy taki tryb postępowania „prywatnoskargowym". W takich warunkach dochodzenie sprawiedliwości zależało od negocjacji między rodzinami ofiary i sprawcy. Aby obie strony potraktowały ten obowiązek poważnie, wprowadzono właśnie możliwość pojedynku sądowego. Wynik takiego starcia był niepewny, a lepiej wszakże negocjować, niż stracić głowę. Jednakże pojedynki sądowe, toczone przed szanowanym powszechnie sędzią, rozstrzygając sprawę ostatecznie, wykluczały ciągnące się dziesiątkami lat waśnie rodowe znane z dzikich obszarów Bałkanów. Sprawy o gwałt sprzyjały stosowaniu takich rozwiązań, ponieważ zwykle brakowało tu dowodów czy świadków.

Jeden z pierwszych znanych nam europejskich pojedynków sądowych zdarzył się w 590 r. w rządzonej już wówczas przez Franków Burgundii. Tamtejszy królewski łowczy oskarżył podkomorzego, niejakiego Chundo, o nielegalne upolowanie tura z królewskiej puszczy. Śmierdziało to z daleka ordynarną walką między dwoma możnymi o względy władcy, ale zdecydowano, że sprawa jest tak paląca, iż musi ją rozstrzygnąć żelazo. Będący już w podeszłym wieku Chundo wystawił zastępcę, siostrzeńca, niemal chłopca. Łowczy walczył osobiście. Przeciwnicy potykali się na włócznie i sztylety. Co ciekawe, do pewnego momentu walka rozgrywała się niemal identycznie jak pojedynek de Carrouges'a i Le Gris'a. Młodzik zdołał straszliwie ranić łowczego w stopę, ale gdy dobijał go nożem, przeciwnik, z którego uchodziło już życie, zdołał jeszcze wbić swój sztylet w brzuch niedoszłego triumfatora. W ten sposób obaj skonali na placu boju. Przerażony Chundo uciekł do pobliskiego klasztoru, ale tam go pochwycono, a następnie ukamienowano. Było to więc starcie równie dramatyczne jak to z filmu Scotta.

Walki plebejuszy

Sądowe pojedynki nie miały nic wspólnego z honorową walką i turniejami. W 1127 r. we Flandrii pojedynkowali się Herman Żelazny i Guy Steenvoorde. Herman został powalony i przygnieciony przez Guya, ale żelazną rękawicą zdołał sięgnąć pod kolczugę przeciwnika, boleśnie miażdżąc mu jądra, dzięki czemu zrzucił go z siebie. Steenvoorde, ledwo dysząc, uznał się za pokonanego, po czym natychmiast go powieszono.

W 1455 r. w Valenciennes potykali się plebejusz Jacotin Plouvier i Mahiot Coquel, krawiec z flamandzkiego Doornik. Plouvier pewnego dnia oskarżył Coquela o to, że ten w jakimś zaułku zabił jego krewnego. Krawiec twierdził, że była to samoobrona. Miasto zgodziło się na pojedynek. Podobnie jak de Carrouges i Le Gris mieszczanie oczekiwali na termin pojedynku aż 10 miesięcy w miejskim więzieniu. W dniu sądu dano im pałki z głogu, jednego z twardszych krzewów, i odwrócone do góry nogami tarcze na znak, że są z plebsu. Ubrano ich w natłuszczone kubraki, aby wykluczyć chwyty, a lewą stopę kazano zostawić, nie wiedzieć czemu, gołą. W czasie starcia Coquel sypnął piaskiem w twarz Plouviera, a choć był mniejszy i słabszy, to zdołał też rozwalić pałką czoło przeciwnika. Ten jednak, niepomny bólu, dosiadł go i wyłupił mu oczy. Coquela powieszono, a Mathieu d'Escouchy, pikardyjski rycerz i kronikarz, zanotował, że było to wydarzenie obrzydliwe i urągające wierze.

Większość pojedynków sądowych, które toczono w średniowieczu, rozegrała się między plebejuszami, a nie rycerzami.

eprasa.pl a8150e68df

Mieszczanie i chłopi walczyli na pałki lub maczugi i jedynie na piechotę – tak było taniej i podobno mniej krwawo. Często obowiązkowe był tarcze. Rycerzy zakazy te oczywiście nie dotyczyły – mogli się potykać na piechtę lub konno i za pomocą tej samej broni, której używali w bitwach.

Heinrich von Neustadt, lekarz żyjący na przełomie wieków XIII i XIV, oraz Hans Talhoffer, XV-wieczny szermierz i najemnik, na boku trudnili się też pisaniem książek. Ten pierwszy pisał romanse rycerskie, drugi traktaty szermiercze. Oba zawierają dość frapujące rysunki, na których pojedynkuje się kobieta z mężczyzną. Ten ostatni dla wyrównania szans stoi w dołku głębokim do pasa i jedną rękę ma przywiązaną do boku. Nie wiadomo jednak, czy takie starcia kiedykolwiek się odbyły.

Filmowi de Carrouges i Le Gris przed walką nie korzystają z instruktorów, ale tacy fachowcy byli zarówno we Francji, jak i w Anglii. W Albionie zakazano nawet działalności szkół szermierczych, ponieważ mieszczańscy synowie trwonili tam czas i pieniądze, zamiast zająć się robotą i modlitwą.

Kierowanie się zdrowym rozsądkiem w czasie sporów sądowych bardziej niż rycerzy charakteryzowało klechów i chamów. Oto bowiem na półwyspie Cotentin, w tej samej Normandii, która zrodziła de Carrouges'a i Le Gris'a, pod panowaniem tego samego władcy, który przyglądał się ich walce, pewien wieśniak oskarżył swojego sąsiada o włamanie i gwałt na żonie. Poszkodowany mąż zamierzał rozwiązać sprawę za pomocą kija i lokalny baliw zezwolił na pojedynek. Jednocześnie sąsiedzi obu mężczyzn zebrali się na naradę i zwrócili uwagę na to, że pojedynek, jakkolwiek by się zakończył, doprowadzi do osierocenia sporej gromadki dzieci. Nie wiadomo, czy wieśniakami kierowało współczucie czy może zimna kalkulacja, bo utrzymanie małej armii sierot spadłoby natychmiast na barki wspólnoty. Sąsiedzi zaaranżowali więc jakieś kompromisowe rozwiązanie, którego treści nie znamy, i natychmiast zaapelowali do króla o wstrzymanie pojedynku. Karol VI się na to zgodził.



„Finał pojedynku między Jeanem de Carrougues'em a Jakiem Le Gris'em". Miniatura z XV w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BL.UK

Igranie z Bogiem

O tym, że pojedynki sądowe urągają poczuciu sprawiedliwości, wiedzieli zarówno władcy, jak i Kościół. W VIII w. wątpliwości w tej kwestii wyraził król Longobardów Liutprand, ale nacisk wojowników był tak wielki, że nie sposób było z tego zwyczaju zrezygnować. Przez następne kilkaset lat Kościół upominał krewkich wojów, że pojedynek sądowy to próba wystawienia Boga na próbę, prowokowanie jego gniewu, nie mówiąc już, że kierowały nimi sprzeczne zasady. Po co bowiem wystawiać w pojedynku zawodowego zastępcę czy czempiona, skoro Bóg i tak ma wskazać zwycięzcę, kierując jego ramieniem?

Ostatecznie w XIII w. władcy Francji kilkukrotnie zakazywali pojedynków sądowych, ale tylko w swoich dobrach – wolne miasta i suwerenne de facto Księstwo Burgundii działały po swojemu. Sporo odmów pojedynku przypadło zwłaszcza na rządy Filipa IV Pięknego – tego samego, który doprowadził do zniszczenia templariuszy. Zakazowi pojedynków sądowych sprzyjało też… zbyt wysokie wyszkolenie wojów i rycerzy. W Norwegii, gdzie w XI w. żywa była tradycja berserkerów, i we Flandrii, gdzie kręciło się mrowie najemników, fachowcy od miecza i topora specjalnie prowokowali gorzej wyszkolonych bogaczy, aby zagarnąć ich majątek po wygranym pojedynku.

W grudniu 1386 r. de Carrouges i Le Gris stanęli ostatecznie naprzeciw sobie. Scott udramatyzował to zdarzenie tak, aby pasowało do typowego starcia turniejowego. Po pierwsze, de Carrouges i Le Gris nie szarżowali na siebie konno – plac, na którym się bili, był na to za mały. Nie było więc również męczarni zabijanych koni. Zapewne nie używano też toporów. Było to więc piesze starcie z użyciem mieczy i długich sztyletów. Prawdą jest jednak, że Le Gris, człowiek o niepospolitej sile fizycznej, ciął przeciwnika w nieosłonięty fragment uda, koło łękotki, powodując obfity krwotok. Popełnił wtedy błąd – wyciągnął broń z ciała przeciwnika i zbliżył się, by zadać rozstrzygający cios, a wówczas de Carrouges znienacka pociągnął go za szczyt hełmu i obalił na ziemię jak zapaśnik. Zwycięstwo de Carrouges'a było więc skutkiem nagłego zwrotu akcji, podobnie jak w opisanych wcześniej pojedynkach. Marguerite nie obserwowała starcia z szafotu czy wozu – król kazał ją odprowadzić za płot odgradzający turniej. Jak twierdzi Hannah Skoda, autorka książki „Medieval Violence: Physical Brutality in Northern France, 1270–1330", Margueritte w wypadku śmierci męża nie poszłaby na stos, ale do lochu lub sprawa skończyłaby się na wysokiej nawiązce dla Le Gris'a.

Wbrew tytułowi sądowy pojedynek de Carrouges'a i Le Gris'a nie był ostatnim we Francji lub w krajach francuskojęzycznych. W 1397 r. w Sabaudii, należącej wówczas do mocno już zdezintegrowanej Rzeszy, doszło do sądowej walki między Gerardem d'Estavayerem i Ottonem III de Grandsonem. Ten drugi, oprócz wojowania, znany był też jako poeta i popularyzator walentynek. Otton zginął już w pierwszym starciu, gdy uderzony został kopią prosto w okolice serca. Być może z racji literackiej profesji miłosierny Bóg oszczędził mu powolnych i mało romantycznych kaźni, które towarzyszyły walce de Carrouges'a i Le Gris'a. Jeszcze w 1409 r. Karol VI zezwolił na pojedynek między dwoma rycerzami, ale przerwał go w najgorętszym momencie. Od tej pory pojedynki sądowe zdarzały się jeszcze z rzadka jedynie w kochającej rycerski obyczaj Burgundii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8150e68df

Wywiad / Z Michałem Wójcikiem, historykiem, autorem książki „Miasto szpiegów”



Niemiecki żołnierz na tarasie Zamku Królewskiego w Warszawie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KOLEKCJA MARKA TUSZYŃSKIEGO ZDJĘĆ Z II WOJNY ŚWIATOWEJ

„Dorsz” po warszawsku

Rozmawia Piotr Włoczyk

W okupowanej stolicy Polski pod nosem Niemców toczyła się wojna wywiadów. Nikt nie mógł być pewny lojalności szpiega

PIOTR WŁOCZYK: Ilu było w Warszawie „dorszy”?

MICHAŁ WÓJCIK: Ciężko to dokładnie oszacować, ale w sumie było ich pewnie kilkuset. Taki „dorsz” był bardzo cenny. Zazwyczaj to byli piloci albo członkowie załogi lotniczej. W trakcie wojny chyba łatwiej zbudować samolot, niż wyszkolić dobrego pilota. A jeszcze taki pilot, który uciekał z obozu i rwał się do dalszej walki, był już absolutnie bezcenny.

Skąd wzięły się „dorsze”?

Raz, że wedle stereotypowego przekonania Anglicy uwielbiają ryby, wszak to wyspiarze, a dwa – ryba szybko się psuje.

W tym przypadku psucie oznaczało oczywiście zagrożenie – nie tylko dla nich samych, lecz także dla wszystkich dookoła.

Tak, to „psucie się” było wielkim problemem dla polskiego podziemia. Prześledźmy ich drogę. Uciekając z różnych obozów jenieckich, na początku trafiali oni do jakiejś wiejskiej chałupy. Chłop nie miał pojęcia, co robić, bo przecież nie mógł się z nimi dogadać. Wzywał więc sąsiada albo księdza, a ten już mógł mieć kontakty z lokalnym podziemiem. I na zasadzie takiego łańcuszka ludzi dobrej woli „dorsz” trafiał do większego miasta, gdzie ukryć się jest najłatwiej. Jeszcze tylko dodajmy, że „dorsz” wcale nie musiał być Anglikiem. To byli po prostu obywatele Commonwealthu, choćby Kanadyjczycy czy Australijczycy. Ludzie, którzy o specyfice Polski nie mieli zielonego pojęcia.

Kto ich przejmował w dużych miastach?

Podziemie miało do tego specjalny „departament”. Kobiety, które przejmowały nad nimi opiekę, w podziemnym slangu nosiły miano „ciotek”. Wiele z nich znało angielski, ale konieczna była też asertywna postawa. Uciekinierzy bywali niesforni. Przecież to byli zazwyczaj młodzi mężczyźni. Po ucieczce chcieli walczyć dalej, a także trochę się rozerwać. Trzeba było ich trzymać „na smyczy”. Okupacja okupacją, ale przecież oni chcieli się też zabawić. Opieka nad nimi to była ciężka praca i tak „zapracowanego” już podziemia.

eprasa.pl a8150e68df

Jeńcy z Zachodu może nie mieli najbardziej luksusowych warunków w niemieckich obozach, ale raczej byli tam traktowani po ludzku.

Niemcy respektowali konwencje. No, chyba że ktoś robił im naprawdę sporo problemów, czyli np. uciekał z obozu kilka razy. Bardzo niedobrze skończyła się słynna „wielka ucieczka" z obozu w Żaganiu, ale – co do zasady – Niemcy traktowali pojmanych angielskich czy amerykańskich pilotów znacznie lepiej niż pojmanych Polaków, którym udowodniono walkę zbrojną.

W książce pisze pan, że miesięczne utrzymanie „dorsza" w Warszawie kosztowało 9,5 tys. zł. Zastanawiająco wysoka kwota.

To wiedza z raportów, różnych sprawozdań. Musimy jednak pamiętać, że i w polskim podziemiu dochodziło do różnych nadużyć, również finansowych. Rozmawiałem z kilkoma byłymi żołnierzami AK i wychodzi na to, że zawyżanie kosztów, choćby akcji bojowych, było nagminne. Opieka nad „dorszami" nie była tania. Trzeba było dla nich wynajmować mieszkania, w razie zagrożenia – zmieniać je. Do tego dochodzą aprowizacja, opieka, no i wpadki, bardzo kosztowne, bo podziemie traciło w ten sposób ludzi. Naprawdę sporo członków podziemia musiało odrywać się od pracy, żeby mieć na nich oko.

Jedną z kobiet, które się nimi opiekowały, była Wanda Kronenberg, agentka kilku wywiadów w okupowanej Warszawie. Wiemy, że ona nie tylko dawała im schronienie, lecz także zatrudniała ich też do misji, które z walką o niepodległość nie miały wiele wspólnego. Niektórzy z nich urywali się podziemiu i po prostu weszli na drogę bandyterki. A kilku trzeba było nawet „odstrzelić", ponieważ byli niereformowalni, wręcz niebezpieczni.

Kilku „dorszy" zostało w Warszawie, nawet gdy wybuchło powstanie.

I przysłużyli się Polsce. Jan Nowak-Jeziorański upatrzył sobie Johna Warda i „wychował" go na dziennikarza. Dzięki jego meldunkom i relacjom, które były podawane przez podziemne radiostacje, liderzy Wielkiej Brytanii dostawali informacje, można powiedzieć, z „pierwszej ręki". John Ward był autorem obszernych relacji z powstania warszawskiego. Z żołnierza stał się właściwie korespondentem wojennym. A po wojnie zmienił tożsamość i zniknął. Wiadomo tylko, że służył w brytyjskim wywiadzie.



MICHAŁ WÓJCIK
„MIASTO SZPIEGÓW"
REBIS

Kim dla „dorszy" był „pan Stefan"?

To bardzo ciekawy rozdział historii okupowanej Warszawy. Kto bywa dziś w restauracji Telimena przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, znajdzie tam informację, że z tego miejsca nadawała brytyjska radiostacja i właśnie tam mieściła się komórka brytyjskiego wywiadu. Czy tak było? Brytyjskie archiwa są dla nas nadal zamknięte, ale przecież to niemożliwe, aby brytyjscy agenci wywiadu tu nie pracowali. To było zbyt ważne miejsce na mapie globalnego konfliktu.

„Pan Stefan" to postać tajemnicza. Władysław Bułhak, ekspert w dziedzinie polskiego wywiadu, próbował prześwietlić tę postać, ale wciąż niewiele o nim wiemy. Naprawdę nazywał się Horatio William Cook i był emerytowanym oficerem Royal Navy. W Warszawie przed wojną sprzedawał brytyjskie samochody. Ale gdy Niemcy napadli na Polskę, ponoć nie był w stanie przedrzeć się na Zachód i już został w Warszawie... W trakcie okupacji utrzymywał stały kontakt z przebywającymi w Warszawie „dorszami". Jego mieszkanie było dla nich punktem kontaktowym. Czy był zatem brytyjskim łącznikiem, etatowym oficerem wywiadu, jakimś ogniwem w łańcuchu brytyjskich tajnych służb? Nie da się tego wykluczyć. Zresztą tak jak tego, że mógł być niemiecką „wtyką".

W książce cytuje pan gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, który informował Londyn, że „Pan Stefan" właśnie nią jest.

Cały problem polega na tym, że jeżeli nie uzyskamy pełnego dostępu do archiwów niemieckich, rosyjskich i brytyjskich, to nigdy nie napiszemy całościowej historii okupowanej Warszawy. Nie poznamy wszystkich gier wywiadów i kontrwywiadów działających w mieście. Poza tym te meldunki, raporty i sprawozdania, które już mamy, często same sobie przeczą. Pamiętajmy, kto je pisał. Kontrwywiad AK miał wiele referatów i podreferatów, które polowały na informacje. Te, po opracowaniu, krążyły między szefami tych komórek i były w różny sposób wykorzystywane. Nierzadko informacje te zamiast porządku wprowadzały zamęt.

Moim ulubionym przykładem są relacje ze śledzenia Wandy Kronenberg czy bohaterów „Miasta szpiegów" – właścicieli knajpy/spółdzielni Piekiełko na Starym Mieście. Członkowie kontrwywiadu, którzy ich śledzili, donosili nie tylko o tym, co sami stwierdzili, lecz także co sami usłyszeli. A tu wiadomo: jedna pani drugiej pani, czyli agencja JPDP. Informacji jest tyle, że można z tych raportów utkać dowolny obraz. I tkano. Zawzięcie! Rozplątanie tych nitek informacji i dojście do prawdy zajmowało oficerom mnóstwo czasu. Czasu, którego – przypominam – na wojnie zawsze jest mało. I jest on bardzo kosztowny.

Meldunków na temat „Pana Stefana" jest wiele i różnie jest w nich przedstawiany. Zresztą ten człowiek świetnie grał, w zależności od tego, z kim rozmawiał. Raz był cwaniakiem, a innym razem zdezorientowanym staruszkiem. Tak właśnie potrafi się zachowywać dobry szpieg. Na kilometr śmierdzi opowieść o tym, że „Pan Stefan" nie



Pierwsi piloci RAF w niemieckiej niewoli. Oflag IX A, grudzień 1939 r. FOT. INTERNATIONAL BOMBER COMMAND CENTRE UNIVERSITY OF LINCOLN, CC BY 4.0

eprasa.pl a8150e68df

był w stanie uciec z Polski po wybuchu wojny. Pewnie miał tu zostać i wykonywać konkretną robotę. Co ciekawe, do „Pana Stefana" trafiali też często cichociemni – polscy wielozadaniowcy, ale jednak wysyłani przez Brytyjczyków.

Czy „Pan Stefan" był lojalny wobec Korony Brytyjskiej?

To trudne pytanie. Nie wiem, bo równie dobrze można pracować na dwie strony i mieć do końca czyste sumienie. Znam wiele relacji ludzi, którzy w czasie wojny pracowali na wszystkie możliwe strony i utrzymywali, że byli lojalnymi patriotami.

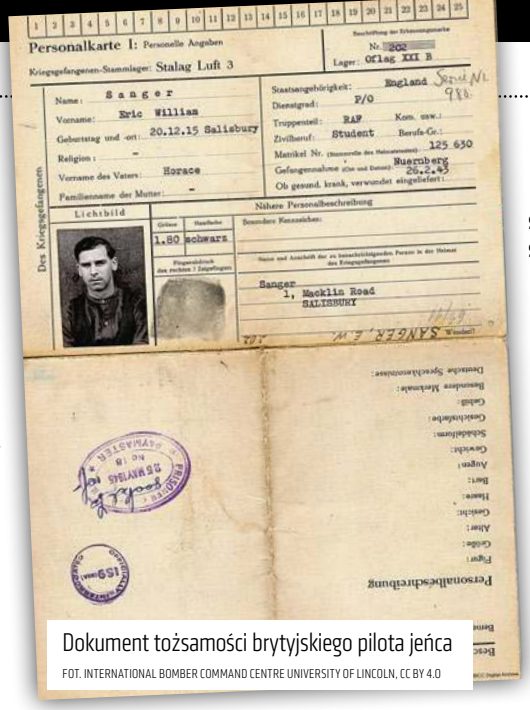
Ron Jefferey jest tu dobrym przykładem. To również „dorsz", Anglik, którym zaopiekowało się Polskie Państwo Podziemne. W którymś momencie trafił on „pod skrzydła" oficera Abwehry, gen. Borysa Smysłowskiego, i jako „jego" człowiek został przerzucony do Wielkiej Brytanii.

Bór-Komorowski alarmował polskie władze na uchodźstwie, że Cook, czyli „Pan Stefan", poznał Jeffereya ze Smysłowskim.

No właśnie. Smysłowski załatwił swojemu brytyjskiemu podopiecznemu transport i wysłał go z jakąś misją do Londynu. Sam Smysłowski to arcyciekawa postać. Ten biało-Rosjanin z obywatelstwem II Rzeczypospolitej, który z kampanii wrześniowej wrócił do domu w Warszawie już w niemieckim mundurze, zawzięcie pukał potem do drzwi podziemnej Delegatury Rządu na Kraj i AK. I robił to całymi latami. Nikt nigdy nie udowodnił mu żadnych świństw wobec Polaków. I dlatego zamach na niego w maju 1944 r. to bardzo tajemnicza historia.

Stanisław Aronson, jeden z egzekutorów, który brał udział w tym zamachu, do dziś – a w maju kończy 100 lat! – jest przekonany, że próba zabicia go była w istocie sowiecką prowokacją. Przy czym Aronson nie jest człowiekiem „z ulicy". Przez cztery dekady chodził w mundurze oficera izraelskich służb, więc zna się na rzeczy i ma różne znajomości. Krótko mówiąc: wiedział, gdzie szukać informacji, a jednak ich nie znalazł.

Aronson stracił w trakcie tamtej nieudanej akcji przyjaciela. Jego zdaniem wysłanie wtedy


Personalkarte I: Personelle Angaben

Kriegsgefangenen-Stammlager: Stalag Luft 3 — Lager: Oflag XXI B

Name: Sanger
Vorname: Eric Willian
Geburtstag und -ort: 20.12.15 Salisbury
Religion: –
Vorname des Vaters: Horace
Familienname der Mutter: –
Staatsangehörigkeit: England
Dienstgrad: P/O
Truppenteil: RAF
Zivilberuf: Student
Gefangenennahme: 26.2.43 Nuernberg
Lichtbild
1.80 schwarz
Sanger
1, Macklin Road
SALISBURY

Dokument tożsamości brytyjskiego pilota jeńca
FOT. INTERNATIONAL BOMBER COMMAND CENTRE UNIVERSITY OF LINCOLN, CC BY 4.0


Ron Jeffrey FOT. DOMENA PUBLICZNA

kilkunastu uzbrojonych ludzi wygląda przedziwnie. Tak dużych sił Kedyw nie przeznaczył nawet do przeprowadzenia zamachu na Franza Kutscherę...

To była bardzo dziwna akcja, bo zostały tam popełnione wszystkie możliwe błędy. Rzeczywiście, żołnierzy było za dużo i stali oni w jednym miejscu, doskonale widoczni. To samo zdarzyło się drugiego dnia, co urąga wszelkim zasadom bezpieczeństwa. I dlatego ta akcja skończyła się tragedią – dwóch żołnierzy Kedywu zginęło, a Smysłowskiemu nie spadł włos z głowy.

Według Aronsona za zleceniem tego zamachu tak naprawdę mógł stać Kreml, który miał przecież zarówno w Londynie, jak i w AK wielu agentów. Sowietom na pewno zależało na śmierci oficera Abwehry, który był ich wrogiem, zwalczał sowiecką partyzantkę i organizował spośród sowieckich jeńców oddziały walczące u boku III Rzeszy. Bo przecież ogólny zarzut wobec Smysłowskiego o pracę dla Abwehry nie wydaje się chyba szczególnie sensowny w kontekście zlecania egzekucji?

Gdyby taki zarzut miał być podstawą dla wyroku śmierci, to dlaczego inni ludzie, którzy pracowali dla Abwehry, nie byli skazywani przez podziemie? W książce piszę m.in. o aferze Samsona Mikicińskiego, emisariusza Rządu RP we Francji, który był przecież człowiekiem Abwehry. Niemiecki wywiad prowadził go, ale Mikiciński wykonywał dla Polski bardzo pozytywną pracę. Abwehra – jak wiadomo – konkurowała z gestapo, to była zupełnie inna służba, z inną tradycją. To oczywiście nie byli przyjaciele Polski, ale jednak nieprzypadkowo Wilhelm Canaris, szef Abwehry, został w końcu zlikwidowany przez samych Niemców.

Mikiciński ostatecznie zniknął z dziurą w głowie na poboczu drogi z Jerozolimy do Tel Awiwu, ale już inny Polak, wysłannik Abwehry do Ankary i Stambułu, a wcześniej szmalcownik i agent „celowy" na Pawiaku, Ryszard Mączyński, przeżył. Po wpadce i kilkutygodniowym śledztwie zaczął sypać i...alianci ofiarowali mu może nie najwygodniejszą, ale jednak bezpieczną koję w jerozolimskim więzieniu i ten cwany szpieg po wojnie trafił do II Korpusu gen. Andersa, gdzie został zatrudniony jako tłumacz.

Trop za nim urywa się w 1949 r. Jeszcze wtedy odgrażał się, że wróci do kraju i policzy z oszczercami, ale... hyc, zniknął. Pewnie wyemigrował z Europy do USA i żył sobie spokojnie pod zmienionym nazwiskiem, być może jako wzorowy obywatel i polski patriota. Nie on jeden przecież. O innych takich przypadkach również piszę w „Mieście szpiegów".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Michał Wójcik jest historykiem, dziennikarzem, autorem książek na temat okupacji Polski w trakcie drugiej wojny światowej, w tym najnowszej – „Miasto szpiegów. Gra wywiadów w okupowanej Warszawie".

eprasa.pl a8150e68df

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Zainwestuj w Do Rzeczy S.A. Kup Akcje Spółki!

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Idziemy na giełdę, by budować jeszcze mocniejsze, niezależne medium."



Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY
TYGODNIKA „DO RZECZY"



Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl a8150e68df



Piotr Kitrasiewicz

Lata 30. XX w. / Na placówce w Moskwie

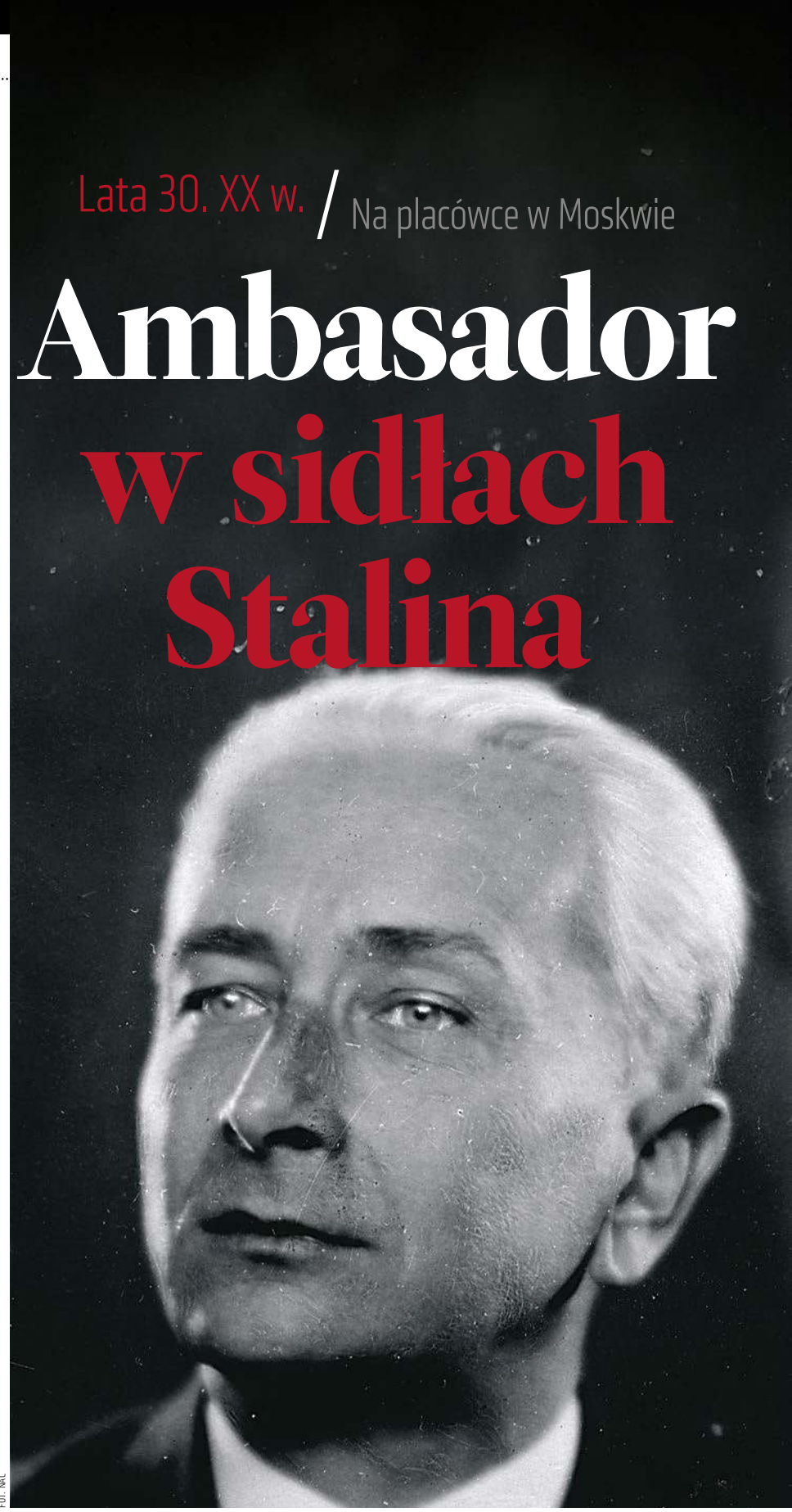
Ambasador w sidłach Stalina

Wacław Grzybowski do historii przeszedł jako ambasador, który 17 września odmówił przyjęcia bezczelnej sowieckiej noty. W kolejnych dniach musiał walczyć o ratunek dla polskich dyplomatów pracujących w ZSRS. W tej misji jedną z kluczowych ról odegrał ambasador... III Rzeszy

Zawarcie paktu Ribbentrop-Mołotow 23 sierpnia 1939 r. było zaskoczeniem nie tylko dla polskiego ambasadora w ZSRS, lecz także dla wszystkich dyplomatów i dziennikarzy akredytowanych w Moskwie. Wacław Grzybowski przekonany był początkowo, że chodzi jedynie o aktywizację kontaktów handlowych.

Tego, że pakt – zawierający tajne klauzule – miał na celu podział Europy Wschodniej, rzecz jasna nie ujawniono. W środowisku dyplomatycznym Moskwy mówiło się na ten temat dużo, ale spekulacje były rozmaite, zresztą wzajemnie się wykluczające. Sam Grzybowski wydawał się mocno zdezorientowany, skoro w jednym z raportów wysłanych do Warszawy napisał, że Polska nie ma podstaw do obaw, a sam układ „znacznie odciążył naszą sytuację".

Absurdalność tych ocen może wydawać się szokująca, a nawet bliska politycznemu sabotażowi. Jego naiwne rozumowanie nawiązywało do prowadzonych w sierpniu negocjacji pomiędzy delegacjami francuską i angielską oraz reprezentowanym przez marszałka Klimenta Woroszyłowa rządem sowieckim, dotyczących zawarcia sojuszu w nadchodzącej wojnie. Warunkiem Moskwy



FOT. NAC

eprasa.pl a8150e68df

była zgoda Polski na wpuszczenie na jej terytorium Armii Czerwonej, na co oczywiście nasze władze nie chciały się zgodzić. Jednak Londyn i Paryż silnie naciskały na Warszawę w tej kwestii, co bardzo irytowało ministra Józefa Becka. W sytuacji, gdy nastąpiła nagła zmiana polityki zewnętrznej ZSRS, sojusz z Zachodem stał się dla niego nieaktualny i naciski te ustały.

W obliczu nowej sytuacji politycznej nie mogło być mowy o jakimkolwiek „odciążeniu" Polski, wprost przeciwnie – teraz to Hitler miał otwartą drogę do rozpoczęcia agresji, a po kilku dniach, jak to ustalono na Kremlu z Ribbentropem, miał ruszyć Stalin. Równoczesnego uderzenia ze wschodu i z zachodu nie brano pod uwagę, gdyż kremlowskim lisom zależało, żeby odium agresora spadło na Niemcy, a krasnoarmiejcy wejdą, gdy możliwe będzie umotywowanie tego kroku przed opinią międzynarodową.

3 września rano polski ambasador zjawił się w gabinecie Mołotowa, żeby wręczyć mu notę o napaści Niemiec na Polskę. Podczas rozmowy komisarz wydawał się zajmować stanowisko neutralne, ale kiedy zapytał Grzybowskiego o oczekiwania dotyczące pomocy ze strony zachodnich aliantów, a ten odparł, że Wielka Brytania i Francja lada chwila wypowiedzą wojnę Rzeszy, Rosjanin uśmiechnął się sceptycznie i z nutą ironii powiedział: „A to się jeszcze zobaczy, panie ambasadorze".

Spokój MSZ

Jeszcze tego samego dnia Anglia, a kilka godzin później Francja ogłosiły, że znajdują się w stanie wojny z III Rzeszą. Przez kilka kolejnych dni Grzybowski gorączkowo śledził wydarzenia w Moskwie i słał do Warszawy raport za raportem.

Sytuacja zmieniała się z dnia na dzień. Rząd sowiecki ogłosił pobór części rezerwistów, ale jeszcze groźniejsze było przekształcenie dwóch okręgów wojskowych – kijowskiego i mińskiego – we fronty. Z kolei w moskiewskim parku Gorkiego odbyła się manifestacja polityczna; agitatorzy wygłaszali tam mowy krytykujące „pańską" Polskę „gnębiącą" mniejszości narodowe i zapowiadające ich wyzwolenie przez Armię Czerwoną.

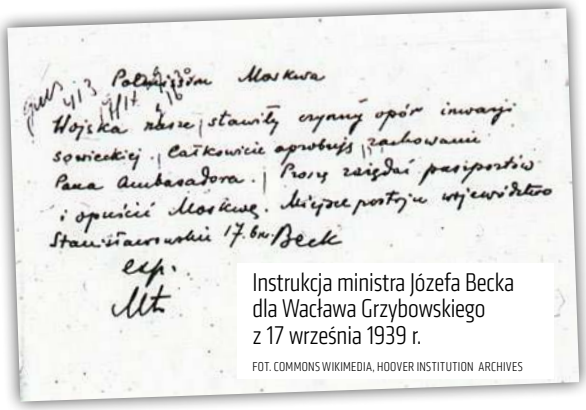


Joachim Ribbentrop i Józef Stalin (w środku), Moskwa, 23 sierpnia 1939 r.
FOT. MT, DATA, RU, MICHAIŁ KAŁASZNIKOW

W sowieckiej prasie zaczęły się pojawiać artykuły poruszające kwestię polskich obywateli narodowości ukraińskiej i białoruskiej, jakoby uciskanych przez rząd polski i czekających na wyzwolenie. A kto miałby dokonać tego wyzwolenia? O tym wszystkim Grzybowski informował na bieżąco posuwające się na trasie ewakuacyjnej na wschód kierownictwo polskiego MSZ. W odpowiedzi zalecano mu dalsze obserwowanie sytuacji i zachowanie spokoju.

Równolegle, o czym polski ambasador nie mógł wiedzieć, Berlin wywierał presję na Moskwę w kwestii inwazji na Polskę. Początkowo ZSRS miał zamiar napaść na nasz kraj jeszcze w pierwszej dekadzie września, ale przystąpienie do wojny Wielkiej Brytanii i Francji przesunęło tę decyzję. Dopiero gdy Sowieci upewnili się, że była to tylko symboliczna demonstracja ze strony Londynu i Paryża, rozpoczęli konkretne przygotowania.

16 września zostały one zakończone i na granicy z Polską stała już milionowa armia. Gdy tego dnia zirytowany niemiecki ambasador hrabia Friedrich von Schulenburg przyszedł do Mołotowa, żeby przekazać mu niezadowolenie swojego rządu z sowieckiej opieszałości, usłyszał nareszcie, że „wkroczenie" nastąpi jutro, czyli 17 września. Ambasador RP nie wiedział jeszcze, że właśnie otwiera się najbardziej dramatyczny rozdział jego życia.



Instrukcja ministra Józefa Becka dla Wacława Grzybowskiego z 17 września 1939 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HOOVER INSTITUTION ARCHIVES

Ochotnik

Wacław Grzybowski urodził się 4 kwietnia 1887 r. na Podolu w polskiej rodzinie szlacheckiej z patriotycznymi tradycjami. Uczył się w Kijowie, Krakowie (na UJ studiował filozofię), następnie wiedzę zdobywał za granicą: w Wiedniu, we Florencji i w Oksfordzie.

W czasie pierwszej wojny światowej żył w Moskwie, gdzie był świadkiem rewolucji bolszewickiej, oraz w Kijowie, gdzie działał w polskich organizacjach politycznych i charytatywnych. Służył w Polskiej Organizacji Wojskowej, a w roku 1920 wstąpił na ochotnika do wojska, by bronić kraju przed bolszewikami. To wtedy stał się zagorzałym zwolennikiem Józefa Piłsudskiego.

Jego kariera rozpoczęła się po przewrocie majowym, gdy został szefem gabinetu premiera Kazimierza Bartla, swojego kolegi z Partii Pracy. Od roku 1927 do 1935 kierował Poselstwem RP w Pradze. Po powrocie do Warszawy i kilkumiesięcznej pracy w Urzędzie Rady Ministrów, w 1936 r. został ambasadorem w Moskwie.

W tej roli pierwszą rozmowę odbył z Nikołajem Krestinskim, wicekomisarzem ludowym do spraw zagranicznych. Rozmowa była nieprzyjemna, gdyż Krestinski zarzucił Polsce wspieranie faszystowskich Włoch i Niemiec, podczas gdy „miłujący pokój Związek Sowiecki" próbuje zbudować w Europie system bezpieczeństwa oparty na krajach demokratycznych. Następnie polski ambasador spotkał się

eprasa.pl a8150e68df

z nominalną głową państwa, Michaiłem Kalininem, który okazał się bardziej otwarty i uprzejmy. Trzecia rozmowa odbyła się z Maksymem Litwinowem, szefem sowieckiej dyplomacji, mnożącym frazesy i kurtuazyjne uprzejmości, zamiast rozmawiać na temat poprawienia stosunków.

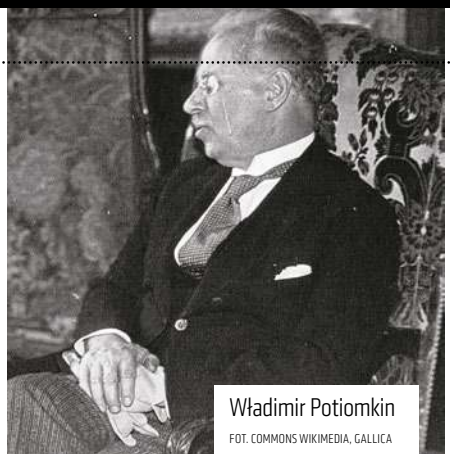
A były one złe. Polska wiedziała, że ZSRS zagraża jej niepodległości i szykuje się do wojny. Moskwa z kolei wiedziała, że Polska o tym wie. „Moment ataku wybiorą, kiedy i jak zechcą, są bowiem całkowicie panami sytuacji, przedstawiają zaś siebie jako potęgę olbrzymią, niezmiernie niebezpieczną, w dużej mierze przeciwko nam skierowaną, i z którą najpoważniej liczyć się trzeba. Reasumując: racją bytu Sowietów jest ekspansja" – napisał Grzybowski w jednym z raportów.

Inwigilacja

W ciągu trzech lat, gdy kierował ambasadą RP w Moskwie, zimno traktowani przez Kreml Polacy pozostawali na uboczu wielkiej polityki sowieckiej kokietującej takie stolice jak Paryż, Londyn czy Ankara. Tylko Niemcy byli wówczas gorzej traktowani w Moskwie.

W kamienicy vis-à-vis ambasady RP zainstalowało się NKWD, obserwując wszystkich wchodzących i wychodzących z budynku. Przy ambasadzie stało kilka samochodów, które natychmiast wyruszały za polskim autem dyplomatycznym, siedząc mu niemal na ogonie przez całą drogę. Za każdym wychodzącym urzędnikiem ruszał natychmiast „opiekun", a niekiedy „opiekunka". Kobiety agentki chodziły zwykle za urzędniczkami średniego i niższego szczebla, a także za panią ambasadorową Idą Grzybowską, którą bardzo denerwowała ostentacja, z jaką to robiły, idąc trzy kroki za „obiektem", bezczelnie patrząc w oczy oglądającej się Polce.

Trudności te, chociaż irytujące, nie zaburzały Grzybowskiemu codziennego rytmu pracy. A były nim pisanie i wysyłanie raportów na podstawie informacji uzyskiwanych od innych dyplomatów. Z niektórymi z nich – z Brytyjczykami, Francuzami i Włochami – polski ambasador był w bardzo dobrych relacjach.



Władimir Potiomkin

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GALLICA

Natomiast stosunki z rządem sowieckim były niemal żadne, pomijając rzecz jasna okolicznościowe uroczystości i bankiety, na które zapraszano wszystkich akredytowanych dyplomatów.

Wiosną 1939 r. w środowisku moskiewskiego korpusu dyplomatycznego zaczęto mówić o poprawie stosunków między Moskwą a Berlinem i aktywizacji kontaktów handlowych. Nic jeszcze nie wskazywało na katastrofę, nawet nieoczekiwana dymisja Litwinowa, komentowana przez obserwatorów jako gest pod adresem hitlerowców (Żyda zastąpił etniczny Rosjanin Wiaczesław Mołotow). Tym bardziej że po majowej mowie sejmowej Józefa Becka i reakcjach, które wzbudziła ona nie tylko w Europie, Mołotow wezwał Grzybowskiego i pogratulował wystąpienia szefa. Nawet w sierpniu, gdy niemiecka machina wojenna szykowała się do uderzenia na Polskę, nic w Moskwie nie wskazywało na podobne działania ze strony Sowietów.

17 września

Gdy wskazówki na moskiewskich zegarach pokazały pół do trzeciej w nocy, do ambasady RP przybył goniec z Narkomindieła (Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych), przekazując „prośbę towarzysza komisarza" o przybycie ambasadora w nader pilnej sprawie. Jadąc samochodem na Kreml, Grzybowski nie spodziewał się, że chodzi o wojnę. Był przekonany, że Sowieci „tylko" zerwą układ o nieagresji z roku 1932. I chociaż Brytyjczycy i Francuzi dysponowali już od kilku dni informacjami na temat zbliżającego się ciosu w plecy, to nie uważali za stosowne podzielić się nimi ze stroną polską.

Ambasadora przyjął zastępca Mołotowa, Władimir Potiomkin. Powoli odczytał tekst noty: „Pozostawiona sobie samej i pozbawiona kierownictwa Polska stała się wygodnym polem działania dla wszelkich poczynań i prób zaskoczenia, mogących zagrozić ZSRS. Dlatego też rząd sowiecki, który zachowywał dotąd neutralność, nie może pozostać dłużej neutralnym w obliczu tych faktów. Rząd sowiecki nie może również pozostać obojętnym w chwili, gdy bracia tej samej krwi, Ukraińcy i Białorusini, zamieszkujący na terytorium Polski i pozostawieni swemu losowi, znajdują się bez żadnej obrony. Biorąc pod uwagę tę sytuację, rząd sowiecki wydał rozkazy naczelnemu dowództwu Armii Czerwonej, aby jej oddziały przekroczyły granicę i wzięły pod obronę życie i mienie ludności zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi".

Zszokowany ambasador podniósł głos, energicznie protestując przeciwko jednostronnemu zerwaniu układu o nieagresji. W odpowiedzi usłyszał, że skoro państwo polskie „zbankrutowało", to wszelkie zawarte z nim układy międzynarodowe utraciły znaczenie.

„To jest agresja! Rząd polski istnieje i działa, jestem z nim w kontakcie. Warszawa nadal się broni. Prawo międzynarodowe chroni terytoria okupowane przemocą, tak było przecież w przypadku Belgii i Serbii w okresie Wielkiej Wojny... Nie macie prawa! Napadacie u boku Niemców na kraj słowiański, gdzie jest wasza etniczna solidarność?!" – krzyczał polski ambasador.

Zdecydowana postawa Grzybowskiego, który kategorycznie odmówił przyjęcia noty, zrobiła wrażenie na Rosjaninie. Potiomkin porzucił swoją oficjalną sztywność i wydawał się zakłopotany, a nawet wzruszony. Powiedział, że taka jest decyzja jego rządu, na co Grzybowski nalegał, żeby zastępca Mołotowa natychmiast przedstawił rządowi stanowisko ambasadora. I Potiomkin uległ Grzybowskiemu! Wyszedł, zostawiając gościa w towarzystwie sekretarza. Nie było go pół godziny. Gdy wrócił, przekazał ambasadorowi negatywną odpowiedź i ponownie doradził przyjęcie noty. Próbował nawet postraszyć Polaka, że jeżeli jej nie przyjmie, to może mieć kłopoty z opuszczeniem terenu ZSRS, bo skoro „państwo polskie przestało istnieć", to status dyplomatyczny wszystkich pracowników ambasady i podległych

eprasa.pl a8150e68df


SOWIECI NAPADLI NA POLSKĘ

Nr 272 - R. W. - 17 WRZEŚNIA 1939 - 2009 R., CZWARTEK Rok LXX

ORJER PORANNY

WYCHODZI CO DNIA Z RANA W DNI POWSZEDNIE, NIEDZIELE I ŚWIĘTA

WYDANIE NADZWYCZAJNE

Rosja Sowiecka złamała pakt o nieagresji

Zarówno 17 września, jak 1 września 1939 roku, wyznacza jedną z najistotniejszych a zarazem najtragiczniejszych dat w najnowszej historii Polski. W tym dniu nasz kraj zaatakowała Rosja sowiecka, idąc w ślady hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy. W agresji

jej jednostek ulega cofnięciu. Grzybowski zachował jednak do końca twardą postawę. Notę zostawił na stole (nie wiadomo, czy w ogóle wziął ją do ręki) i wyszedł.

W drodze powrotnej wyprzedził go na motorze kurier z Narkomindieła, który jako pierwszy dotarł do ambasady RP i wręczył dyżurnemu urzędnikowi przesyłkę. Była nią właśnie odrzucona przez Grzybowskiego nota. Gdy ambasador dotarł na miejsce, kazał szoferowi natychmiast wracać do siedziby MSZ i oddać notę. Kierowca zawiózł dokument, ale portier komisariatu odmówił jej przyjęcia. W tej sytuacji Grzybowski zadecydował o odesłaniu jej pocztą. Sam włożył ją do koperty, nakleił znaczki i kazał wrzucić do najbliższej skrzynki pocztowej.

W potrzasku

Odmowa przyjęcia noty oznaczała, że rząd polski nie przyjmuje w ogóle argumentacji strony sowieckiej. Ambasador natychmiast zawiadomił Becka, znajdującego się wówczas w Kutach, w pobliżu granicy z Rumunią, a ten zaaprobował jego nieugiętą postawę. Dla Stalina i Mołotowa był to rodzaj prztyczka. Bolszewicki dyktator nakazał likwidację polskich konsulatów i niewypuszczanie polskich dyplomatów z ZSRS. Dlatego gdy Grzybowski przyszedł ponownie do Potiomkina, żądając wydania paszportów dla siebie i personelu, usłyszał, że na razie jest to niemożliwe.

Nad Polakami zawisła groźba, że staną się więźniami. Tym bardziej że Sowieci rozpoczęli zajmowanie polskich placówek dyplomatycznych w Leningradzie, Mińsku i Kijowie. Konsulom i pracownikom z tych dwóch pierwszych miast udało się dotrzeć do moskiewskiej ambasady, ale utracili po drodze część bagażu, który Rosjanie zwyczajnie im zabrali. Konsula z Kijowa, Jerzego Matusińskiego, aresztowało NKWD i przepadł bez wieści. Na szczęście do ambasady udało się dotrzeć personelowi kijowskiego konsulatu, w tym żonie zaginionego i ich małej córce.

Los Polaków wciąż był niejasny. Wszyscy znajdowali się w budynku ambasady, bojąc się z niej wychodzić. Akredytowani w Moskwie dyplomaci z oburzeniem przyjęli groźby Sowietów i złożyli skargę na ręce dziekana korpusu dyplomatycznego, którym był… von Schulenburg (Wacław Grzybowski był jego zastępcą). Po wybuchu wojny polski ambasador nie mógł się już kontaktować ze swoim niemieckim odpowiednikiem, ale zrobił to za niego życzliwy Polsce ambasador Włoch Augusto Rosso, prosząc o interwencję na Kremlu. I Schulenburg podjął interwencję – z pełnym obiektywizmem i lojalnością zaangażował się w bronienie interesów polskiego kolegi dyplomaty, naciskając na rząd sowiecki i żądając przestrzegania praw i zwyczajów przyjętych w dyplomacji. A ponieważ po pakcie z 23 sierpnia jego pozycja wśród obcych dyplomatów w Moskwie była zdecydowanie najsilniejsza, Stalin i Mołotow ugięli się i wydali Polakom paszporty. Przydzielili im też pociąg, którym mieli odjechać do Finlandii.

Zaszła jednak pewna trudność, tym razem po stronie Grzybowskiego. Oświadczył on mianowicie, że nie wyjedzie dopóty, dopóki nie odnajdzie się konsul Matusiński, a Kreml nie wyrazi zgody na objęcie opieką przez ambasadę brytyjską pozostawionego na terenie ZSRS polskiego mienia. Mołotow oświadczył, że Matusińskiego nie przetrzymuje NKWD i prawdopodobnie uciekł on do któregoś z krajów bałtyckich (zeznający po latach świadek widział, jak wieziono go pociągiem do Moskwy, i tam trop się urwał), a mienie polskie staje się własnością „narodu sowieckiego", bo „rząd polski przestał istnieć".

Negocjacje z Narkomidiełem trwały jeszcze kilkanaście dni, ale niczego nie zmieniły. Ponieważ dalsza odmowa wyjazdu mogła okazać się niebezpieczna, Grzybowski zarządził opuszczenie terenu ZSRS. Na dworcu żegnał ambasadora zagraniczny korpus dyplomatyczny, z wyjątkiem Schulenburga i Rossa (ten ostatni gościł jednak Grzybowskiego i jego żonę rano na śniadaniu). Także poseł Litwy, będącej pod silnym wpływem ZSRS, zwłaszcza po przekazaniu temu państwu zajętego przez Armię Czerwoną Wilna, nie wziął udziału w pożegnaniu. Wagon, którym jechali Polacy, został zaplombowany. Następnego dnia tuż przed północą pociąg przybył do Helsinek.

Poza układem

Po kilku dniach spędzonych w stolicy Finlandii Grzybowski wyruszył w podróż przez kraje skandynawskie do Francji. W Paryżu zgłosił się do Augusta Zaleskiego, ministra spraw zagranicznych rządu na wychodźstwie, któremu złożył pisemny raport ze swojej misji w Moskwie. Podobny raport, tyle że ustny, przedstawił prezydentowi Władysławowi Raczkiewiczowi.

W rządzie gen. Władysława Sikorskiego nie było jednak miejsca dla Wacława Grzybowskiego, który znany był jako zagorzały piłsudczyk. Po ataku Niemiec na Francję były ambasador w Moskwie przeniósł się na południe kraju, do Grenoble, miasta będącego pod administracją rządu Vichy. Stanął tam na czele kolonii polskiej, dla której organizował sobotnie spotkania połączone z prelekcjami na tematy polityczne oraz historyczne. Po wyzwoleniu Paryża w roku 1944 powrócił do stolicy Francji, gdzie pozostał do końca swoich dni. Żył skromnie, utrzymując się z zapomóg i honorariów za artykuły. Te ostatnie pisywał do wielu gazet, głównie polskich, m.in. do wychodzącego w Paryżu w latach 50. dziennika „Syrena".

Publikacje dotyczyły polityki międzynarodowej, destrukcyjnej roli Rosji sowieckiej i wspomnień związanych z pracą w dyplomacji. Grzybowski był także członkiem polskiej Rady Narodowej przy emigracyjnym rządzie RP w Londynie, dokąd dojeżdżał z Paryża. Zmarł we wrześniu 1959 r., pozostawiając żonę Idę oraz trzy córki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Grzybowski W., ***„Byłem świadkiem"****, Warszawa (?) 1984 (wydanie podziemne); Grzybowski W. (jako Józef Growski),* ***„Aforyzmy polityczne. Nieobowiązujące"****, Warszawa 1929; Kornat M.,* ***„Wacław Grzybowski, ambasador w Moskwie (1936–1939). Biografia polityczna"****, Warszawa 2016; Kowalski W.T.,* ***„Ostatni rok Europy (1939)"****, Warszawa 1989; Łojek J. (Leopold Jerzewski),* ***„Agresja 17 września 1939"****, Warszawa 1990.*

eprasa.pl a8150e68df



Cesarz Justynian w centrum mozaiki w kościele San Vitale w Rawennie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ROGER CULOS

VI w. / Cesarzowa Teodora

Ladacznica na tronie



Sławomir Koper

Była striptizerka sięgnęła po koronę cesarską Bizancjum. W chwili próby, gdy jej mąż stracił nadzieję, ona zachowała zimną krew i uratowała tron

W 518 r. w Konstantynopolu zmarł bezpotomnie cesarz Anastazjusz i nowym władcą okrzyknięto oficera jego straży przybocznej, Justyna. Elekt nie był młodzieniaszkiem, miał bowiem ponad 60 lat i pochodził z terenu dzisiejszej Serbii. Do Konstantynopola przybył cztery dekady wcześniej i dostał się do gwardii cesarskiej. Powoli przeszedł wszystkie szczeble kariery, a po śmierci Anastazjusza umiejętnie rozegrał powstałe zamieszanie i niespodziewanie dla wszystkich został cesarzem.

Od lat ściągał do siebie krewnych z rodzinnej wioski. Jako jeden z pierwszych przybył 12-letni Petrus Sabbattus. Wuj zapewnił mu gruntowne wykształcenie (sam do końca życia pozostał analfabetą), po czym pokierował jego karierą. Kiedy Justyn został obwołany cesarzem, usynowił Petrusa, który przyjął imię Justynian. Stary cesarz zresztą coraz mniej interesował się sprawami państwa, zostawiając wszystko w rękach siostrzeńca. Wreszcie w 527 r. ogłoszono Justyniana współrządcą, a kilka miesięcy później Justyn zmarł.

Petrus Sabbatus Justynianus rozpoczął samodzielne rządy. Można było przypuszczać, że skoro nowy władca pochodził z nizin społecznych, to u jego boku znajdzie się żona urodzona w arystokratycznej rodzinie. Nic bardziej mylnego. Razem z Justynianem koronowana została jedna z najbardziej kontrowersyjnych postaci w dziejach – Teodora. Była córką opiekuna cyrkowych niedźwiedzi i aktorki, a więc jej pochodzenie trudno zaliczyć do specjalnie ekskluzywnych. Od najmłodszych lat pracowała na scenie, a pamiętajmy, że w tamtych czasach aktorki były uważane za rodzaj prostytutek.

Lekka konduita

Zachowała się interesująca relacja na temat młodości Teodory, tym cenniejsza, że pochodząca od człowieka, który przebywał w jej otoczeniu. Prokopiusz z Cezarei był znakomitym kronikarzem, ale wyjątkowo nie znosił Teodory. Jego relacja jest zapewne subiektywna, jednak warto przytoczyć jej fragmenty. Według Prokopiusza cesarzowa od najwcześniejszych lat zajmowała się nierządem i miała na tym polu znaczne osiągnięcia:

„Do pewnego momentu, zanim dojrzała, Teodora nie mogła spać z mężczyzną jak dorosła kobieta, ale już wtedy uprawiała niejako męskie stosunki z różnymi łajdakami – i to niewolnikami, którzy towarzyszyli swym panom w teatrze, wykorzystując okazję na tego rodzaju bezeceństwa. Dużo czasu spędzała w burdelu, wystawiając swe ciało na sprzeczne z naturą praktyki”.

eprasa.pl a8150e68df

Kronikarz nie ukrywał również, że w sztuce aktorskiej Teodory niewiele było talentu scenicznego, a bardziej zajmowała się „wystawianiem swojego ciała na sprzedaż". Według jego relacji przyszła cesarzowa miała się oddawać innym w sposób wręcz taśmowy:

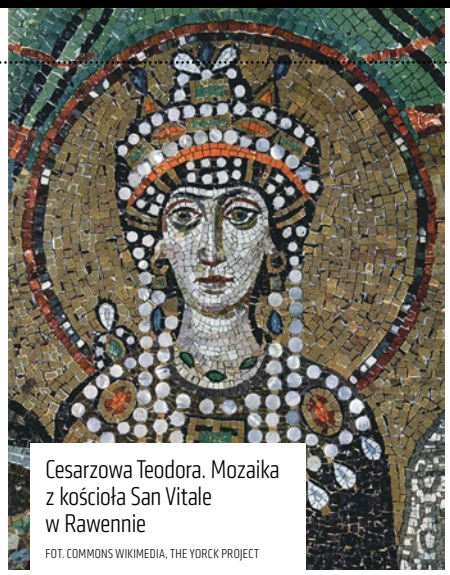
„Nieraz zjawiała się na składkowych przyjęciach w towarzystwie kilkunastu doskonale zbudowanych młodzieńców, których jedynym zajęciem była rozpusta, i spędzała całą noc z biesiadnikami w łóżku, a kiedy już wszyscy mieli dosyć, szła do ich niewolników, a było ich ze trzydziestu, i parzyła się z każdym z osobna".

Warto zauważyć, że relacja Prokopiusza była przeznaczona do rozpowszechnia w wąskim kręgu arystokracji wrogo nastawionej do cesarza i jego małżonki. Zawsze aktualne pozostaje jednak przysłowie, że nie ma dymu bez ognia. Być może Teodora nie była demonem seksu, ale bez wątpienia brała udział w niezbyt przyzwoitych farsach scenicznych.

Inscenizacje mitów greckich i rzymskich odgrywały w tym niepoślednią rolę, a niewiele z nich spełniało normy przyzwoitości obyczajowej. Teodora była zatem prawdopodobnie dość popularną aktorką, a wszelkie rodzaje striptizu były elementami inscenizacji. W tym zawodzie cnota stanowiła raczej przeszkodę i przyszła cesarzowa na pewno nie była osobą o niewzruszonych zasadach moralnych. Justynian nigdy jednak nie ożeniłby się z Teodorą, gdyby faktycznie zaspakajała potrzeby seksualne całego Konstantynopola. Mógł zaryzykować ślub z aktorką lekkiej konduity, ale nie z prostytutką!

Nie wiadomo, w jakich okolicznościach Teodora poznała Justyniana. Spotkanie z pewnością wywarło jednak niezwykłe wrażenie na obojgu i od tej chwili nie zanotowano żadnego (!) przypadku kontaktów seksualnych Justyniana z inną kobietą. Również Teodora była mu absolutnie wierna, co akurat można zrozumieć. Następca tronu był nieprzeciętną gratką dla każdej kobiety, a cóż dopiero dla aktorki niemającej praktycznie żadnych stałych dochodów!

Kochanka coraz bardziej przykuwała uwagę następcy tronu i Justynian zdecydował się na małżeństwo. W ówczesnych czasach była to rzecz niesłychana, nawet jeżeli weźmiemy pod uwagę chłopskie pochodzenie przyszłego cesarza. Jego wybranką została podejrzanej reputacji aktorka (właściwie striptizerka), dorabiająca prostytucją. Co prawda, w ówczesnym Bizancjum zachowano właściwą dla Rzymu łatwość awansu w społecznego, ale dotyczyło to niemal wyłącznie mężczyzn. Łatwiej było chłopskiemu synowi z zabitej deskami wioski zrobić karierę w armii, niż kurtyzanie zostać damą. Jednak Justynian nie zamierzał przejmować się konwenansami. Stary cesarz Justyn nie interesował się już zupełnie takimi sprawami, a grono doradców nie chciało zrażać do siebie przyszłego szefa. Zajadły opór stawiła jedynie Eudokia, żona Justyna. Ta prosta kobieta nigdy nie interesowała się polityką, ale teraz powiedziała, że nigdy nie zgodzi się przyjąć na dwór ladacznicy.



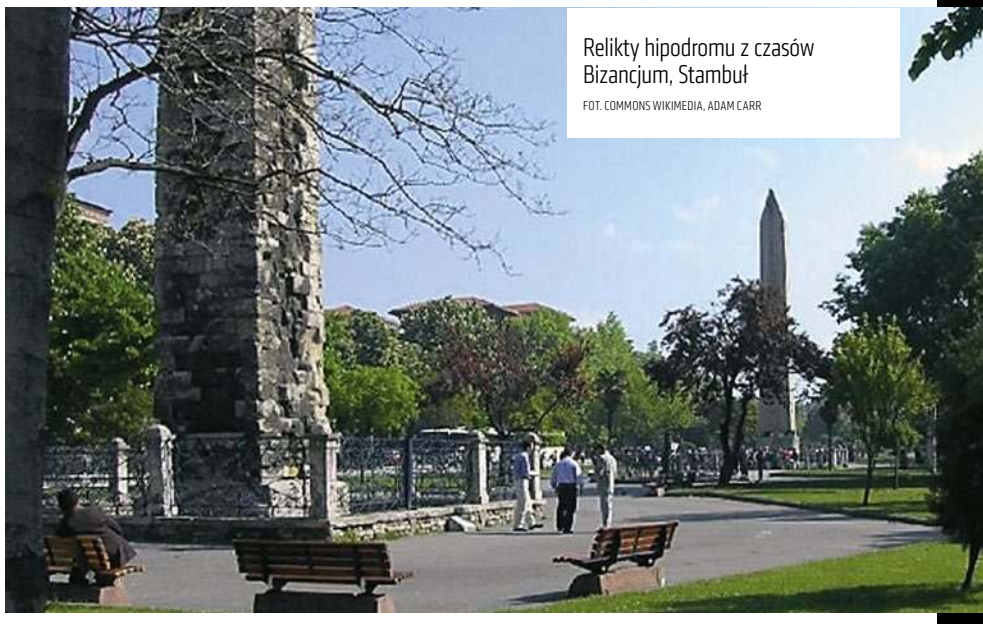
Cesarzowa Teodora. Mozaika z kościoła San Vitale w Rawennie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, THE YORCK PROJECT

Justynian przekonał kochankę, że należy poczekać na śmierć wiekowej władczyni, co zresztą niebawem nastąpiło. Dopiero wówczas można było pokonać barierę legislacyjną, gdyż prawo zabraniało małżeństw senatorów z aktorkami. Wydano więc dziwny akt prawny, na mocy którego zezwolono na takie związki, o ile aktorka zerwała z dawną profesją. Był to dekret przygotowany specjalnie dla Justyniana i Teodory, ponieważ nie odnotowano żadnego innego małżeństwa zawartego na jego mocy. Kiedy prawo weszło w życie, Justynian poślubił swoją partnerkę. Niebawem został współrządcą cesarza Justyna, a kilka miesięcy później jedynowładcą. Wraz z nim koronowana została była striptizerka i kurtyzana, córka niedźwiednika z hipodromu.

Nika

Justynian przeszedł do historii jako największy zdobywca w dziejach Imperium Wschodniorzymskiego i Bizantyjskiego. Ale zanim rozpoczął restaurację władzy rzymskiej na zachodzie, omal nie utracił tronu na skutek przewrotu w stolicy. Bunt wywołały stronnictwa hipodromowe, których rola w życiu politycznym i obyczajowym miasta jest dla ludzi XXI stulecia raczej mało zrozumiała.



Relikty hipodromu z czasów Bizancjum, Stambuł

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ADAM CARR

eprasa.pl a8150e68df

Zwycięstwo chrześcijaństwa spowodowało likwidację walk gladiatorów. Najbardziej popularną rozrywką sportową stały się wyścigi kwadryg. Odbywały się one na ogromnym torze wyścigowym zwanym hipodromem, a widzowie dzielili się na kilka grup nazywanych od barw pojazdów (błękitni, zieloni itd.). Nieważne były indywidualne zwycięstwa, gdyż liczyła się wygrana drużyny. Konkurencja była ogromna, a wrogość pomiędzy stronnictwami przewyższała nawet animozje dzisiejszych kibiców piłkarskich.

Drużyny hipodromowe nie ograniczały się jednak wyłącznie do kibicowania swoim zawodnikom i bijatyk z konkurentami. Odgrywały też rolę wyraziciela poglądów ludu stolicy i poważnego elementu nacisku na aparat administracyjny. Władze tolerowały antagonizmy pomiędzy stronnictwami, a czasem je wręcz nakręcały, uważając za rodzaj wentyla bezpieczeństwa. Można nawet odnieść wrażenie, że stronnictwa odgrywały rolę partii politycznych czy też zgromadzenia ludowego. Władze dbały o dobre stosunki z minimum jednym ze stronnictw, wychodząc z założenia, że żaden reżim nie utrzyma się bez poparcia ludu.

Pięć lat po objęciu tronu Justynian stanął w obliczu poważnego kryzysu. Państwo nawiedziły klęski żywiołowe, zmuszając władze do poczynienia dużych wydatków. Przeciągająca się wojna z Persją również zubożyła skarb, co doprowadziło do wzrostu obciążeń ludności. A to naturalnie spotkało się z niezadowoleniem podatników i sytuacja zaczęła eskalować.

W pierwszych dniach stycznia 532 r. w Konstantynopolu doszło do zaciekłych bójek między stronnictwami błękitnych i zielonych. Interweniowały służby porządkowe, kilku prowodyrów skazano na karę śmierci. Egzekucja skazanych miała publiczny charakter i ściągnęła rzeszę widzów. Atmosfera była ciężka i kat nie wytrzymał nerwowo. Zabijał skazańców nad wyraz nieudolnie, a dwaj z nich (jeden błękitny i jeden zielony) spadli z szafotu, jeszcze żyjąc. Tłum żądał ułaskawienia, ale kierujący egzekucją urzędnik nakazał jej powtórzenie. Wówczas z pobliskiego klasztoru wybiegło kilku zakonników i pod osłoną agresywnego tłumu przenieśli skazańców do kościoła. Prefekt miasta polecił otoczyć świątynię strażą, ale nie mógł zapobiec demonstracjom na mieście.

Trzy dni później w czasie wyścigów na hipodromie oba stronnictwa wznosiły okrzyki żądające łaski dla skazańców. Wieczorem zaprzestano wzajemnych obelg i zjednoczeni widzowie wyszli z hipodromu na ulice miasta. Podeszli pod pałac prefekta, skandując wrogie hasła, a następnie siłą wdarli się do więzienia, gdzie uwolnili wszystkich zatrzymanych. Spalono budynek, podpalona została również brama pałacu cesarskiego. Następnie tłum się rozproszył, a władze w obawie przed eskalacją nastrojów nie odwołały wyścigów zaplanowanych na następny dzień.

Gdy rano wznowiono zawody, okazało się, że stronnictwa występują z żądaniami politycznymi. Cesarz ugiął się i odwołał najbardziej znienawidzonych urzędników, w tym prefekta miasta. Było już jednak za późno. Rozwydrzony tłum zaczął podpalać sklepy i pałace, w mieście zapanował terror. Pałac cesarski został otoczony, a wierność niektórych oddziałów wojskowych stanęła pod znakiem zapytania. Co więcej, senatorowie zaczęli się wahać, asekurując się na dwie strony. Trzeciego dnia buntu Justynian postanowił osobiście pokazać się tłumowi, licząc na to, że majestat władcy przywróci spokój. Kiedy jednak stanął w swojej loży na hipodromie, posypały się wyzwiska, a chwilę potem kamienie. Cesarz wycofał się do pałacu, a na hipodromie obwołano nowego władcę. Został nim Hypatiusz, siostrzeniec cesarza Anastazjusza.

Sytuacja stała się trudna, tym bardziej że nie powiodła się próba porwania Hypatiusza przeprowadzona przez najemników sławnego wodza – Belizariusza. W tej sytuacji nawet gwardia cesarska zaczęła przechodzić na stronę buntowników i Justynian polecił ewakuować pałac, zarządzając wyjazd z Konstantynopola. Wtedy okazało się, że na dworze jest ktoś, kto nie upadł jeszcze na duchu. Cesarzowa Teodora dotychczas w milczeniu przysłuchiwała się naradom, aż wreszcie wstała i oznajmiła, że nigdzie się nie wybiera. Nie zamierzała bowiem „dożyć dnia, w którym przestaną ją nazywać Cesarską Wysokością". Poza tym uważała, że „purpura cesarska jest najwspanialszym całunem".

Wypowiedź Teodory przyniosła natychmiastowy efekt i współpracownicy cesarskiej pary przystąpili do działania. Na hipodromie pojawili się prowokatorzy, którzy wzniecili zamieszki. Kiedy zwolennicy stronnictw rozpoczęli bójki między sobą, pojawiły się oddziały najemników Belizariusza. Gwardia pała-



Hagia Sophia, kościół fundowany przez Justyniania, dziś meczet

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARILD VÅGEN

eprasa.pl a8150e68df

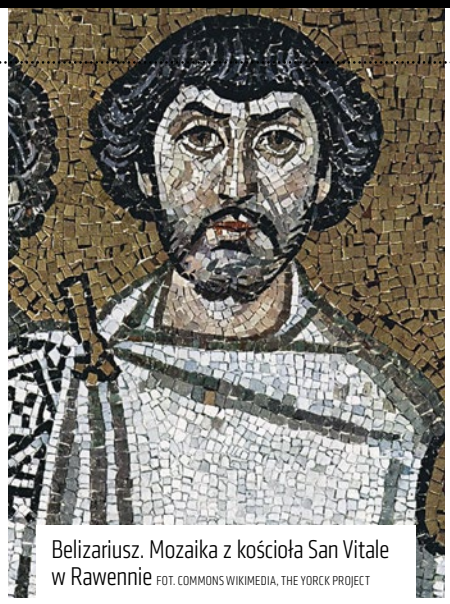
cowa na powrót stała się lojalna i doszło do potwornej rzezi. Tego dnia zginęło podobno 30 tys. ludzi (!), a hipodrom dosłownie spływał krwią. Najemnicy Belizariusza schwytali niedoszłego cesarza Hypatiusza i doprowadzili go przed oblicze Justyniana i Teodory. Nieszczęśnik błagał władcę o litość i niewiele brakowało, aby ją uzyskał. Justynian nie był okrutnikiem, a uzurpator, gromadząc ludność na hipodromie, znacznie przysłużył się zwycięstwu władcy. Łaskę cesarza powstrzymała jednak Teodora. Hypatiusz został ścięty, a jego ciało wrzucono do morza.

Znaczenie Teodory ogromnie wzrosło podczas buntu, gdy okazała hart ducha i odwagę przewyższającą męża i jego wodzów, z Belizariuszem na czele. Prawdopodobnie gdyby nie jej upór i osobista odwaga, rebelia zmiotłaby z tronu Justyniana. Natomiast materialnym śladem po buncie było zniszczenie kościoła Mądrości Bożej, zbudowanego jeszcze przez Konstantyna Wielkiego. Cesarz postanowił na jego miejscu zbudować nową świątynię, która miała być pomnikiem jego panowania i zwycięstwa nad buntownikami. W efekcie powstała jedna z najbardziej znanych budowli świata. Kościół Mądrości Bożej, pod nazwą Hagia Sophia, jest do dziś najwspanialszym zabytkiem Stambułu.

Amalasunta

Rebelia nie spowodowała zmian w planach pary cesarskiej i nadal jej naczelnym zadaniem pozostała restauracja władzy rzymskiej na zachodzie imperium. Na pierwszy ogień poszło królestwo Wandalów w Afryce. Dawni zdobywcy, rozleniwieni klimatem i luksusowym trybem życia, nie przedstawiali obecnie znaczącej siły i łatwo ulegli Belizariuszowi w 533 r. Justynian i Teodora uczynili więc pierwszy krok na drodze do przywrócenia władzy rzymskiej na zachodzie. Następnym celem stała się Italia, kolebka państwa rzymskiego.

W tym czasie półwysep znajdował się pod władzą Ostrogotów. Ich król, Teodoryk, zapewnił Italii kilkadziesiąt lat spokoju, a problemy zaczęły się po jego śmierci w 526 r. Możni ostrogoccy zaczęli buntować się przeciwko córce



Belizariusz. Mozaika z kościoła San Vitale w Rawennie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, THE YORCK PROJECT

króla, Amalasuncie, sprawującej władzę w imieniu swojego syna, Atalaryka. Gdy chłopak zmarł w 534 r., poślubiła jednego ze swoich kuzynów. Niebawem jednak w Rawennie doszło do zamachu stanu i córka Teodoryka została uwięziona na wyspie na jeziorze Bolseno. Poprosiła wówczas Justyniana o pomoc i podobno doszło też do wymiany listów na temat małżeństwa z cesarzem. Patrząc obiektywnie na tę sytuację, nie można tego wykluczyć. Związek Justyniana i Teodory trwał już kilkanaście lat i największe uniesienia małżonkowie mieli za sobą. Amalasunta była kobietą inteligentną i piękną, a ponadto pochodziła z królewskiego rodu. Poza tym w posagu ofiarowywała państwo Ostrogotów…

Oferta była kusząca dla Justyniana jako mężczyzny i polityka. Rozwód z Teodorą mógł uzyskać w każdej chwili, przeszłość cesarzowej dawała ku temu wystarczająco dużo powodów. Możemy przypuszczać, że Teodora domyślała się zamiarów męża. Była osobą zbyt inteligentną i spostrzegawczą, by jej uwadze uszła korespondencja cesarza z Amalasuntą. Odbiło się to tragicznie na losach córki Teodoryka. Była striptizerka postanowiła usunąć gocką królową rękami jej poddanych. Skłoniła męża do wysłania do Rawenny poselstwa żądającego uwolnienia królowej, a poseł bizantyjski miał wziąć w imieniu cesarza Amalasuntę pod swoją opiekę. Nieoficjalnie zamierzał jednak przekazać Gotom informację, że cesarzowa będzie bardzo wdzięczna za zamordowanie córki Teodoryka. Misterna intryga Teodory okazała się jednak zbyteczna. Gdy poseł Justyniana przybył do Italii, królowa już nie żyła. Została uduszona w czasie kąpieli, a Bizancjum uzyskało wygodny pretekst do interwencji.

Wojna w Italii trwała blisko 20 lat i zakończyła się w 552 r. wraz ze śmiercią na polu bitwy ostatniego króla Ostrogotów – Teji. W tym czasie Teodora już nie żyła (zmarła sześć lat wcześniej na chorobę nowotworową). Nic nie wiemy o żałobie cesarza, ale był on człowiekiem wyjątkowo skrytym w sprawach uczuć. Natomiast zachowała się informacja, że kilka lat po śmierci żony, wracając z wyprawy wojennej, zatrzymał swój orszak przed kościołem, w którym była pochowana. Samotnie wszedł do świątyni i spędził u grobu cesarzowej dłuższy czas. Nie ożenił się po raz drugi i nie mamy informacji o żadnych nowych konkubinach.

Justynian przeżył żonę o 18 lat. Kiedy umierał, wydawało się, że państwo rzymskie wróciło do dawnej świetności. Konstantynopol panował nad niemal całym dawnym terytorium cesarstwa i tylko Galia, północna Hiszpania i Brytania pozostawały niezależne. Jednak kilka lat po śmierci Justyniana do Italii wtargnęli Longobardowie, niszcząc niemal zupełnie nowy ład ustanowiony po wieloletniej wojny. Kilkadziesiąt lat później Bałkany zalały plemiona Słowian, a na południu Mahomet rozpoczął konsolidację Arabów. Półtora wieku po zgonie Justyniana cesarstwo zostało ograniczone do terytorium Azji Mniejszej i walczyło o przetrwanie. Ale to już zupełnie inna historia...



Domniemana podobizna Amalasunty FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SAILKO

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8150e68df

Festiwal Chopinowski / Nieoczekiwany gość z Zachodu



Bolesław Bierut i królowa Elżbieta
FOT. PAP, WOJCIECH KONDRACKI

Królowa u Bieruta



Piotr Semka

Dwutygodniowa wizyta królowej Belgów w 1955 r. w PRL? Nawet po latach brzmi to jak wydumana bajka

W połowie lat 50. królową Belgów, Elżbietę (Belgów, a nie Belgii – tak specyficzne nazewnictwo używane jest w tym kraju), kojarzyli wyłącznie Polacy po 50. roku życia. Niektórzy mogli pamiętać ją z przedwojennej wizyty, którą złożyła w Warszawie prezydentowi Ignacemu Mościckiemu. Dla większości starszych Polaków była ona symbolem oporu maleńkiej Belgii przeciw Niemcom w czasie pierwszej wojny światowej.

Członkom elity „Polski Ludowej" postać królowej nie była specjalnie znana. Jednak monarchini była koneserem muzyki i na dodatek gustowała w twórczości Fryderyka Chopina. A właśnie na marzec 1955 r. zaplanowano V edycję Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. Do Ambasady PRL w Brukseli dotarło oficjalne zapytanie belgijskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, czy królowa Elżbieta może odwiedzić Polskę z okazji tego muzycznego święta. Pytanie Belgów zaskoczyło ekipę Bieruta. Jednocześnie propozycja z Brukseli schlebiała miłości własnej komunistycznej władzy.

Poprzednia edycja konkursu, w czerwcu 1949 r., odbywała się w bardzo spartańskich warunkach. Koncerty organizowano w jedynym niezburzonym audytorium stolicy, czyli w sali Roma. Teraz, specjalnie na potrzeby kolejnej edycji, oddano do użytku odbudowany gmach Filharmonii Warszawskiej przy ulicy Moniuszki. Zresztą to właśnie z powodu przedłużających się prac przy odbudowie filharmonii przesunięto festiwal z października 1954 r. na marzec następnego roku. Wielka impreza miała ściągnąć pianistów z całego świata. Polska placówka dyplomatyczna w Brukseli w osobie ambasadora Aleksandra Krajewskiego bardzo gorąco rekomendowała przyjęcie królowej. Ambasada podkreślała „niezmiennie szczere zainteresowanie i żywą sympatię królowej dla spraw polskich" oraz wychwalała „postępowe poglądy władczyni".

Cała sprawa musiała być jednak dla ówczesnego władcy Polski Bolesława Bieruta dość kłopotliwa. Po wojnie żadna koronowana głowa nie złożyła wizyty nad Wisłą. Ale kierownictwo PZPR wyła-

eprasa.pl a8150e68df

pywało już nowe trendy z Moskwy, które wskazywały, że planowane jest ocieplenie relacji z Zachodem.

Odwilż w dyplomacji

Śmierć Stalina przyjęta została z ulgą nie tylko przez społeczeństwa krajów podbitych przez Związek Sowiecki, lecz także przez samą wierchuszkę sowieckiej partii komunistycznej. Stalin od końca lat 20. utrzymywał ZSRS w ciągłym alercie przygotowań do wojny. Państwo sowieckie zbroiło się na potęgę kosztem poziomu życia zwykłych obywateli. Nawet koniec drugiej wojny światowej nie spowodował większego rozluźnienia wojennego trybu, w którym znajdowała się sowiecka gospodarka. Takie wydarzenia jak komunistyczny pucz w Czechosłowacji, próba blokady zachodnich sektorów Berlina czy wojna koreańska drenowały budżet państwa. Nic dziwnego, że natychmiast po śmierci wąsatego Gruzina szykujący się do przejęcia po nim schedy Ławrientij Beria zaczął natychmiast podejmować działania na rzecz zmniejszenia napięcia w relacjach z Zachodem.

Beria wysyłał sygnały w kwestii możliwości zjednoczenia Niemiec za cenę ich neutralizacji. Pierwsze plany odprężenia zostały paradoksalnie wykorzystane przeciw Berii przez grupę jego rywali. Był to „triumwirat": Nikita Chruszczow, Gieorgij Malenkow i Wiaczesław Mołotow. Oskarżyli oni Berię o paktowanie z Zachodem i zdradę ideałów socjalizmu. Ale była to jedynie taktyczna zagrywka. Tak naprawdę wszyscy trzej obawiali się, że gdy Beria zdobędzie już pełnię władzy, urządzi kolejną czystkę i Chruszczow, Malenkow oraz Mołotow wylądują w ławach oskarżonych na jakimś kolejnym procesie pokazowym.

Nie tracąc czasu, „triumwirat" wykorzystał wyjazd Berii do NRD w czerwcu 1953 r., gdzie wybuchło właśnie ludowe powstanie, i przygotował akcję fizycznej likwidacji wszechwładnego szefa bezpieki. Beria został zgładzony i ogłoszony zdrajcą, a Nikita Chruszczow zaczął wysuwać się na czoło dotychczasowego „triumwiratu". Już jesienią 1953 r. zaczął



Albert, król Belgów, z żoną Elżbietą. Zdjęcie ślubne

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TEATIMEATWINTERPALACE.TUMBLR.COM

on przedstawiać elementy tego, co nazwano potem „doktryną Chruszczowa". Głosiła ona, że dalsza rywalizacja z Zachodem odbywać się będzie w warunkach „pokojowego współistnienia". Na nowo dopuszczano rozmaite formy kooperacji między Wschodem i Zachodem, m.in. wymianę naukową, ekonomiczną i kulturalną. Rozpoczęto też przygotowania do szczytu dawnej wielkiej czwórki, który w końcu odbył się w lipcu 1955 r. w Genewie.

Sygnały o nowej polityce Kremla zaczęły docierać do ekipy Bieruta. Bardzo powoli wdrażano je jednak w stosunkach PRL z zagranicą, a wynikało to z twardogłowego stylu myślenia Bieruta. Na najwyższym szczeblu postanowiono więc w kompromisowy sposób rozwiązać kwestię wizyty belgijskiej królowej. Bierut uchylił się od witania władczyni, wskazując, że jest ona już jedynie królową matką, a formalnym władcą Królestwa Belgii jest jej wnuk, król Baldwin. Postanowiono, że wizycie nadany zostanie charakter czysto kulturalny, choć oczywiście zamierzano wykorzystać pobyt monarchini nad Wisłą do zaakcentowania pamięci o hitlerowskich zbrodniach. A to miało z kolei przypominać o odwetowej polityce Konrada Adenauera.

Nietuzinkowa władczyni

Sama królowa Elżbieta wymykała się rozmaitym schematom. Urodziła się w 1876 r. w bawarskim mieście Possenhofen i w rzeczywistości była Niemką, córką Karola Teodora, księcia Bawarii. Pewien rys kosmopolityzmu wnosiła do jej rodowodu matka – Maria Józefa, infantka portugalska. Elżbieta była też bratanicą małżonki cesarza Franciszka Józefa, słynnej Elżbiety zwanej popularnie „Sisi".

Gdy w 1900 r. zetknęła się po raz pierwszy z księciem Brabancji Albertem, przyszłym królem Belgów – jak twierdzi tradycja – „nie mogła oderwać oczu od swego przyszłego męża". Zaręczyny odbyły się w maju 1900 r., a już w październiku młody następca tronu ożenił się z Elżbietą. Dziewięć lat później Albert I Koburg wstąpił na tron i tym samym jego małżonka została królową Belgów.

W niedługim czasie świeżo przyjęty belgijski patriotyzm królowej został wystawiony na poważną próbę. Oto 4 sierpnia 1914 r. wojska cesarstwa Niemiec, łamiąc neutralność Belgii, napadły na ten kraj i rozpoczęły wyjątkowo brutalną wojnę. Cały świat był oburzony okrucieństwem Niemców, którego symbolem było spalenie bezcennej biblioteki Uniwersytetu w Leuven niedaleko Brukseli. W czasie pierwszej wojny światowej Albert wraz ze swoją żoną symbolizowali mit, który stał się popularny we wszystkich krajach ententy. U jego boku królowa Elżbieta zdobyła ogromny podziw, organizując akcje pomocy dla uchodźców i osobiście wizytując szpitale wojskowe. Nic więc dziwnego, że gdy w listopadzie 1918 r. królewska para powróciła do opuszczonej przez Niemców Brukseli, witały ją na ulicach tłumy.

Po wojnie król i królowa szybko stali się popularną parą, nadając monarchii belgijskiej nowoczesny wizerunek. Elżbieta towarzyszyła mężowi w jego licznych wizytach zagranicznych, ale zwiedzała też świat w pojedynkę. Przykładowo: w 1923 r., wraz ze swoim najstarszym synem, odwiedziła Egipt i wzięła udział w oficjalnym otwarciu grobowca Tutanchamona.

W 1934 r. rodzina przeżyła ogromną tragedię. Król Albert, namiętny miłośnik wspinaczki górskiej, zginął w belgijskich Ardenach. Tron przejął syn Leopold III, a przedwcześnie owdowiała królowa odreagowywała utratę męża, skupiając

eprasa.pl a8150e68df

się na nauce i sztuce. W jej rezydencji gościli liczni pisarze, uczeni i filantropi.

W 1937 r. królowa matka zorganizowała wielki festiwal muzyki znany jako Konkurs Muzyczny Królowej Elżbiety Belgijskiej. W czasie drugiej wojny światowej nie udaje się jej opuścić Belgii i wraz z synem, królem Leopoldem III, musi przebywać w zamku Laeken pod Brukselą. Po cichu pomaga prześladowanym Żydom, czym po wojnie zasłużyła na zaszczytny tytuł Sprawiedliwej wśród Narodów Świata.

Wraz z końcem wojny wyszły na jaw mało chlubne gierki króla Leopolda z Niemcami. W wyniku referendum zmuszony on został do opuszczenia tronu. Zastąpił go Baldwin – wnuk królowej Elżbiety.

Pozbawiona już wszelkich oficjalnych obowiązków emerytowana władczyni mogła skupić się na patronowaniu inicjatywom muzycznym i naukowym. I ta właśnie pasja skłoniła ją do wystąpienia o możliwość przyjazdu do Warszawy na Festiwal Chopinowski.

Powitanie monarchini

W najwyższych kręgach PRL na poważnie przygotowywano się do wizyty, która dla komunistycznych władz była jednak dość ryzykownym eksperymentem. Po pierwsze, ustalono, że z Brukseli przyjedzie wraz z królową ambasador PRL. Aleksander Krajewski otrzymał zadanie towarzyszenia władczyni na wszystkich etapach jej prawie dwutygodniowej wizyty. Długi pobyt wynikał z prostego faktu: właśnie tyle miały trwać kolejne etapy przesłuchań festiwalowych aż do wielkiego finału, który odbyć się miał 21 marca 1955 r.

Drugą osobą, która miała być swoistym aniołem stróżem monarchini, czyli dbać o to, by po drodze nie doszło do żadnych zgrzytów, był Jarosław Iwaszkiewicz. Z racji swojego przedwojennego stażu w dyplomacji II RP Iwaszkiewicz dobrze znał etykietę dworską. Jako przewodniczący komitetu wykonawczego Festiwalu Chopinowskiego miał on odgrywać rolę gospodarza, uwalniając tym samym Bieruta od obowiązku kontaktowania się z gościem z Zachodu. Iwaszkiewicz od momentu powstania „Polski Ludowej" wiele razy pokazał już, że takie delikatne misje potrafi przeprowadzać w sposób, który w pełni zadowalał reżim komunistyczny. Nawiasem mówiąc, Bierut uczynił pewien ponadstandardowy gest wobec królowej – na czas wizyty przekazał do jej użytku Belweder.



Wizyta królowej Elżbiety w Towarzystwie im. Fryderyka Chopina FOT. PAP

Królowa Elżbieta przybyła do Polski w sobotę 12 marca 1955 r. Towarzyszyła jej miniświta na czele z Jacqueline Davignon, damą dworu królowej Belgów. Władze PRL reprezentował wówczas urzędnik mało znany, zastępca przewodniczącego Rady Państwa Wacław Barcikowski, postać zupełnie dziś zapomniana. Natomiast obecność na lotnisku ministra kultury i sztuki Włodzimierza Sokorskiego podkreślać miała, że wizyta uważana jest za czysto kulturalną.

Drugiego dnia pobytu królowej, w niedzielę 13 marca, monarchini, jako praktykująca katoliczka, wybrała się na Mszę do kościoła św. Krzyża w Warszawie. Można zgadywać, że był to ukłon w stronę pamięci o powstaniu warszawskim, gdyż świątynia ta była miejscem ciężkich walk, a jednocześnie symbolem męczeństwa Warszawy. Wiadomość o wizycie królowej w kościele bardzo szybko obiegła całą Warszawę. Niektórzy naiwnie wierzyli, że wydarzenie to związane jest z jakimiś staraniami o uwolnienie więzionego wtedy prymasa Stefana Wyszyńskiego. Nie było w tym nic z prawdy, ale pokazuje to, jak bardzo los prymasa był wówczas tematem rozmów zwykłych warszawiaków. Jarosław Iwaszkiewicz tak wspominał po latach to wydarzenie: „Nie towarzyszyłem jej do kościoła św. Krzyża w Warszawie, które to nabożeństwo dało asumpt do powstania anegdoty powtarzanej przez całą prasę europejską. Królowa miała mnie zapytać, czy jestem katolikiem, na co miałem odpowiedzieć: »Tak, wierzący, ale niepraktykujący«. »A więc jest pan komunistą?« – miała dalej pytać monarchini. »Nie, niewierzący, ale praktykujący« – miała brzmieć moja odpowiedź. Anegdota zabawna, ale nieprawdziwa".

Entuzjazm

Doktor habilitowany Maria Pasztor, autorka najdokładniejszego opracowania na temat wizyty królowej w Polsce, dotarła do relacji z wizyty pióra posła belgijskiego w Warszawie, Hadelina de Meeûs d'Argenteuila. Dyplomata pisał o entuzjazmie, „który sprawił, iż zarówno kler jak i służba porządkowa z trudem ochroniły jej królewską mość przed objawami serdeczności religijnych tłumów zgromadzonych przed kościołem". Entuzjazm wynikać miał z tego, że królowa „miała dla tych tłumów uosabiać nadzieję i symbolizować płynącą z Zachodu wol-



Wręczenie nagrody Adamowi Harasiewiczowi, zwycięzcy Konkursu Chopinowskiego FOT. PAP

eprasa.pl a8150e68df



Elżbieta, królowa Belgów, podczas Festiwalu Chopinowskiego FOT. PAP, JERZY BARANOWSKI

ność, o której nie przestawali marzyć Polacy". I dalej: „Ich [Polaków] obecność w miejscach odwiedzanych przez Elżbietę zdawała się stanowić świadectwo zainteresowania i niemal oddania się w opiekę królowej, wywołując instynktownie uczucia wypływające z porywów wdzięczności". W opinii Hadelina de Meeûs d'Argenteuila była to „najbardziej ujmująca, a nawet poruszająca część wizyty".

Program pobytu został tak opracowany, aby obecność królowej na kolejnych turach przesłuchań młodych wykonawców przeplatała się z jednej strony z wyjazdami mającymi pokazać władczyni Polskę, a z drugiej strony ze spotkaniami z przedstawicielami polskich elit naukowych i kulturalnych. Anna i Jarosław Iwaszkiewicz wydali na cześć królowej uroczyste śniadanie w ich dworku w Stawisku pod Warszawą. Do stołu zaproszono m.in.: Marię Dąbrowską, prof. Kazimierza Michałowskiego, Jana Parandowskiego, Eugeniusza Eibischa, Witolda Lutosławskiego i Zygmunta Mycielskiego. Iwaszkiewicz w swoim dzienniku wspominał: „Śniadanie było wspaniałe [...], cóż za paradoks w naszej szarej, smutnej rzeczywistości. Przyjemne było tylko to, że mogłem razem z Hanią reprezentować starą, dobrą polską kulturę".

Ta opinia warta jest osobnego komentarza. Iwaszkiewicz mógł w 1955 r. cieszyć się swoim nieskonfiskowanym przez władze dworkiem i smakować starą dobrą polską kulturę tylko za cenę żenującego wysługiwania się stalinowskiemu reżimowi, który setki podobnych dworków skazał za patriotyzm ich właścicieli na konfiskatę i rozgrabienie. Nawet po latach zdumiewa samozakłamanie tego służalca Bieruta, który użalał się nad sobą, jednocześnie korzystając z przywilejów będących nie do pomyślenia dla tysięcy innych przedstawicieli polskich elit, którzy nie mieli tyle „szczęścia" i nie zostali uznani przez reżim za użytecznych dla swojej polityki kulturalnej.

Obecność królowej Elżbiety na Festiwalu Chopinowskim nadała mu wyjątkowy rozgłos na świecie, co było zgodne z propagandowymi zamierzeniami ekipy Bieruta. Kolejnym etapem podróży po Polsce był Kraków. Iwaszkiewicz po latach wspominał: „Zamieszkaliśmy w poaustriackim skrzydle Wawelu, tam, gdzie mieszkał Frank. Królowa była z damą dworu, panią d'Avignon, z muzykiem, z mistrzem ceremonii, całym dworem [...]. Najzabawniej było przychodzić [...] i rozpamiętywać wszystkie gafy, jakie w ciągu dnia popełniano. Nie przywiązywano do tego najmniejszej wagi (np. gdy zupę roznoszono w wazie po rybie i każdy musiał sobie sam nabierać) i z niektórych spraw śmieliśmy się serdecznie. Królowa specjalnie interesowała się grobowcem i historią Jana III Sobieskiego, bo był to jej praszczur [...]. Oglądaliśmy z nią dzieła sztuki. Ołtarz Wita Stwosza był wtedy rozebrany i w jednej z sal Wawelu można było z bliska obejrzeć wszystkie szczegóły, które w ołtarzu złożonym umykają przed wzrokiem. Skorzystałem więc bardzo na pobycie królowej. Tak samo »Damę z łasiczką« można było oglądać w jednym z wawelskich pokoi".

W programie wizyty była też wyprawa do obozu Auschwitz. I znów zacytujmy Iwaszkiewicza: „Dzień był chmurny, zimowy, bez mrozu. Mała królowa, cała ubrana na czarno, stała bardzo poruszona pod ścianą śmierci. A gdy przyniesiono wieniec, odebrała go od niosących żołnierzy i sama przydźwigała pod ścianę i ułożyła przy murze. Mała czarna osoba uginająca się pod ciężarem wieńca kwiatów pozostała mi na zawsze w oczach. Gdy wróciliśmy na Wawel, Elżbieta, zmarznięta i wzruszona, łyknęła spory kielich wódki".

Ku odprężeniu

Królowa Elżbieta belgijska zaskoczyła przywódców PRL, wręczając przewodniczącemu Rady Państwa Aleksandrowi Zawadzkiemu dokument nazywany w stosunkach międzynarodowych aide-mémoire. Przekazując to pismo sformułowane przez rząd belgijski, władczyni zaznaczyła, że jej wizyta w Polsce ma także charakter humanitarny. Pismo z Brukseli poruszało kilka problemów dotyczących obywateli belgijskich.

Po pierwsze, przypominało, że wymiana gospodarcza między oboma krajami utrudniona jest wskutek braku odszkodowań za znacjonalizowane belgijskie mienie podlegające ustawie z 3 stycznia 1946 r. Drugim problemem była kwestia belgijskich żon polskich żołnierzy, którzy wrócili do kraju po 1945 r. Według prawa belgijskiego zachowały one swoje obywatelstwo, ale w myśl prawa polskiego, wychodząc za mąż za Polaków, straciły je. W rezultacie nieszczęsne kobiety nie mogły odwiedzać swoich rodzin w Belgii. Trzecia sprawa poruszona w dokumencie dotyczyła belgijskiego marynarza Alberta Snauwaerta, który w czasie wizyt w Polsce został uznany za szpiega i w 1949 r. usłyszał wyrok: 15 lat więzienia. Odbywający karę w więzieniu w Rawiczu Snauwaert cierpiał na poważną chorobę serca. Wizyta królowej doprowadziła z czasem do złagodzenia wszystkich trzech zasygnalizowanych problemów.

Już w październiku 1955 r. Polskę odwiedziła delegacja belgijskiego parlamentu, co otworzyło drogę do pełnej normalizacji. Swoistym uwieńczeniem tego procesu było zwolnienie Snauwaerta z więzienia i wydalenie go z PRL 16 listopada 1955 r.

Wizyta królowej Elżbiety słusznie mogła być uważana przez wielu Polaków za sygnał rozszczelnienia żelaznej kurtyny. I choć królowa nie przybyła nad Wisłę, aby pomóc prymasowi Wyszyńskiemu, to jednak wielu Polaków jeszcze długo wspominało jej pobyt jako pierwszy od wielu lat powiew wolnego Zachodu w upokorzonym przez Moskwę zniewolonym kraju.

Pisząc tekst, posiłkowałem się m.in. artykułem dr hab. Marii Pasztor „Chopin i polityka", który ukazał się w tygodniku „Przegląd" 11 października 2021 r.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8150e68df



Brygada Północna bolszewickich strzelców łotewskich wkracza do Rygi, 1919 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1917–1921 / Łotwa walczy o niepodległość

Cud nad Dźwiną



Arkadiusz Karbowiak

Łotewska państwowość rodziła się w wielkich bólach. Przeciwnikami miejscowych niepodległościowców byli nie tylko Rosjanie – zarówno biali, jak i czerwoni – lecz także łotewscy bolszewicy, a nawet Niemcy

Tego samego dnia, gdy we francuskim lasku w Compiègne podpisywano rozejm kończący Wielką Wojnę, wystosowany został list ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii lorda Arthura Balfoura do szefa łotewskiej misji Zigfrīdsa Meierovicsa. Brytyjczyk wskazywał w nim: „Rząd brytyjski chętnie potwierdza gotowość tymczasowego uznania Łotewskiej Rady Narodowej jako de facto niezależnego organu". Tym samym jeden z rządów zwycięskiej ententy uznał powstałą 29 listopada 1917 r. Tymczasową Łotewską Radę Narodową – strukturę zmierzającą do utworzenia niepodległego państwa łotewskiego.

18 listopada 1918 r. Łotewska Rada Narodowa (powołana do życia dzień wcześniej z połączenia TŁRN i Bloku Demokratycznego) ogłosiła powstanie niepodległej Republiki Łotwy z Kārlisem Ulmanisem, liderem Związku Chłopskiego, na czele rządu tymczasowego. Ugruntowanie suwerenności wymagało ustabilizowania sytuacji wewnętrznej w nowo narodzonej republice. Z uwagi na zagrożenie zewnętrzne konieczne były przede wszystkim sprawne siły zbrojne. Łotysze co prawda rozpoczęli proces tworzenia armii, ale z natury rzeczy nie można było oczekiwać, że zakończy się on szybko. Czas nie był sprzymierzeńcem łotewskich niepodległościowców – do rywalizacji z nimi stanęli łotewscy bolszewicy wspierani przez Rosję sowiecką.

17 grudnia 1918 r. w mieście Valka, znajdującym się na obszarach opanowanych przez Armię Czerwoną, ci ostatni ogłosili powstanie Łotewskiej Republiki Sowieckiej (ŁRS). Na czele tego tworu stanął Pēteris Stučka. ŁRS była kontynuacją powstałego w lipcu 1917 r. Komitetu Wykonawczego Rad Delegatów Robotniczych, Bezrolnych i Strzelców Łotwy – tzw. Iskołatu. Przywódcy tej struktury widzieli przyszłą Łotwę jako autonomiczną, ale nieodłączną część Rosji sowieckiej. Doceniając wagę kwestii narodowej na Łotwie, Rada Komisarzy Ludowych postanowiła uznać 22 grudnia 1918 r. niezawisłość ŁRS. Równocześnie na terytorium Łotwy zaczęły systematycznie napływać oddziały Armii Czerwonej.

Najbardziej zdyscyplinowanymi i bojowymi jednostkami Armii Czerwonej (a potem Łotewskiej Armii Czerwonej), które wykorzystano do operacji zajęcia Łotwy, były tzw. pułki strzelców łotewskich. Od początku grudnia 1918 r. prowadziły one operacje wojskowe na łotewskim terytorium, opanowując 3 stycznia 1919 r. Rygę. Zanim do tego doszło, rząd Ulmanisa, mając świado-

eprasa.pl a8150e68df

mość rosnącego niebezpieczeństwa ze strony bolszewików, podpisał 7 grudnia 1918 r. z niemieckim komisarzem do spraw krajów bałtyckich Augustem Winnigiem umowę dotyczącą stacjonowania na Łotwie 8. Armii. Struktura ta, na prośbę ententy, miała zapewnić republice bezpieczeństwo. W tym samym dokumencie strona łotewska zobowiązywała się do utworzenia Baltische Landeswehr, w której Łotysze mieli stanowić dwie trzecie żołnierzy, a pozostałe mniejszości, w tym miejscowi Niemcy – jedną trzecią.

W praktyce większość żołnierzy tej formacji (dowodzonej przez majora artylerii Alfreda Fletchera) stanowili jednak bałtyccy Niemcy. Poza nimi służyli w niej Rosjanie z oddziału ks. Anatola Lievena oraz Łotysze z grupy Jānisa Balodisa. Wspierały ich natomiast utworzone na terenie Rzeszy freikorpsy. Oddziały te podlegały VI Korpusowi Rezerwowemu gen. Rüdigera von der Goltza, byłego dowódcy Bałtyckiej Dywizji, która przyczyniła się w znacznej mierze do skrócenia wojny domowej w Finlandii i zwycięstwa białej armii. Uczestnictwo Niemców z Rzeszy oraz bałtyckich Niemców w walkach z bolszewikami na Łotwie nie wynikało oczywiście z chęci ratowania łotewskiego rządu narodowego. Głównym powodem była realizacja własnych celów politycznych.



Teatr (obecnie Narodowy) w Rydze, miejsce proklamowania łotewskiej niepodległości w 1918 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FEARLESS FRED

Plany von Stryka

Pod koniec stycznia 1919 r. ukonstytuował się Niemiecko-Bałtycki Komitet Narodowy, który dążył do utrzymania uprzywilejowanej pozycji mniejszości niemieckiej w przyszłym państwie łotewskim (Niemcy od XII w. stanowili w lokalnym życiu polityczno-społeczno-gospodarczym znaczącą grupę etniczną). Co bardziej radykalni działacze, jak Heinrich von Stryk, postulowali stworzenie autonomicznego państwa bałtyckiego, które miałoby funkcjonować w składzie Rosji albo pod brytyjskim protektoratem. Kierować nim miał rząd niemiecko-łotewski, w którym bałtyccy Niemcy mieliby w swoich rękach większość ministerialnych resortów.

Ujawnienie tych planów, poprzez przejęcie przez Łotyszy dokumentów von Stryka, poważnie nadwyrężyło reputację Niemiecko-Bałtyckiego Komitetu Narodowego i usztywniło stanowisko rządu Ulmanisa w sprawie niemieckiej. Ponadto słaba pozycja rządu (brak poważnej siły wojskowej) oraz niemieckie zwycięstwa militarne odnoszone w starciach z bolszewikami, po rozpoczęciu w marcu 1919 r. ofensywy, powodowały eskalację żądań ze strony bałtyckich Niemców. Oficerowie Bałtyckiej Landeswehry nie rozumieli sensu rozmów prowadzonych przez swych przywódców politycznych z narodowym rządem łotewskim.

Zanim bolszewicy zostali wyparci przez Niemców z Kurlandii, zarówno Łotysze, jak i bałtyccy Niemcy mieli okazję doświadczyć „dobrodziejstw" rządów bolszewickich. Pierwsze wydawane przez czerwonych akty prawne uderzyły w tzw. klasy posiadające, a więc głównie w bałtyckich Niemców. Dekretem z 31 stycznia 1919 r. skonfiskowano majątek ruchomy i nieruchomy właścicieli ziemskich (później przepisy rozciągnięto na wszystkich mniej zamożnych właścicieli). W kwietniu wyrzucono z Łotwy do Rosji bałtyckich arystokratów. Wprowadzono dla nich (i generalnie dla tzw. elementów burżuazyjnych) system prac przymusowych, a równolegle pojawiły się kartki na żywność, które premiowały niższe klasy społeczne.



Kārlis Ulmanis
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PRESIDENT.LV

Znacjonalizowano kościoły, poddając księży represjom. Komunizm wprowadzany na Łotwie miał mieć charakter wzorcowy i na jego doświadczeniach miała bazować Rosja bolszewicka. Jednak realizowana polityka gospodarcza oparta na antyrynkowych, ideologicznych zasadach przyniosła z biegiem czasu wzrost napięć społecznych. Biedniejąca wieś nie chciała dostarczać produktów do miast po wyznaczonych cenach urzędowych. Pojawił się głód, który zaczął pochłaniać coraz liczniejsze ofiary. Rząd uciekał się do konfiskat i narzucania kontyngentów. Próbując się przed nimi bronić, rolnicy ukrywali żywność. W odpowiedzi władze stosowały represje.

18 grudnia 1918 r. w Vecgulbene powstał pierwszy tzw. trybunał ludowy. W 144 prowadzonych postępowaniach jego sędziowie skazali na karę więzienia 98 osób, a 14 na karę śmierci. Co ciekawe, elementem wrogim dla nowej władzy okazali się Żydzi prowadzący działalność gospodarczą. Podejmowane represje uderzały jednak zdecydowanie najsilniej w bałtyckich Niemców. 30 stycznia 1919 r. w Ventspils bolszewicy po zajęciu miasta i poddaniu się garnizonu oddzielili Niemców (z Rzeszy oraz bałtyckich)

eprasa.pl a8150e68df



Herb Łotewskiej Socjalistycznej Republiki Łotewskiej (1918–1920)
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ABOLS (JĀNIS ĀBOLIŅŠ)

od reszty jeńców i 120 z nich rozstrzelali (60 łotewskich jeńców pozostawiono przy życiu).

W lesie Biķernieki pod Rygą w dniach 14–15 marca rozstrzelano 62 więźniów, głównie pochodzenia niemiecko-bałtyckiego (według innej wersji 57). W sumie w łotewskiej stolicy liczba ofiar czerwonego terroru sięgnęła ok. 400 (podawana liczba 1549 osób jest przeszacowana), a ok. 60 osób zmarło w więzieniu. W Jełgawie na podstawie wyroków trybunału rewolucyjnego rozstrzelano 22 osoby, a kolejne 41 stracono tuż przed opuszczeniem miasta. Z 351 zakładników zabranych z Jełgawy zamordowano w trakcie marszu śmierci aż 215 osób. Z kolei w Dyneburgu w parku Dubrowińskim bolszewicy rozstrzelali 76 wybitnych mieszkańców, w tym burmistrza. Sumaryczna liczba ofiar bolszewickiego terroru waha się w granicach 2–2,5 tys. – głównie byli to bałtyccy Niemcy.

Ludzie uważani przez czerwonych za wrogów nie tylko ginęli w egzekucjach, lecz także umierali w obozach koncentracyjnych zbudowanych przez komunistów. Terror bolszewicki wykuwał po stronie bałtyckich Niemców, szczególnie oficerów, radykalne postawy niechętne wszelkim kompromisowym rozwiązaniom, także wobec łotewskich niepodległościowców.

Pucz Manteuffla

Takie przekonania prezentował dowódca oddziału szturmowego (Stosstrupp), baron Hans von Manteuffel, który nie uzgadniając tego z nikim, 16 kwietnia 1919 r. przeprowadził zamach stanu, obalając rząd Ulmanisa. Puczystom nie udało się zatrzymać wszystkich ministrów, jak również samego premiera, który schronił się początkowo w misji brytyjskiej, a następnie dostał się na rosyjski okręt „Saratow", ochraniany przez Royal Navy.

O ile dość łatwo dokonano przewrotu, o tyle znacznie trudniej było stworzyć nowy rząd. 26 kwietnia 1919 r. dowódca VI Korpusu Rezerwowego na stanowisko premiera wskazał Oskara Borkowskiego, a ten już 10 maja przekazał władzę w ręce pastora Andrievsa Niedry. 22 maja 1919 r. minimum trzy oddziały wdarły się niespodziewanie do Rygi i opanowały mosty na Dźwinie oraz cytadelę. W walkach o cytadelę poległ trafiony pociskiem w głowę baron von Manteuffel. Atakujący nie wszędzie zdołali dotrzeć na czas. W centralnym więzieniu bolszewicy zdołali zamordować 32 więźniów, w większości bałtyckich Niemców. Jedną z ofiar była znana piosenkarka Marion von Klot. Odbicie Rygi doprowadziło do załamania bolszewików i wycofania się ich sił do Łatgalii.

Mordy dokonane na bałtyckich Niemcach wywołały naturalny odruch zemsty, co uwidoczniło się w Rydze. Niemcy rozstrzelali tam ok. 700 osób. Fala terroru wywołała z kolei oburzenie ze strony Łotyszy. Naturalnie wśród ofiar pewną część stanowiły osoby niewinne lub takie, których jedyną winą była służba w Armii Czerwonej. Jednak faktem jest również, że obok nich stracono wielu bolszewików i ich współpracowników.

Rząd pastora Niedry nie był w stanie powstrzymać niemieckich represji, co nie może dziwić, ponieważ jego władza na Łotwie była bardzo iluzoryczna, a rządy faktycznie sprawowali Niemcy. Jednostki niemieckie w pochodzie zwycięstwa zaczęły zmierzać w kierunku Estonii, nie będąc zainteresowanymi całkowitym pokonaniem bolszewików. Celem było ustanowienie władz niemieckich zarówno na Łotwie, jak i w Estonii. Sprzeczność interesów z Tallinem powodowała, że o tym, kto wyjdzie zwycięsko z rywalizacji, musiała przesądzić siła oręża. Do zwarcia sił niemieckich i łotewsko-estońskich doszło pod Kesią (Cēsis).



Pēteris Stučka FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Zanim jednak do tego doszło, rząd Ulmanisa zapewnił sobie poparcie wojsk estońskich oraz rzucił do walki sformowaną i wyposażoną przez Estończyków Brygadę Północnołotewską. Ceną za tę przysługę było oddanie przez Łotyszy swoim północnym sojusznikom 12 gmin, wobec których wysuwali oni roszczenia. Początkowo szczęście w zmaganiach militarnych towarzyszyło stronie niemieckiej. Jednak obrona pozycji estońskich pod Limbaži, wspieranych czterema pociągami pancernymi, powstrzymała Niemców i pozwoliła na wyprowadzenie 22 czerwca 1919 r. kontrataku, który zakończył się bezładną ucieczką zarówno Baltische Landeswehr, jak i Eiserne Division.

Estończycy dotarli aż pod Rygę. Podjęte negocjacje z udziałem przedstawicieli ententy doprowadziły do zawarcia 3 lipca 1919 r. porozumienia. Bałtycka Landeswehra została podporządkowana brytyjskiemu ppłk. Haroldowi Alexandrowi i wysłana na front do Łatgalii (ostatecznie po wielu przekształceniach rozwiązano ją w 1921 r.). Formacje z Rzeszy miały natomiast powrócić do ojczyzny.

Bermondtowcy

Premier Ulmanis 9 lipca 1919 r. powrócił do Rygi i na nowo utworzył gabinet. W jego składzie znalazło się miejsce dla mniejszości, które reprezentowali dwóch bałtyckich Niemców i jeden Żyd. Była to realizacja porozumienia zawartego w Strasdenhof. Zobowiązywało ono również Niemców do opuszczenia Rygi. Tak też się stało i 6 lipca do stolicy wkroczyły oddziały armii łotewskiej.

eprasa.pl a8150e68df



Rüdiger von der Goltz FOT. WIKIPEDIA

Próba zdobycia przez bałtyckich Niemców uprzywilejowanej pozycji na Łotwie zakończyła się więc ostatecznie porażką.

Jednak Niemcy nie powiedzieli jeszcze w tej rozgrywce ostatniego słowa. Mimo presji ententy – chodziło o wycofanie z Łotwy jednostek ochotniczych przybyłych z Rzeszy – gen. von Goltz skutecznie sabotował ten proces. Ostatecznie postanowił wydać swoim podkomendnym zgodę na przejście do rosyjskiej Zachodniej Armii Ochotniczej, z czego skorzystało wielu freikorzystów. 21 września podpisano oficjalne porozumienie w tej kwestii.

Nieco wcześniej, bo 15 września, Rada Najwyższa Konferencji Pokojowej nakazała rządowi Rzeszy wycofanie z Łotwy oddziałów gen. von Goltza. Berlin początkowo twierdził, że nie ma na generała żadnego wpływu, jednak pod naciskiem wstrzymał wszelką pomoc, zamykając granice i uniemożliwiając dalszy napływ ochotników. Dokonano również zmiany na stanowisku dowódcy. Odwołanego gen. von Goltza zastąpił w październiku gen. Walter von Eberhardt.

Oddziały gen. Pawła Bermondta-Awałowa, które stały się swoistą deską ratunku dla niemieckich ochotników, zostały przeznaczone przez planistów brytyjskich na jedną z głównych sił uderzeniowych antybolszewickich formacji gen. Nikołaja Judenicza atakujących Piotrogród. Współdziałający z Niemcami dowódcy Zachodniej Armii Ochotniczej nie uważali za konieczne podporządkować się kolaborującemu z ententą dowódcy Armii Północno-Zachodniej. Szybko też doszło do napięć pomiędzy bermondtowcami a armią łotewską. Rosjanie pokusili się nawet o zajęcie Rygi. Ich marsz zakończył się 9 października 1919 r. wkroczeniem do zachodnich przedmieść łotewskiej stolicy.

Dzień później gen. Bermondt-Awałow zaproponował rządowi premiera Ulmanisa rozejm, co zostało wykorzystane, by ściągnąć posiłki łotewsko-estońskie. Ostatecznie bermondtowcy zostali w połowie października zatrzymani pod Rygą, a następnie – w listopadzie – pokonani. Klęska spowodowała całkowite rozprzężenie i demoralizację wojsk rosyjskich, które systematycznie wypierane z Łotwy zmuszone były ją ostatecznie opuścić 1 grudnia 1919 r.

Polski wkład

Nie oznaczało to jednak zakończenia łotewskiej wojny o niepodległość, ponieważ ciągle poza kontrolą władz w Rydze pozostawała Łatgalia, okupowana przez bolszewików. Zainteresowanie oczyszczeniem tego obszaru z sił Armii Czerwonej wyrażał Naczelnik Państwa Józef Piłsudski. Dla Polski taki scenariusz byłby ze wszech miar pożądany, ze względu na możliwość odcięcia wrogiej Polsce Litwy od Rosji sowieckiej i ustanowienie granicy polsko-łotewskiej. Łotysze początkowo obawiali się wystawienia przez Warszawę ewentualnego ekwiwalentu terytorialnego za udzielone przez Polskę wsparcie. A trzeba przypomnieć, że od 1919 r. ciągnął się polsko-łotewski spór terytorialny dotyczący zaanektowanych przez RP sześciu gmin powiatu iłłukształńskiego.

Dopiero jasna deklaracja posła pełnomocnego RP na Łotwie wyrażająca, bez żadnych zastrzeżeń, zgodę na przynależność Łatgalii (zamieszkanej przez 50 tys. Polaków) do państwa łotewskiego uspokoiła nieco władze w Rydze. W efekcie negocjacje zakończyły się sukcesem i 30 grudnia 1919 r. podpisano polsko-łotewską umowę wojskową. Zaowocowała ona przeprowadzoną wspólnie operacją „Zima". Jej celem było wyparcie sowieckiej 15. Armii z obszarów Łatgalii. 3 stycznia 1920 r. oddziały Wojska Polskiego rozpoczęły działania ofensywne, forsując Dźwinę. W ciągu miesiąca tereny Łatgalii zostały opanowane.

Równolegle z walkami trwały tajne negocjacje sowiecko-łotewskie, których efektem był parafowany 30 stycznia 1920 r. układ rozejmowy. Kilka miesięcy później Łotwa i Rosja bolszewicka wynegocjowały traktat pokojowy. Nie da się ukryć, że zwycięstwo Polski w wojnie z bolszewikami w 1920 r. stworzyło perspektywy dla przetrwania niepodległej Łotwy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Materski W., ***„Łotewska droga do niepodległości 1917–1921"***; *Minins A.*, ***„Latvia, 1918–1920: A Civil War?"***; *Paluszyński T.*, ***„Walka o niepodległość Łotwy 1914–1921"***; *Stranga A.*, ***„Communist Dictatorship in Latvia: December 1918–January 1920. Ethnic Policy"***.



Pomnik formacji Baltische Landeswehr w Rydze FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DR HANS-DIETER HANDRACK

eprasa.pl a8150e68df

1944 r. / Stalinowskie bezprawie

Bałkarzy – naród ukarany



Góra Elbrus w Kabardo-Bałkarii FOT. ADOBE STOCK



Mikołaj Iwanow

Podstawą oskarżenia całego narodu o zdradę były wydarzenia z listopada 1942 r., do których doszło w rejonie rzeki Czerek

Terror na tle narodowościowym towarzyszył sowieckiemu komunizmowi od samego początku władzy bolszewików w Rosji i później w ZSRS. Początkowo jednak za życia Lenina tzw. czerwony terror miał charakter niemal wyłącznie klasowy. Mordowano przede wszystkim przedstawicieli arystokracji, tzw. burżuazji, obszarników i innych „sługusów" caratu. Wszystko się zmieniło po objęciu władzy absolutnej przez Stalina.

W połowie lat 30. w biurze politycznym partii komunistycznej z inicjatywy Stalina dojrzała idea „wielkiego puszczania krwi", która przeszła do historii jako wielki terror. Zdecydowano się odstąpić od leninowskiego (klasowego) podejścia do terroru i na pierwszy ogień wytypowano niektóre mniejszości narodowe. Na liście ofiar wielkiego terroru wyraźnie przodowali Polacy ze względu na swoją liczebność (ponad 1 mln), tradycje historyczne, nastawienie wobec reform komunistycznych i najważniejsze – z uwagi na charakter ówczesnych stosunków między ZSRS i II RP. Polacy zostali uznani za potencjalną „piątą kolumnę", zdolną w razie wybuchu wojny dźgnąć Armię Czerwoną w plecy.

To, co się stało z Polakami w okresie wielkiego terroru, wyróżnia się nawet na tle cierpień innych narodów. Nie da się określić losu Polaków inaczej niż ludobójstwo. W wirze wielkiego terroru zginęło do 20 proc. wszystkich Polaków zamieszkujących w okresie międzywojnia Związek Sowiecki. W państwie Stalina zapanowała atmosfera „zoologicznej polonofobii".

Jednak poza Polakami totalne represje spotkały również wiele innych narodów mieszkających w imperium Stalina, m.in. setki tysięcy Koreańczyków z Dalekiego Wschodu, rosyjskich Finów, których w obwodzie leningradzkim (petersburskim) żyło co najmniej 130 tys., Niemców z Ukrainy i Powołża, mieszkańców krajów bałtyckich, a także przedstawicieli ich diaspory w Rosji, Ukraińców zwolenników UPA, Greków, Włochów i Ormian z Krymu, Kurdów, Turków meschetyńskich, Azerów z Gruzji, Romów krymskich, Persów, Węgrów, Chińczyków, Bułgarów i inne mniejsze grypy narodowościowe. Niektórzy współcześni rosyjscy badacze podają liczbę 60 narodów i rozmaitych grup narodowościowych, które w mniejszym lub większym stopniu dotknęły represje stalinowskie.

Wokół Elbrusa

Skupmy się na losie jednego z tych małych narodów – Bałkarach. Ten liczący przed wojną zaledwie 37 tys. osób naród

eprasa.pl a8150e68df

zamieszkiwał Kaukaz, głównie w rejonie najwyższej góry w Europie – Elbrusa. Kaukaz pod względem narodowościowym to teren unikatowy na mapie byłego Związku Sowieckiego. Z ponad 140 narodowości zamieszkujących czerwone imperium prawie połowa żyła właśnie na Kaukazie. W większości były to małe narody, liczące zaledwie kilka tysięcy osób.

Naród Bałkarów, pomimo swej niewielkiej liczebności, miał własną republikę: Kabardyjsko-Bałkarską Autonomiczną Socjalistyczną Republikę Sowiecką. Autonomia ta obejmowała dwa narody – Bałkarów i dwa razy liczniejszych od nich Kabardyjczyków. Jednak w czasie drugiej wojny światowej nikt na Kremlu nie wpadł na pomysł, aby oskarżyć Kabardyjczyków o zdradę. Dlatego ich oszczędzono, natomiast republikę, po wyrzuceniu Bałkarów, przemianowano w 1944 r. na Kabardyjską Autonomiczną Socjalistyczną Republikę Sowiecką.

Decyzja, by deportować Bałkarów, została podjęta na podstawie oskarżeń o rzekomo masową kolaborację z Niemcami w okresie drugiej wojny światowej, zwłaszcza gdy jednostki Wehrmachtu dotarły na Kaukaz. Podstawą oskarżenia całego narodu o zdradę były wydarzenia z listopada 1942 r., do których doszło w rejonie rzeki Czerek. Do historii tego narodu przeszły one jako tragedia czerecka. Jej powodem było zdobycie przez miejscowych partyzantów działa przeciwlotniczego na terenie dzisiejszej wsi Wierchniaja Bałkaria, a także zamordowanie kilku żołnierzy Armii Czerwonej.



Bałkarki w tradycyjnych strojach FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Ciężarówki i wagony deportacyjne
FOT. DOMENA PUBLICZNA, BESSMERTNYBARAK.RU

Legenda

W odpowiedzi stacjonująca w tym rejonie 11. Dywizja Strzelecka NKWD otrzymała od dowództwa 37. Armii (broniącej Kaukazu) rozkaz, aby zniszczyć „bandycki ruch powstańczy" w centralnej Bałkarii. Efektem operacji trwającej od 24 listopada do 4 grudnia 1942 r. było ludobójstwo narodu bałkarskiego. Oddziały NKWD pod pretekstem walki z bandytyzmem rozstrzelały w wąwozie Czerek setki cywilów – ludzi starszych, kobiety, dzieci – oraz spaliły kilka wiosek.

Prawda o tych wydarzeniach wyszła na jaw dopiero po upadku Związku Sowieckiego. Komisja Prezydium Rady Najwyższej Republiki Kabardyjsko-Bałkarskiej w składzie Federacji Rosyjskiej, która badała materiały dotyczące tych wydarzeń, ustaliła, że rzekomy oddział partyzancki w rzeczywistości był grupą miejscowych mężczyzn, liczącą zaledwie kilkunastu ludzi. Z ich rąk zginęło jedynie trzech żołnierzy Armii Czerwonej. Natomiast w trakcie operacji odwetowej zamordowano ok. 700 cywilów, z czego 367 zidentyfikowano z imienia i nazwiska (w tym 150 dzieci), a 519 domów zostało spalonych. Komisja uznała te wydarzenia za akt ludobójstwa.

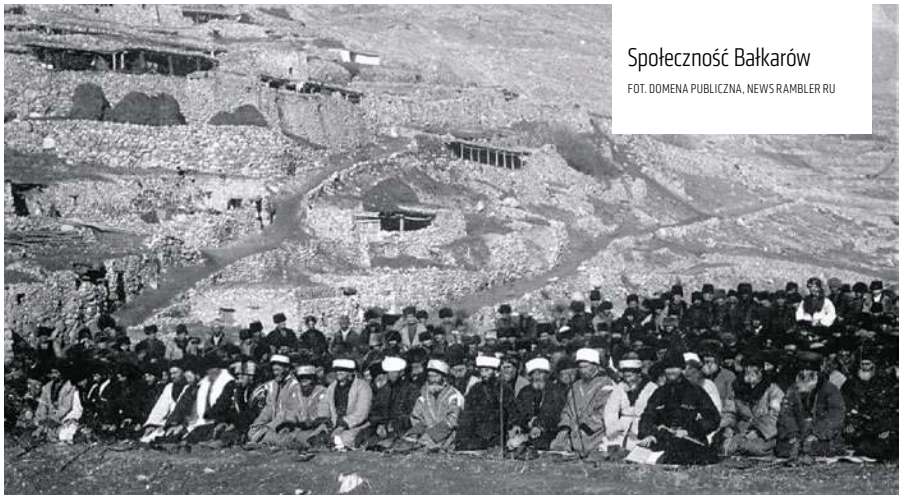
Jak naprawdę wyglądały wydarzenia, do których doszło nad rzeką Czerek? Armia niemiecka już w październiku 1942 r. zajęła całe terytorium Kabardo-Bałkarii razem z jej stolicą Nalczykiem. 37. Armia broniąca się na tym odcinku frontu została okrążona i wycofała się w góry. W szeregach sowieckich wojskowych zapanowała panika, która doprowadziła do niczym niesprowokowanych walk z miejscową ludnością. Nie będąc w stanie poradzić sobie z Niemcami, dowództwo sowieckie stworzyło legendę o rzekomym masowym ruchu partyzanckim wśród miejscowej ludności.

W sprawozdaniu gen. Iwana Maslennikowa, dowódcy 37 Armii, czytamy: „W dniach 1–17 listopada jednostki 37. Armii w walkach z nieprzyjacielem przemierzają terytorium republiki, aby wyrwać się z okrążenia. Wycofanie się wojsk w rejonie wsi Wierchniaja

eprasa.pl a8150e68df



Fragment ekspozycji w Memoriale Ofiar Deportacji w Nalczyku FOT. NALCHIK360.LIVEJOURNAL.COM



Społeczność Bałkarów

FOT. DOMENA PUBLICZNA, NEWS RAMBLER RU

Bałkaria było blokowane przez działania różnych band z rejonu rzeki Czerek, na czele których stał Zankiszyjew I.M. (były przewodniczący rady wiejskiej Wierchniej Bałkarii). Na bazie kilku grup bandyckich utworzono dużą organizację bandycko-powstańczą, liczącą do 200 osób, na której czele stanął Jamał Żanguzarow, który przeszedł na stronę Niemców i otrzymał stopień oficerski w armii niemieckiej. Generalne kierownictwo band powstańczych sprawował z miasta Nalczyk były pułkownik Armii Czerwonej Macharadze, który również przeszedł na stronę Niemców.

Zimno i głód

21 listopada doszło do strzelaniny pomiędzy bandytami a miejscowym garnizonem 37. Armii. Strzelanina zakończyła się bez strat, ale spłonął Dom Rad Rejonu Czereckiego, w którym mieścił się komitet powiatowy Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) i powiatowy komitet wykonawczy. Powstańcy ponadto zdobyli działo przeciwlotnicze i zniszczyli jego obsługę. W związku z powyższym dowództwo 37. Armii wydało rozkaz zniszczenia bandyckiego ruchu powstańczego w centralnej Bałkarii. Powodem wydania rozkazu było zdobycie przez dezerterów działa przeciwlotniczego. Rozkazano także zlikwidowanie band znajdujących się we wsi Wierchniaja Bałkaria i podjęcie najbardziej zdecydowanych kroków, aby wyeliminować bandytów. W razie konieczności nakazano także zastosować wobec bandytów i ich wspólników najbardziej zdecydowane środki, łącznie z egzekucją na miejscu, spaleniem budynków i mienia…".

„Tragedia czerecka" to w zasadzie jedyny i główny powód oskarżenia całego narodu o kolaborację. Na tej podstawie 8 marca 1944 r. cała ludność Bałkarii została przymusowo przesiedlona z miejsc stałego zamieszkania do Azji Środkowej: Kazachstanu i Kirgistanu. Bałkarzy, podobnie jak inne deportowane narody, zostali przesiedleni w sposób rozproszony. Do jednej miejscowości w Kazachstanie kierowano zaledwie kilka bałkarskich rodzin, tak aby uniknąć zbiorowego oporu wobec represji. Według oficjalnych danych w Kazachstanie i Kirgistanie co ósmy deportowany zmarł z głodu, zimna i chorób. Sam proces deportacji był już wcześniej dopracowany w szczegółach na innych tzw. narodach ukaranych zamieszkujących Kaukaz, m.in. Czeczenach i Inguszach.

Dla potężnego państwa stalinowskiego ten mały naród kaukaski nie stanowił żadnego zagrożenia. Represjonowano go z chorobliwej zemsty. Pamiętajmy, że zarówno sam Stalin, jak i jego główny enkawudzista Ławrientij Beria pochodzili właśnie z Kaukazu. Krwawa zemsta nie była więc dla nich obcym pojęciem.

Kreml obawiał się oporu ze strony wcielonych do Armii Czerwonej mężczyzn narodowości bałkarskiej. Dlatego z wojska zwalniano ich małymi grupami lub nie zwalniano wcale, lecz przenoszono do jednostek pomocniczych. Znamienne jest, że na frontach Wielkiej Wojny Ojczyźnianej walczyło ponad 15 tys. Bałkarów. Wielu z nich zostało odznaczonych za bohaterstwo najwyższymi orderami Związku Sowieckiego.

W rzeczywistości nie było i nie ma ani jednego prawdziwego dowodu na masową kolaborację Bałkarów z Niemcami. Na terytorium Kabardo-Bałkarii Wehrmacht znajdował się stosunkowo krótko, większość Bałkarów nawet nie widziała nazistów na oczy.

Istnieje przecież dobrze znane prawo, które obowiązywało, przynajmniej oficjalnie, również w państwie Stalina – domniemanie niewinności. Czy można na podstawie pojedynczych przypadków obwiniać o kolaborację cały naród? Nawiasem mówiąc, wśród Bałkarów było o wiele mniej winnych zdrady niż wśród Rosjan, którzy stworzyli u boku Niemców wielusettysięczną armię kolaboracyjną pod dowództwem gen. Andrieja Własowa.

Islam ratunkiem

Tej tragicznej nocy półprzytomni ludzie – głównie kobiety, dzieci i osoby starsze – niespodziewanie usłyszeli, że

eprasa.pl a8150e68df

zostaną wypędzeni ze swojej ojczyzny. Na spakowanie mieli dwie godziny. Pozwolono im zabrać ze sobą tylko tyle, ile byli w stanie unieść. Ludzi zapędzono na plac, gdzie załadowano ich na ciężarówki. Na nieodległych stacjach kolejowych czekały już na nich słynne bydlęce wagony. W deportacji 37 tys. Bałkarów brało udział ponad 21 tys. funkcjonariuszy NKWD i innych jednostek wojskowych. Oznacza to, że na dwóch zesłańców – dziecko, starca czy kobietę – przypadał statystycznie jeden uzbrojony funkcjonariusz NKWD lub żołnierz.

W Azji Środkowej Karaczajowie i Bałkarzy zostali przesiedleni w taki sposób, że w jednej osadzie nie mieszkało więcej niż pięć rodzin. Tu rzucili pięć rodzin, tam cztery, tam znów pięć itd. Dlaczego? Aby przesiedlani ludzi zapomnieli o swoich zwyczajach, tradycjach, języku – o wszystkim, co nazywamy tożsamością. Nie mogli utworzyć żadnej większej wspólnoty. Bez pozwolenia NKWD nie wolno im było nawet odwiedzać innych bałkarskich rodzin żyjących w okolicznych miejscowościach.

Od zera

Majerbek Jaslambajew, jeden ze świadków tej tragedii, wspominał: „W Kazachstanie Bałkarzy zetknęli się z plagą powszechnego głodu. Widmo śmierci głodowej zaglądało w oczy prawie każdej rodzinie. Na przykład moja matka straciła czterech synów – byli w podobnym wieku, mieli od sześciu do trzynastu lat. Straciłem wszystkich... Urodziłem się później, gdy moi rodzice mieli już prawie pięćdziesiąt lat, dwadzieścia lat po śmierci moich braci. Było to niewyobrażalne okrucieństwo wobec górali zupełnie nieprzygotowanych do życia w nowych warunkach... To, że przeżyliśmy, graniczy z cudem. Bardzo ważną rolę w naszym życiu deportowanych odgrywał islam. Wiara we Wszechmogącego, w Jego sprawiedliwość, w to, że On wszystko widzi i że jest z nami, uczyniła nas odpornymi moralnie, nieugiętymi i niepokonanymi. Wiara, że to wszystko jest tylko testem i że ma charakter tymczasowy, jest prawdziwą wiarą".

Po śmierci Stalina i rozpoczęciu tzw. destalinizacji, związanej z decyzjami podjętymi na XX zjeździe partii komunistycznej, Bałkarzy zostali zrehabilitowani. W 1957 r. rozpoczęły się powroty na Kaukaz. Życie w starych-nowych domach trzeba było zaczynać od zera. I choć uznano ich za osoby represjonowane, to państwo nie przyznało Bałkarom żadnego zadośćuczynienia. Same powroty nie były odgórnie organizowane – przesiedleni musieli działać tu na własną rękę.

Na miejscu okazywało się, że w ich domach mieszkali przeważnie Gruzini, ale nie brakowało też przesiedleńców z innych regionów Związku Sowieckiego. Według relacji świadków większość nowych mieszkańców ze zrozumieniem odnosiła się do powracających. Wiedzieli oni, że zajmują cudze domy, i zazwyczaj bez większych problemów przekazywali je prawowitym właścicielom. Wszystko odbywało się na podstawie porozumień. Bardzo rzadko Gruzini robili problemy powracającym góralom. Czasami zachodziła jednak konieczność wykupu własnego domu, zwłaszcza wtedy, gdy nieruchomość została rozbudowana przez nowych mieszkańców.

Dużą rolę w stosunkowo bezbolesnym powrocie Bałkarów do ojczyzny odegrało to, że tak naprawdę niewielu było chętnych do osiedlania się w górzystych rejonach Bałkarii. Większość ludzi rozumiała, że warunki życia u stóp Elbrusa były ciężkie. Niestety, wiele domów zostawionych bez opieki na tyle lat uległo rozgrabieniu, czasem dewastacji i zawaleniu. I dlatego część powracających Bałkarów musiała początkowo mieszkać w ziemiankach.

Los tego narodu był okrutny. Najpierw, gdy zostali wywiezieni do Kazachstanu, musieli porzucić za sobą prawie wszystko. Z kolei gdy już pozwolono im wrócić, państwo nie udzieliło im właściwie żadnego wsparcia. Ale mimo to byli szczęśliwi, że ponownie znaleźli się pod kaukaskim niebem na swojej własnej ziemi. Dzięki niesamowitemu wysiłkowi Bałkarom udało się odbudować swoje wioski, urządzić domy i odzyskać godność.

Dziś nowe pokolenie Bałkarów żyje we własnej republice autonomicznej Federacji Rosyjskiej. Dzieci i wnuki tych, którzy doświadczyli takiego okrucieństwa ze strony własnego państwa, nadal postrzegają ten tragiczny rozdział historii jako niegojącą się ranę na ciele narodu. I czekają na zadośćuczynienie. Ale czy jest to jakkolwiek możliwe, zważywszy na charakter dzisiejszego państwa rosyjskiego?



Upamiętnienie deportacji Bałkarów

FOT. DOMENA PUBLICZNA, BESSMERTNYBARAK.RU

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8150e68df



FOT. PAP, IRENA JAROSIŃSKA

1915–2006 / Książdz, który wierzył Panu Bogu jak dziecko

Wszystko proste jak wiersze

Pieniądze i rzeczy rozdawał, pilnując, by jego sutanna nie wyglądała przypadkiem na nową. Niczego nie zbierał, a jeśli już coś kolekcjonował, to przyjaciół. A o tym, co naprawdę ważne, mówił w wierszach. Takich jak ten:

Własnego kapłaństwa się boję,
własnego kapłaństwa się lękam
i przed kapłaństwem w proch padam,
i przed kapłaństwem klękam.
W lipcowy poranek mych święceń
dla innych szary zapewne –
jakaś moc przeogromna
z nagła poczęła się we mnie.
Jadę z innymi tramwajem –
biegnę z innymi ulicą –
nadziwić się nie mogę
swej duszy tajemnicą.



Krzysztof Masłoń

Na jego kazania przychodziły tłumy, na spotkaniach autorskich lokale pękały w szwach, jego książki sprzedawały się błyskawicznie mimo gigantycznych nakładów, szkoły – jedna za drugą – chciały być nazwane jego imieniem. U schyłku życia stał się ks. Jan Twardowski wręcz poetą narodowym

Waldemar Smaszcz wspominał swoją wizytę u prof. Konrada Górskiego, z którym dzielił zachwyt dla poezji ks. Jana. Gdy w 1986 r. odwiedził tego swego mentora jeszcze z czasów studiów na Uniwersytecie w Toruniu, ten „po przywitaniu powiedział z zagadkowym uśmiechem:

– Panie Waldemarze, rozmawia Pan z człowiekiem nieuczciwym.

eprasa.pl a8150e68df



Pokój ks. Jana Twardowskiego w klasztorze Wizytek

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ADRIAN GRYCUK

Zaprzeczyłem oczywiście, a wówczas usłyszałem:

– Akademia Szwedzka prosi mnie o opiniowanie polskich kandydatów do Literackiej Nagrody Nobla. Znowu wpisałem Zbigniewa Herberta, bo to świetny poeta. Powinienem jednak ks. Jana Twardowskiego, ale przecież protestanccy Szwedzi nie dadzą tej nagrody katolickiemu księdzu…".

W sławnym wierszu „Wyjaśnienie" ten katolicki ksiądz pisał:

Nie przyszedłem pana nawracać
zresztą wyleciały mi z głowy wszystkie mądre kazania
[…]
po prostu usiądę przy panu
i zwierzę swój sekret
że ja, ksiądz
wierzę Panu Bogu jak dziecko.

Ścinki, kawałki, supełki wątków

Magdalena Grzebałkowska, autorka głośnej biografii Jana Twardowskiego „Ksiądz Paradoks", stwierdziła, że miał on swobodny stosunek do przeszłości: „Łączę ścinki, kawałki, staram się rozplątać supełki wątków. Trudno nawet ustalić, kiedy dokładnie chodził do szkół. Dlaczego Jan Twardowski tak poplątał swoje życie, zatarł tropy?" – stawiała pytanie. Odpowiedzi pośrednio udzielił Waldemar Smaszcz: „Ksiądz od początku zacierał ślady. Nie chciał, żeby cokolwiek po nim zostało. Niszczył po sobie dokumenty, rwał zdjęcia, wszystko wyrzucał, niczego nie zbierał. To była jego idée fixe, żeby zostały wiersze, nic o człowieku".

Coś tam jednak wiemy o tym człowieku poza tym, że urodził się w Warszawie 1 czerwca 1915 r. Maturę zdał jako 20-latek. Znacznie wcześniej, bo w 1932 r., dał się poznać jako poeta, debiutując w „Kuźni Młodych" wierszem „Skarga". Przez pewien czas prowadził w tej redakcji poradnik literacki, w którym zdarzało mu się, oceniając nadsyłane wiersze, napisać np.: „Radzę przestać pisać. Nie można przecież literatury pięknej uprawiać niepięknie". A Juliuszowi Krzyżewskiemu, poecie, który zginął w powstaniu warszawskim i z którym zdążył się zaprzyjaźnić, nader krytycznie oceniając jego utwory, uświadamiał, że „dobry wiersz powinien oddać możliwie jak najwierniej stany duchowe autora, uzewnętrznić jego uczucia – działać sugestywnie na czytelnika".

Ojciec chciał, żeby został inżynierem. Ani mu to było w głowie, poszedł na polonistykę. „Studia spłynęły po nim jak woda po kaczce – pisała Magdalena Grzebałkowska. – Prawie nic z nich nie zapamiętał". Ważne dla niego stało się jedynie studenckie Koło Polonistów. Spotkał w nim dawnych znajomych z „Kuźni Młodych", poznał też nowe osoby, przyszłych krytyków, prozaików, poetów. Zawsze ich na filologii polskiej było pełno. W 1939 r. przygotowywał pracę magisterską. 1 września stało się to kompletnie nieistotne. Do wojska go nie wzięto ze względu na słaby wzrok.

Klękam z lampką i wiankiem

Co czytał? Młodzieżową klasykę, w której wyjątkową pozycję zajmowały „Wspomnienia niebieskiego mundurka" Wiktora Gomulickiego i „Bezgrzeszne lata" Kornela Makuszyńskiego.

Nawiasem mówiąc, moje jedyne spotkanie z ks. Janem Twardowskim przebiegło w ten sposób, że wzajemnie przepytywaliśmy się ze „Wspomnień niebieskiego mundurka", cytując a to, co zrobił Kucharzewski, a co Kozłowski, że o Sprężyckim nie wspomnę, bo to zbyt oczywisty bohater książki Gomulickiego.

A spotkanie nasze wzięło się z zaproszenia księdza, które wystosował po tym, gdy w „Rzeczpospolitej" w tekście mu poświęconym napisałem, że wprawdzie Polacy mogą podziwiać Czesława Miłosza, a nawet zachwycać się Wisławą Szymborską, ale jeśli kogoś kochają, to ks. Jana Twardowskiego. Waldemar Smaszcz uznał wprawdzie te słowa za „niepohamowaną wręcz eksklamację", ale nie wycofuję się z niej. Tak właśnie było, nie inaczej. Dzisiaj zaś, cóż, Polacy nie czytają wierszy. Jak i niczego innego, poza kryminałami.

Na swoją popularność spoglądał z dystansem. Tłumaczenia na obce języki naturalnie cieszyły go, ale nie zapominał o tym, że – jak cytował – najpiękniejsze zdanie literatury polskiej, czyli „Ogary poszły w las" (pierwsze zdanie „Popiołów" Stefana Żeromskiego), w przekładzie francuskim brzmi: „Psy pobiegły do lasu". Bardzo poprawnie.

Czas okupacji hitlerowskiej i powstania warszawskiego zadecydować miał o życiowym wyborze Jana Twardowskiego. Uczestniczył w ratowaniu Żydów, pełnił funkcje kurierskie, ale trudno powiedzieć, by w konspirację zaangażował się ze szczególną mocą. Wciągnął go do niej szwagier, Mieczysław Truszkowski, i to on w powstaniu warszawskim skierował go na Wolę. Tam jednak zaraz pojawili się Niemcy, stawiając go wraz z innymi osobami pod ścianą. „Jednak przedtem – opowiadał – jeden z nich kazał mi podać legitymację. Otworzyłem. Nie widziałem, że miałem obrazek Matki Boskiej. Niemiec go zobaczył, spojrzał na mnie, odsunął od ściany i kazał odejść". Tak uniknął rozstrzelania. Próbował dołączyć do walczących, co udało mu się połowicznie, zaraz bowiem został raniony w nogę. Kulał do końca życia.

Po powstaniu dotarł aż do Końskich, za Opatów, skąd na wieść, że rodzice są w Radomiu, udał się do nich. I wtedy zadecydował o tym, że wstąpi do seminarium duchownego. A z powstańcami 1944 r. czuł zawsze wielką solidarność. To nie była tylko wspólnota doświadczenia, ale coś znacznie głębszego. I pisał o tych swoich rówieśnikach takie wiersze jak „O spacerze po cmentarzu wojskowym":

eprasa.pl a8150e68df

Że też wtedy beze mnie
przewracali się w hełmie
lecąc twarzą bledziutką na bruk
Jurku z Wojtkiem i Jankiem
klękam z lampką i wiankiem
z czarnym kloszem sutanny u nóg
Przeminęło, odeszło w milczeniu
jak pod kocem na wycieczce ziemia
świecę lamplkę rękoma obiema
gdzie pod hełmem dawnych oczu nie ma.

Deszcz w Komańczy

W styczniu 1948 r., po zdanym egzaminie, otrzymał tytuł magistra filologii polskiej. Pracę magisterską pisał na temat „Godziny myśli" Juliusza Słowackiego. Pół roku później z rąk bp. Wacława Majewskiego przyjął święcenia kapłańskie. Po dwóch tygodniach rozpoczął posługę duchowną w swej pierwszej parafii, w Żbikowie, dzielnicy Pruszkowa, wtedy będącym w istocie wsią. Przyjechało tam któregoś dnia dwóch ubeków, zabierając księdza do Urzędu Bezpieczeństwa w podwarszawskich Włochach, gdzie kilku specjalnie na tę okazję zaproszonych gości udowadniało mu – wspominał – „że nie ma Boga, a jeden, widocznie historyk, przypomniał, że za króla Łokietka pewien biskup miał dziecko.

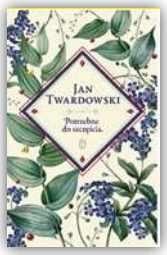
– Te dowody są mi niepotrzebne – powiedziałem – bo ja Boga widziałem.

Zamilkli. Po chwili jeden z nich wstał i oznajmił mi:

– Ksiądz jest wolny".

Pracując w Żbikowie, wziął na siebie obowiązki katechety w szkole specjalnej dla upośledzonych dzieci. W wierszu „Do moich dzieci" napisał potem, jak w liście:

Czekam na was, najdrożsi, z każdą pierwszą gwiazdką –
z niebem betlejemskim, co w pudełkach świeci –
z barankiem wielkanocnym – bez was świeczki gasną –
i nie ma żyć dla kogo.
Ten od głupich dzieci.













W roku 1952 przeniesiony został ks. Twardowski do parafii św. Stanisława Kostki na stołecznym Żoliborzu. Dojeżdżał stamtąd na Wolę, gdzie był katechetą w Liceum Ogólnokształcącym im. Józefa Sowińskiego. Poznał wtedy wiele osób dzięki uczącej w tej samej szkole matematyczce, Halinie Świerszczewskiej, prezesującej Stowarzyszeniu Pań Miłosierdzia im. św. Wincentego à Paulo. Nawiązał też znajomość z tak ważnymi następnie dla niego ks. Januszem Pasierbem i Jerzym Zawieyskim, późniejszym posłem. To temu ostatniemu zawdzięczał swój powtórny debiut książkowy, po wydanym jeszcze w 1937 r. w mikroskopijnym nakładzie „Powrocie Andersena". Znalazł się też w kręgu Lasek, wśród osób duchownych i świeckich tworzących to niezwykłe środowisko, z którym ściśle związał się, w latach okupacji i tuż po wojnie, ks. kard. Stefan Wyszyński. Po jego uwięzieniu w 1953 r. ks. Twardowski napisał wiersz „Komańcza":

Kocham deszcz, który pada czasami
w Komańczy,
nawet taki szorstki i chłodny,
gwiazdkę śniegu, co mu nieraz w oknach zatańczy,
żeby był tak jak zawsze pogodny
Prostą lampę na stole. Wszystkie jego książki,
brewiarz, zegar, wieczorną ciszę –
nawet taki najmniejszy z Matką Boską obrazem,
który komuś z wygnania podpisze
Krzyże żadne nie krwawią, gdy jest świętość i spokój,
gdy z wygnańcem po cichu drży Polska –
wszystko proste jak wiersze – brewiarz, lampa i pokój,
drzew warszawskich na niebie gałązka.

Jakimś cudem utwór ten – „bardzo prościutki, skamandrycki", jak oceniał go autor – dotarł do najważniejszego więźnia PRL. I pamiętał o nim i jego twórcy ksiądz prymas zawsze. Poeta zaś, który w zasadzie od polityki się dystansował, 30 lat później z pewną goryczą i zapewne zniesmaczony wieloma sytuacjami mającymi wtedy miejsce napisał wiersz „Teraz" ze słowami o dużym ciężarze gatunkowym:

Teraz się rodzi poezja religijna
co krok nawrócenia
lepiej nie mówić kogo nastraszył
buldog sumienia
ale Ty co świecisz w oczach jak w Ostrej Bramie
nie zapominaj
że pisząc wiersze byłem Ci wierny
w czasach Stalina.

Bogu się mówi „tak"

W 1959 r. otrzymał ks. Twardowski nominację na rektora kościoła pw. św. Józefa Oblubieńca przy klasztorze Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny Sióstr Wizytek na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Tym samym znalazł miejsce na całą resztę swojego długiego życia.

W tym samym roku nakładem Pallotinum ukazały się jego „Wiersze", rozprowadzane wśród subskrybentów, wydane wraz z „Niepowrotnymi godzinami" ks. Pawła Heintscha. I dopiero w 1970 r. krakowski Znak wydał „Znaki ufności", tom przyjęty z niesłychanym entuzjazmem. Nie przesadził Waldemar Smaszcz, pisząc, że „podobnego sukcesu książki poetyckiej nie było u nas bodaj od pół wieku, gdy w 1920 roku ukazał się »Karmazynowy poemat« Jana Lechonia". Niebawem krakowski Znak, idąc za ciosem, opublikował „Zeszyt w kratkę. Rozmowy z dziećmi i nie tylko z dziećmi", a nie minęło wiele czasu i inny wydawca rzucił na rynek „Poezje wybrane" ks. Jana. I tak wyboru swoich utworów doczekał się poeta mający w dorobku w istocie zaledwie dwa tomiki, jako że „Niebieskie okulary" ukazały się później, 10 lat po „Znakach ufności".

Bardzo długo więc sytuacja daleka jeszcze była od tej, która wytworzyła się na przełomie dziewiątej i dziesiątej dekady zeszłego wieku, gdy oficyny prześcigały się w edycjach twórczości ks. Twardowskiego, a masowe nakłady książek sygnowanych jego nazwiskiem sprzedawały się niczym największe bestsellery. Bo też były bestsellerami. Jeszcze za życia księdza poety łączny nakład jego książek przekroczył, w co aż trudno

eprasa.pl a8150e68df

uwierzyć, 2 mln egzemplarzy! Trzeba też pamiętać, że oprócz wierszy (w sumie napisał ich ponad 1,1 tys.), będących koroną jego twórczości, pisał i wydawał takie książki jak np. „Patyki i patyczki", wciąż najpopularniejszy tytuł ks. Jana będący zbiorem poganek, opowiadań i wierszy dla dzieci.

Miał autor „Znaków ufności" całe rzesze wiernych czytelników. Także tych wyjątkowych, włącznie z Janem Pawłem II, który zapewniał go, że czyta jego wiersze „po dziesięć stron dziennie". Poznali się jeszcze w latach 40., później spotykając się raczej sporadycznie. W 1998 r., na 20-lecie pontyfikatu Jana Pawła II, ks. Twardowski wysłał do Rzymu wiersz zatytułowany „Na 20. Urodziny Ojca Świętego":

Szczęśliwy Dzień Urodzin
anioł by tylko zgadł
jak śnieg święty uśmiechnięty
co w polskich Tatrach spadł
Przemija wiek jak burza
wciąż w rękach boży świat
a On – taki młody
skończył 20 lat.

Nie czekał długo na odpowiedź: „Serdecznie dziękuję za życzliwą myśl »na dwudzieste urodziny« i za Kubek z jednym uchem. Rzeczywiście, jak burza przemija ten wiek, ale nie tylko w tym sensie, że się kończy nagle. Burzliwe były lata, w których przyszło żyć naszemu pokoleniu. Opatrzność Boża pozwoliła nam jednak doświadczyć, że nawet przez najciemniejsze chmury przeziera słońce, a wraz z końcem burzy lepiej widzi się piękno nieba. Może tu właśnie tkwi tajemnica tej młodości, która – choć opiera się na lasce – przybiera kształt lat dwudziestu, albo tego chłopca z buzią otwartą, co wie, że »choćby się cały Kościół zawalił, Bogu się mówi – tak«".

Cztery lata później na spotkaniu młodzieży nad jeziorem Lednica ten wiersz wyrecytowało chórem 100 tys. osób.

Jezus z klasy pierwszej

Każdy pewnie ma swoje ulubione wiersze ks. Jana. Dla mnie pozostanie, przede wszystkim, autorem „Dawnej Wigilii", wciąż wzruszającej:

O wierszach ks. Twardowskiego pisano albo pozytywnie, albo bardzo pozytywnie

Przyszła mi na wigilię zziębnięta głuchociemna
z gwiazdą jak z jasną twarzą – wigilia przedwojenna,
z domem co został jeszcze na cienkiej fotografii,
z sercem co nigdy umrzeć porządnie nie potrafi,
z niemądrym bardzo piórem skrobiącym w kałamarzu,
z przedpotopowym świętym – z Piłsudskim w kalendarzu,
z mamusią co od nieszczęść zasłonić chciała łzami
podając barszcz czerwony co śmieszył nas uszkami,
z lampą, z czajnikiem starym wydartym chyba niebu,
z całą rodziną jeszcze, co znaczy sprzed pogrzebów.
Nad stołem mym samotnym zwiesiła czułą głowę –
Nad wszystkie figi z makiem – dziś już posoborowe.
Przyszła usiadła sobie. Jak żołnierz pomilczała,
Jezusa z klasy pierwszej z opłatkiem mi podała.

Anna Kamieńska, z którą przez lata bardzo się przyjaźnił (to jej zadedykował chyba najlepiej znany swój wiersz „Spieszmy się kochać ludzi"), tak odczytywała jego twórczość: „Każdy poeta ma jakieś zadanie do spełnienia. Wówczas gdy zacznie to czytać, gdy odnajdzie swoje zadanie – natychmiast jego poezja dynamizuje się i staje się autentyczna. Nie ma wówczas problemu z tzw. formą. Ona znajduje się sama. Pisać wiersze – to nie znaczy jeszcze być poetą. Stąd jej [poezji ks. Twardowskiego] polemika z »teologią«, z kulturowymi stereotypami, stąd osiąganie przez zwyczajność i dokładność realiów świeżości widzenia. Stąd odcinanie się przez humor od patosu i celebracji.

Poeta po prostu musi czynić swoje. I właśnie kiedy to czyni, poezja jego rozwija się i dojrzewa, nie zastyga. Poszukiwanie nowego języka przeżycia religijnego musi oczywiście iść w parze z budowaniem własnej wiary, z wchodzeniem w głąb siebie i sensu życia i świata".

A ks. Jan tak mówił o tej, też świetnej przecież, poetce: „Bliska mi była Anna Kamieńska z ostatniego okresu swojego życia. Po śmierci męża pisała wiersze metafizyczne. Poznałem ją jako niewierzącą. Urodziła się w katolickiej rodzinie, ale oddaliła się od Boga. Nie nawracałem jej. Bardzo przeżyła śmierć męża, Jana Śpiewaka. Była w zupełnej pustce. Nie mogła zrozumieć, jak mąż mógł stać się prochem, jeżeli go kochała. Powiedziała mi, że jeżeli kogoś kocha, to on musi żyć. Na moich oczach Kamieńska przeżyła nawrócenie. Straciła męża, ale znalazła Boga".

O wierszach ks. Twardowskiego pisano albo pozytywnie, albo bardzo pozytywnie. Mówiono już z mniejszym entuzjazmem, półgębkiem, wydziwiając, że za proste te wiersze, że to poezja łatwa, by nie powiedzieć – ułatwiona. Ale do wyjątków należały takie opinie jak Hamiltona, który w 1977 r., gdy już poezja księdza dotarła wreszcie pod polskie strzechy, wydziwiał w „Kulturze" (warszawskiej oczywiście): „Poezja księdza Jana Twardowskiego uchodzi za religijną, gdy w rzeczywistości jest przeciwieństwem religijności mimo religijnego rynsztunku. Twardowski… wygania Boga z nieskończoności, pakuje do pudelka z zapałkami. Jego Bóg to wróbelek, który ćwierka. Żeby jeszcze w dużym parku. Ale on ćwierka na działce. Ksiądz nie może być poetą religijnym. Poeta religijny musi jak Mickiewicz buntować się przeciw Bogu i szarpać papieża za rękaw, a księdzu tego robić nie wolno".

Czego jeszcze nie wolno było, rzekomo, robić księdzu? Ano np. ukrywać postępującego łysienia pod tupetem. „Ludzie udawali przed nim, że to jego prawdziwe włosy. Ale kpili za jego plecami" – czytamy w biografii napisanej przez Magdalenę Grzebałkowską. Paweł Śpiewak, syn Anny Kamieńskiej (i ojciec Jana Śpiewaka, znanego działacza społecznego), opowiadał: „Mama śmiała się z jednej rzeczy u księdza, że choć niesłychanie religijny, oddany Bogu, to jednocześnie nosił tupecik. Że miał w sobie męską kokieterię, mimo wszystko chciał się podobać. To w sumie było miłe i ludzkie, taka słabość".

Ksiądz Jan Twardowski zmarł 18 stycznia 2006 r. w wieku 90 lat. Pochowano go w Świątyni Opatrzności Bożej, w myśl życzenia prymasa Polski kard. Józefa Glempa, choć on sam chciał spocząć na warszawskich Powązkach, ale decyzję pozostawił swoim zwierzchnikom. Był wiernym sługą Kościoła.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8150e68df



Andrzej Stech „Bitwa pod Chocimiem 1673”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LWOWSKA GALERIA SZTUKI IM. BORYSA WOŹNICKIEGO

Książka miesiąca / Wielkość i upadek I Rzeczypospolitej

Utracona ojczyzna

Niewiele zapowiadało, że 8 września 1514 r. polsko-litewska armia pokona liczniejsze siły moskiewskie. Konstanty Ostrogski opracował strategię, która zaskoczyła wrogów. Moskwa padła pod naporem polskiej piechoty i artylerii. Niemal 100 lat później, 27 września 1605 r., pod Kircholmem Jan Karol Chodkiewicz patrzył na pole bitwy zasłane ciałami wrogów. Pokonał właśnie liczącą 11 tys. ludzi armię szwedzką. Jego imię wymieniano na wszystkich europejskich dworach, a husaria, którą dowodził, przeszła do legendy. 11 listopada 1673 r. wojska pod dowództwem hetmana Jana Sobieskiego szykowały się pod Chocimiem do bitwy z Turcją. Było to podeptanie hańbiącego traktatu z Buczacza, pod kopytami polskiej jazdy. Powiodło się. Sobieski poprowadził swoją armię do wiktorii, której kraj od dawna potrzebował. Ironią losu jest, że było to ostatnie tak wielkie zwycięstwo I Rzeczypospolitej.

Trudno uwierzyć, że po śmierci Sobieskiego istniejące od czasów Mieszka I i Bolesława Chrobrego państwo zaczęło trząść się w posadach. Wcześniej z kryzysów udawało się jakoś wydostać. Tym razem było inaczej. Z każdym rokiem państwo polsko-litewskie słabło, pogrążając się w chaosie. Na nic zdały się próby ratowania kraju. Na drodze zmian stały w szczególności niektóre rody magnackie, których duch z czasem skarlał. Dbały one tylko o własny dobrobyt, a nie potęgę państwa, na którego pomyślność pracowali ich przodkowie. Ale nie tylko oni byli przyczyną nieszczęść naszej ojczyzny. Jak więc doszło do tego, że przedstawiciele tak wspaniałego jak Rzeczypospolita Obojga Narodów państwa w cieniu rosyjskich i pruskich bagnetów przegłosowali ostatecznie pod koniec XVIII w. zgodę na rozbiory? Odpowiedź na to daje książka Jacka Komudy.

Potęga Rzeczypospolitej to nie tylko wielka polityka, rozległe kontakty międzynarodowe i niezwyciężone wojska, lecz także tolerancja religijna i kultura. Nasi przodkowie byli dumnymi mieszkańcami państwa nad Wisłą, Niemnem i Dniestrem. Inspirowali się kulturami krajów ościennych, pielęgnując jednocześnie własne tradycje i obyczaje. Strój polski, nawiązujący także do orientalnych wzorów, był przecież powodem do dumy, a nie wstydu! Polskie miasta wyglądały o niebo lepiej niż większość miast zachodniej Europy. Na Wawelu od dawna istniały toalety, co zresztą bardzo zdziwiło Francuza, Henryka Walezego, który mimo tego długo w Polsce nie zabawił, gdyż to Paryż, pomimo brudu i odoru, wydawał się mu się bardziej europejski. Skąd my to znamy?



JACEK KOMUDA
„UPADEK. JAK STRACILIŚMY I RZECZPOSPOLITĄ”
FABRYKA SŁÓW

Polacy mieli świetnych pisarzy, artystów, byli dobrze wykształceni, władali nawet kilkoma językami. Z ich znajomością wyjeżdżali w dalekie podróże. A podróżowali sporo. Uczyli się wtedy, poznawali nowe techniki wojskowe albo nowe kulinarne smaki. Te doświadczenia przywozili do kraju, czerpiąc z nich to, co najlepsze.

W tej książce przeczytamy o kraju utraconym. Jacek Komuda, znany z powieści historycznych i fantasy, jest wielkim znawcą Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Nie tylko opisuje to, co straciliśmy, lecz także daje receptę na to, aby historia się nie powtórzyła. Jak nie popełnić tych samych błędów? Jak ustrzec się przed katastrofą? Pozycja obowiązkowa dla wszystkich, którym dobro Polski leży na sercu. ©℗

Anna Szczepańska

eprasa.pl a8150e68df

Chorwacja z Koprem

Na okręcie zapanowało zupełne rozprzężenie. Nikt już nad niczym nie panował. Wieloetniczna załoga, która pod batem oficerów trzymała się jakoś w ryzach, w końcu mogła sobie pofolgować. Alkohol lał się na pokładzie strumieniami, a po porcie w Puli szerokim echem niosły się wesołe przyśpiewki. Tak Słowianie południowi fetowali na pokładzie pancernika „Viribus Unitis" agonię Austro-Węgier i narodziny własnego państwa. Jakby mało było sukcesów do opijania, to jeszcze cesarz Karol II przekazał właśnie całą flotę adriatycką Państwu Słoweńców, Chorwatów i Serbów.

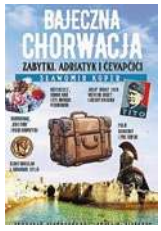
W ten sposób ta 150-metrowa jednostka, na której służyła 1000-osobowa załoga, została właśnie przemianowana z „Viribus Unitis" na „Jugoslavija".

Niestety, o przekazaniu floty przez Austro-Węgry nic nie wiedzieli ich wrogowie – Włosi. A właśnie nocą 1 listopada 1918 r. zaplanowany został rajd na Pulę. „Żywa torpeda", którą obsługiwało dwóch włoskich marynarzy, przedarła się przez zapory rozstawione u wejścia do portu. Podłożona przez nich mina wykonała swoje zadanie: okrętem, na którym zabawa trwała w najlepsze, wstrząsnęła potężna eksplozja. Pancernik przewrócił się i poszedł na dno, grzebiąc w toni 300 marynarzy. Wrak spoczywający na głębokości 15 metrów, nie stanowił zagrożenia dla ruchu w porcie, więc nie podnoszono go.

Chorwacka Pula znana jest wśród turystów przede wszystkim ze wspaniałego rzymskiego amfiteatru, ale – jak widać – w tym mieście działa się historia przez wielkie „H". W książce Sławomira Kopra pełno jest takich ciekawostek o tym pięknym – i coraz bardziej popularnym wśród Polaków – bałkańskim kraju. Zacytujmy jeszcze fragment wypowiedzi taksówkarza, z którym rozmawiał autor:

„Dwóch moich dziadków walczyło pod banderą austro-węgierską, jeden z nich uratował się z tonącego »Viribus Unitis«. Nawet nie wiedział, jak doszło do wybuchu. Wypił dużo rakii i zasnął na pokładzie. Obudził się na brzegu. Podobno było mu zimno i założył kamizelkę ratunkową, by się rozgrzać. Przespał atak Włochów i zatonięcie okrętu! Ojciec pływał pod komendą włoską, a brat jugosłowiańską. Teraz bratanek służy we flocie chorwackiej, a siostrzeniec w słoweńskiej. Jesteśmy ludźmi z Istrii i mamy już dosyć zmian na mapie". ©℗

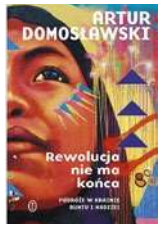
Piotr Włoczyk



SŁAWOMIR KOPER
„BAJECZNA CHORWACJA"
FRONDA

Powrót gorączki

Artur Domosławski wraca tą książką do arcyciekawego latynoskiego świata. Jak wiele się zmieniło przez dwie dekady od premiery jego „Gorączki latynoamerykańskiej"! Ale Ameryka Łacińska wciąż żyje tymi samymi problemami. Potężne rozwarstwienie społeczne, ciągnące się po horyzont dzielnice nędzy, politycy gorsi niż katastrofy naturalne. Domosławski, opowiadając o tym wszystkim, traci czasem zdrowy dystans (np. gdy zachwyca się brazylijskim prezydentem „Lulą"), ale to wciąż kawał świetnej reporterskiej roboty, którą trzeba docenić. ©℗ ***(p.w.)***



ARTUR DOMOSŁAWSKI
„REWOLUCJA NIE MA KOŃCA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

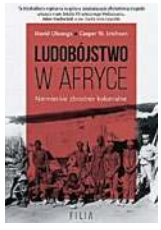
Początki „rasy panów"

W połowie 1904 r. Niemcy otoczyli pustynię Kalahari, na której ukryło się kilkadziesiąt tysięcy ludności Herero. Wojska niemieckie ścigały ich od tygodni. Hererowie, stłoczeni wcześniej przez Niemców w niedużych rezerwatach, zbuntowali się przeciwko kolonizatorom. Początkowo z odnieśli kilka sukcesów, lecz szybko stało się jasne, że nie wygrają tego konfliktu. Niemcom nie wystarczyło jednak zwycięstwo – chcieli unicestwić wszystkich Hererów. Rozkaz eksterminacji wydał gen. von Trotha. Afrykanów spędzono na pustynię i pozostawiono ich, aby umarli z głodu i pragnienia. Jednocześnie obstawione zostały punkty z wodą i Niemcy strzelali do każdego, kto próbował się do nich zbliżyć.

Ci, którzy przeżyli, zamknięci zostali w obozach koncentracyjnych. Wkrótce ten sam los spotkał zbuntowany przeciw kolonizatorom lud Nama. Niemcy wymordowali w ten sposób nawet 80 proc. dwóch największych grup ludności w Namibii.

Autorzy pokazują, jak Niemcy podbijali Afrykę Południowo-Zachodnią i jak traktowali jej mieszkańców. To unikatowa na polskim rynku książka o dziejach mało znanego państwa, jakim jest Namibia. Jednocześnie to świetne studium o genezie niemieckiej „rasy panów". Pojęcie czystości rasy pojawiło się bowiem w Niemczech w kontekście podboju Namibii. ©℗

Anna Szczepańska



DAVID OLUSOGA,
CASPER W. ERICHSEN
„LUDOBÓJSTWO W AFRYCE. NIEMIECKIE ZBRODNIE KOLONIALNE"
FILIA

eprasa.pl a8150e68df



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Wypadkowa przypadków

Wielka Wojna, dzisiaj zwana pierwszą wojną światową, nie miała prawa wybuchnąć. Zapewniali o tym przemysłowcy, jak Jan Bloch, i znawcy najnowszych osiągnięć nauki, jak Norman Angell, dowodząc ponad wszelką wątpliwość, że wobec niezwykłego wzrostu potęgi środków zniszczenia, jak i konsolidacji państw opartych na przemyśle oraz produkcji masowej, nikt takiej wojny nie będzie już w stanie wygrać – chyba kosztem własnej ruiny, a tego przecież nikt nie chce. Ale zapewniali też inni: socjaliści wszystkich nurtów, z dumą twierdząc, że „związek ich bratni" przekonał robotników wszystkich krajów, że są jedną klasą, więc strzelać do siebie nawzajem nie będą (była zresztą taka uchwała, przyjęta przez aklamację na którymś z europejskich kongresów), masoni – bo przecież we wszystkich mocarstwach „bracia" mieli ogromne wpływy, konserwatyści – bo na prawie wszystkich tronach zasiadali monarchowie blisko ze sobą spokrewnieni…

Co się zatem stało? Jest mnóstwo świetnych książek, które drążą ten temat na wszystkie sposoby, szukając przyczyny a to w napięciach socjalnych, a to w charakterach monarchów, premierów i liderów parlamentarnych. Kłócąc się o wszystko inne, zgodne są one w jednym: ta wojna nie musiała wybuchnąć – w przeciwieństwie do drugiej, po pierwszej i po rewolucjach z niej wynikłych już nieuniknionej. Była tylko skutkiem ciągu niefortunnych zdarzeń i skumulowanej nieudolności.

Faktem jest, że w tym szczególnym momencie historii dotknęła Stary Kontynent szczególna atrofia władzy. We wszystkich krajach najwięcej wpływu na bieg wypadków mieli ludzie albo nader mierni jak car Mikołaj II czy angielski król Jerzy V, albo w jakiś sposób zaburzeni jak niemiecki cesarz Wilhelm II, albo krótkowzroczni jak niemieccy i austriaccy sztabowcy.

> / Nowy lider w USA próbuje z analogicznej sytuacji wypalenia wyjść w inny sposób: **wieloma „kontrolowanymi eksplozjami" mającymi zdekonstruować sypiący się światowy ład postglobalizacji**

Czy gdyby np. stary Franciszek Józef w porę, zanim po śmierci żony i syna pogrążył się wraz z całym cesarstwem w kompletnym marazmie, oddał w porę ster dynamicznemu bratankowi, który w pamięci pozostał tylko jako ofiara zamachu w Sarajewie i pośredni sprawca rzezi, a miał ponoć dane na wybitnego władcę, udałoby się rozładować międzynarodowe napięcia pokojowo? Albo gdyby całej uwagi Mikołaja nie pochłonęły choroba syna i wywołane nią wariactwo żony, której niemrawo ulegał we wszystkim? I gdyby u steru państwa rosyjskiego nie zabrakło Stołypina?

Do wszystkich tych refleksji mam chęć dołożyć własną – moim zdaniem wojna była skutkiem ugrzęźnięcia ówczesnej Europy w niemocy, jej wypalenia, kostnienia. Wszyscy to podświadomie czuli (proszę wierzyć, sporo literatury z epoki przeryłem) i nikt nie miał innego pomysłu niż: niech to wybuchnie, niech będzie wielki reset, wielka wojna, to jakoś się sytuacja wyklaruje.

Temat szczególnie aktualny teraz, gdy nowy lider w USA próbuje z analogicznej sytuacji wypalenia wyjść w inny sposób: wieloma „kontrolowanymi eksplozjami" mającymi zdekonstruować sypiący się światowy ład postglobalizacji, zanim się sam z siebie zawali ze skutkiem znacznie gorszym. Odnoszę wrażenie, że mało kto rozumie sens jego starań, szczególnie w Europie, bardzo przypominającej Austro-Węgry Franza Josepha – konkretnie ich wiarę, że wciąż jest tak, jak było kiedyś, i że może tak być zawsze. Co sprawia, że to, co jest próbą zapobieżenia katastrofie, widzi Europa jako zakłócanie wygodnego dla wszystkich porządku. Podobno historia się nie powtarza. Ale… ©℗

eprasa.pl a8150e68df

/ Felieton



Piotr Semka

Amerykański totem

Jak już może państwo zauważyli po moim zeszłorocznym wyjeździe do Kanady i USA, bardzo polubiłem amerykańskie Seattle. Zapewne dlatego, że w tej metropolii nad Pacyfikiem jak w soczewce poznałem wiele historycznych dylematów Ameryki.

W Seattle niewielkie Pioneer Square odgrywa rolę podobną do europejskich zabytkowych starówek. W XIX w., gdy Seattle urosło z niewielkiego centrum eksportu drewna do rangi prawdziwej stolicy Northwestu, mieściło się tu centrum miasta.

Główne miejsce na Pioneer Square zajmuje drewniany totem indiańskiego plemienia Tlingit. Lud ten zamieszkiwał od niepamiętnych czasów ujścia rzek w południowo-wschodniej Alasce. Członkiem plemienia była otaczana czcią i szacunkiem kobieta o imieniu Chief-of--all-Women, która pochodziła z klanu Raven i mieszkała na wyspie Tongass. Około roku 1790 Indianka postanowiła odwiedzić swoją chorą siostrę, ale płynąc czółnem zdradliwą rzeką Nass, utonęła. Dla upamiętnienia tej tragedii klan Raven wyrzeźbił blisko 20-metrowy totem, który stał w centrum Tongass przez ponad 100 lat. W tym czasie pobliska granica roszczeń terytorialnych zmieniła się z rosyjsko-brytyjskiej na amerykańsko-kanadyjską.

W sierpniu 1899 r. grupa 15 najważniejszych biznesmenów z Seattle udała się na wycieczkę na południowy kraniec Alaski. Wśród nich znaleźli się m.in. potentat tramwajowy Jacob Furth, prawnik James Clise, historyk Thomas Prosch i James Hoge Jr., prezes First National Bank. W czasie wyprawy natknęli się na wspomniany już indiański totem. Spodobał im się tak bardzo, że uznali, iż musi się on stać centralnym punktem Pioneer Square.

Gdy wioska opustoszała, bo wszyscy mieszkańcy zajęci byli łowieniem ryb, Amerykanie ścięli słup i zabrali ze sobą. W październiku 1899 r. wbili go w ziemię na samym środku centralnego placu miasta. Totem stał się symbolem Seattle, ale po pewnym czasie wieść o nim dotarła do ludu Tlingit. Piętnastu wspomnianych przedstawicieli elity Seattle zostało natychmiast oskarżonych w sądzie federalnym o kradzież totemu. Próbowali wprawdzie zapłacić Tlingitom odszkodowanie za słup, ale przekazali pieniądze niewłaściwym osobom. W końcu w czerwcu 1900 r. oskarżenia zostały oddalone po wypłaceniu Tlingitom dodatkowego odszkodowania.

W 1938 r. nieznany do dziś sprawca podpalił totem. Konstrukcja została poważnie uszkodzona i słup zaczął się chwiać. Miasto rozważało usunięcie go, wzmocnienie stalowymi opaskami lub wykonanie betonowe kopii. W końcu zdecydowano się wyrzeźbić zastępczy totem. Oferty złożyło kilku rzeźbiarzy, ale antropolodzy z University of Washington interweniowali i przekonali miasto, aby współpracowało wyłącznie z rzeźbiarzami Tlingitów.

Oryginalny, nadpalony totem został im ostatecznie zwrócony, a Tlingici wykonali na zamówienie nowy słup. Ze swojego miejsca na szczycie mityczny indiański symbol, ptak Nass Raven, nadal czuwa nad Seattle, trzymając księżyc w dziobie.

Cała ta historia jest bardzo niejednoznaczna. Z jednej strony to przykład arogancji grupy nowobogackich Jankesów, którzy bez ceregieli ukradli indiański święty symbol. Z drugiej strony trudno o lepszy przykład fascynacji przybyszy z Europy sztuką Indian. Symbol miejscowego plemienia uznali za swój i zrabowali go, choć przecież mogły w Seattle przeważyć głosy, że to symbol pogański, sprzeczny z chrześcijańską tożsamością większości mieszkańców miasta.

Jak widać, w relacjach Indianie – biali Amerykanie nic nigdy nie było proste. Ich wzajemne stosunki to mieszanina zaciekawienia i wrogości. Wiele nazw geograficznych w USA, jak np. stany Alabama, Idaho, Massachusetts czy też nowojorska dzielnica Manhattan, ma indiańską etymologię i raczej nikomu z białych osadników to nie przeszkadzało. Pontiac, dawniej jedna z najpopularniejszych marek samochodowych (w 2010 r. zniknęła z rynku), to imię walecznego wodza Indian, który wojował z Brytyjczykami. Ale ideologów wokeizmu takie niuanse niewiele interesują. I to też jest bardzo amerykańskie. ©℗

eprasa.pl a8150e68df



Niemieccy żołnierze na brytyjskich Wyspach Normandzkich FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1940–1945 / „Modelowa okupacja”

Festung Jersey



Beata Zubowicz

Niemcy zamienili w twierdzę ten jedyny zajęty przez nich kawałek brytyjskiej ziemi. Czas okupacji Wysp Normandzkich wciąż budzi ogromne kontrowersje

Są wszędzie. Wyłaniają się z traw, widać je na plaży, przy drodze, w czyimś ogródku. Potężne, betonowe bloki. – Środek Jersey jest zielony i sielankowy, natomiast skaliste, wysuszone przez słońce i wiatr wybrzeże, w połączeniu z betonowymi blokami o często trudnych do określenia kształtach, przypomina postapokaliptyczne pustkowie. Widok jest unikalny – mówi Jan Makowski, fotograf, który na wyspie spędził kilka lat.

Zafascynował go przede wszystkim współczesny wygląd budowli, które wchodziły w skład Wału Atlantyckiego, najdłuższego (3862 km) systemu umocnień wznoszonych przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej wzdłuż zachodnich wybrzeży Europy. A Wyspy Normandzkie, do których należy Jersey, odgrywały w tym systemie niebagatelną rolę: były jego najbardziej ufortyfikowaną częścią.

Inżynier od autostrad

Decyzję o budowie Wału podjął osobiście Adolf Hitler. Jego wojsko przegrało właśnie bitwę pod Moskwą, największą batalię drugiej wojny światowej, trwającą od września/października 1941 r. do stycznia 1942 r. Było już jasne, że na wschodzie wojna będzie długa i krwawa, a na zachodzie wcześniej czy później dojdzie do lądowania aliantów. Tylko nie wiadomo było, gdzie może ono nastąpić. A ponieważ brakowało wyraźnych sygnałów od szpiegów, 23 marca 1942 r. Hitler wydał dyrektywę nr 40, w której nakazał budowę długiego pasa umocnień od Hiszpanii do Norwegii.

Prace powierzono paramilitarnej Organizacji Todta. Do życia powołał ją w 1938 r. dr Fritz Todt, nazista z krwi i kości – od 1922 r. członek NSDAP, od 1931 r. w SS. W tym czasie szła już za nim także sława zdolnego inżyniera i niezwykle sprawnego organizatora. Wystarczy wspomnieć, że to właśnie on w latach 30. nadzorował budowę sieci niemieckich autostrad Reichsautobahn, które budziły na świecie powszechny podziw.

Głównym zadaniem organizacji, nazwanej od nazwiska twórcy, była budowa ważnych – z militarnego punktu widzenia – obiektów. Do najbardziej znanych należą: system umocnień na granicy Niemiec z Francją i Luksemburgiem, czyli linia Zygfryda, doświadczalny ośrodek rakiet V1 i V2 w Peenemünde na wyspie Uznam, a także wojenne kwatery Hitlera

eprasa.pl a8150e68df

z Wilczym Szańcem na czele. Na ironię losu może zakrawać fakt, że to właśnie tam Fritza Todta spotkała śmierć. 8 lutego 1942 r., wracając do domu po konferencji z Hitlerem, zginął w katastrofie lotniczej na lotnisku Kętrzyn-Wilamowo.

Organizacja Todta budzi dziś niemal wyłącznie złe skojarzenia – nie tylko ze względu na to, co budowała, ale przede wszystkim z powodu tego, w jaki sposób to robiła. Na początku zatrudniano w niej wyłącznie Niemców: mężczyzn niezdolnych do służby wojskowej i przedpoborowych, którzy mieli obowiązek pracy w OT. Jednak im bardziej rozkręcała się machina wojenna, tym chętniej korzystano z darmowej – niewolniczej – siły roboczej. W 1944 r. OT zatrudniała 340 tys. ludzi, ale oprócz nich na jej rzecz pracowało prawie 1,5 mln (!) jeńców wojennych, więźniów obozów koncentracyjnych i robotników przymusowych.

Fortyfikacje na Wyspach Normandzkich budowali właśnie robotnicy z OT. Na sąsiadującej z Jersey, opuszczonej przez mieszkańców wyspie Alderney powstały cztery obozy – dwa zarządzane przez Waffen-SS – dla robotników przymusowych. Byli wśród nich Hiszpanie, Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Czesi i Słowacy, Polacy i obywatele ZSRS: Rosjanie, Ukraińcy i Białorusini. Robotników sprowadzano nawet z Afryki Północnej: z Algierii i Maroka. – W muzeum na Jersey w zbiorach pamiątek zostawionych przez jeńców można znaleźć także polskie eksponaty, np. orzełka z wojskowej czapki – mówi Makowski.

Wyspa twierdza

Zadaniem robotników było przekształcenie maleńkich wysepek w festung – twierdzę nie do zdobycia. Ponoć sam Hitler zarządził, by 10 proc. stali i betonu przeznaczonych na budowę Wału Atlantyckiego skierowano na Wyspy Normandzkie. Nie dlatego, żeby miały one jakąś istotną wartość strategiczną; były ważne dla niemieckiej propagandy jako jedyny okupowany skrawek brytyjskiej ziemi.

Rozpoczęto więc budowę bunkrów, stanowisk baterii artyleryjskich, zapór przeciwpancernych, wież obserwacyjnych i wież kierowania ogniem. W skałach drążono tunele, rozkładano miny i kopano okopy. Plany były bogate. Jak pisał we wspomnieniach niemiecki gen. por. Hans Speidel, cytowany w pracy Ryszarda Żelichowskiego pt. „Modelowa okupacja hitlerowska Wielkiej Brytanii w II wojnie światowej", do lutego 1942 r. niewielkie Wyspy Normandzkie dostały „11 baterii nadbrzeżnych z 38 ciężkimi armatami, podczas gdy całe wybrzeże kontynentu o długości 600 mil między Dieppe a St. Nazaire miało porównywalną liczbę baterii z wszystkiego 37 armatami".

Po wojnie brytyjscy żołnierze będą je zrzucać z klifów prosto do morza. Osiemdziesiąt lat później wciąż tam będą, w tym samym miejscu. To jedno z ostatnich na świecie cmentarzysk artyleryjskich. – Dobrze je widać w czasie odpływu. Bywają atrakcją turystyczną. Można do nich dopłynąć pontonem – uśmiecha się Makowski.

Fortyfikacji nigdy zresztą nie dokończono. – Na Jersey zaplanowano dziewięć wież kierowania ogniem, a wybudowano zaledwie trzy – wylicza fotograf. Usytuowane dookoła wyspy wieże z dalmierzami miały ze sobą współpracować, podając koordynaty nadpływających okrętów. Do końca nie zbudowano też sieci imponujących tuneli. Część z nich służy dziś za magazyny, a najlepiej zachowany tunel, który miał być niemieckim szpitalem wojskowym, został przekształcony w muzeum okupacji. Dziwnej okupacji, która zyskała dwuznaczne miano „modelowej".



Brytyjskie dzieci z Wysp Normandzkich ewakuowane do Anglii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IMPERIAL WAR MUSEUMS

Jak w teatrze

Okupacja Wysp Normandzkich zaczęła się nieco teatralnie i w takim samym stylu się skończyła. Była jednak prawdziwa, naznaczona strachem, głodem, śmiercią, ludzką podłością i wielkością. Z polskiej perspektywy jednak niespecjalnie dolegliwą.

Kiedy 22 czerwca 1940 r. skapitulowała Francja, los wysp był przesądzony. Brytyjscy historycy twierdzą co prawda, że premier Winston Churchill chciał ich bronić, ale dał się przekonać, iż nie ma to sensu. Próba ich obrony pewnie i tak skończyłaby się fatalnie. Wyspy są maleńkie: największa, Jersey, ma 119 km kw. powierzchni, Guernsey trochę ponad 63 km kw., Alderney – niecałe 8 km kw., a Sark zaledwie 5 km kw. Trudno się na nich ukryć. Jedno tylko niemieckie bombardowanie, które 28 czerwca 1940 r. dotknęło Jersey i Guernsey, pochłonęło 44 ofiary.

W rezultacie 30 czerwca 1940 r. nieniepokojone przez nikogo samoloty Luftwaffe wylądowały na lotnisku na Guernsey. Niemców przywitał komendant miejscowej policji. Powiedział, że wyspa jest nieuzbrojona i otwarta na współpracę z administracją III Rzeszy. Jersey skapitulowała 1 lipca, Alderney 2 lipca, a Sark dwa dni później.

Przyjęcie Niemców na tej właśnie wysepce przeszło do legendy ze względu na swój nieco surrealistyczny charakter. Wyspa, która liczyła wtedy 600 mieszkańców, stanowiła historyczne lenno rodziny Collingsów. Pani na Sark, Sibyl Collings-Hathaway, była damą już dojrzałą, ze sporym życiowym doświadczeniem. Uznała, że okupantów trzeba traktować uprzejmie. Wyszła na molo, żeby powitać niemieckich żołnierzy, i zaprosiła ich do siebie na herbatę. Oficerowie ponoć od razu zrobili na niej dobre wrażenie, bo wchodząc do domu, wytarli buty.

Nie ją jedną zwiodła kurtuazja okupantów. „Moi znajomi z wysp, którzy wciąż pamiętają wojnę, wspominają, że Niemcy prezentowali się wspaniale: ubrani w nieskazitelne mundury,

eprasa.pl a8150e68df



Niemiecka wieża obserwacyjna na Jersey, fragment Wału Atlantyckiego
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MAN VYI

niebieskoocy blondyni, maszerujący w rytm wojskowej orkiestry. W dodatku w tej armii na wyspach roiło się od doktorów, filozofów i szlachetnie urodzonych" – mówił w 2017 r. w rozmowie z Anną Gwozdowską dla miesięcznika „Historia Do Rzeczy" John Nettles, historyk, który na Jersey spędził 10 lat. Dla BBC nakręcił potem trzyczęściowy dokument o niemieckiej okupacji wysp i napisał książkę pt. „Jewels and Jackboots. Hitler's British Channel Islands".

Czyżby nadzwyczajna uprzejmość Niemców mogła mieć związek z planami Hitlera? Według Makowskiego mieszkańcy wysp do dziś opowiadają, że Führerowi marzyło się przekształcenie Jersey w letni kurort dla obywateli III Rzeszy. Nawet jeśli faktycznie były takie plany, to niemiecka administracja wojskowa szybko pokazała wyspiarzom, kto tu rządzi. Na początek wydano rozporządzenie w 11 punktach: mieszkańcom zakazano wychodzenia z domu po godz. 23, spożywania alkoholu w miejscach publicznych i sprzedaży paliwa cywilom. Nie wolno było słuchać radia. Wszystkie pojazdy miały być skonfiskowane, podobnie jak większa część plonów i połowów.

Wykonanie rozporządzeń zostawiono lokalnym władzom, a te postanowiły lojalnie współpracować z okupantami.



Podpisanie aktu kapitulacji oddziałów niemieckich na Jersey i Guernsey FOT. IMPERIAL WAR MUSEUM

Swoją drogą, urzędnicy zostali do tego upoważnieni przez władze brytyjskie, które powierzyły im opiekę nad mieszkańcami wysp – mieli działać „w ich najlepszym interesie".

Ofiary czy kolaboranci

Uległa postawa wyspiarzy co najmniej od lat 90. XX w. jest w Wielkiej Brytanii tematem debat i sporów. Dyskusję zaczęła Madeleine Bunting, publicystka lewicowego dziennika „The Guardian", która w książce „The Model Occupation" („Modelowa okupacja") zarzuciła im kolaborację.

Wątpliwości budzi zwłaszcza postępowanie wobec Żydów. Na wyspach mieszkało zaledwie kilkudziesięciu Izraelitów, część zdołała się ewakuować przed okupacją. Niemcy już w 1940 r. zarządzili obowiązkową rejestrację osób pochodzenia żydowskiego. Wykonanie tego zadania również przypadło lokalnej administracji, a ta dość ochoczo wypełniała rozkazy, których celem było nękanie Żydów: nie mogli oni opuszczać miejsca zamieszkania, zakupy wolno im było robić tylko przez godzinę dziennie; najbogatszych pozbawiono majątków. Represje spadły także na tych współobywateli, którzy kiedyś służyli w brytyjskiej armii, i tych, którzy w jakikolwiek sposób podpadli okupantom. W rezultacie do Niemiec zostało deportowanych ponad 2 tys. osób, a jedną z nich był nawet małżonek tak miło przyjmującej Niemców pani na Sark. W 1943 r. Robert Hathaway został wywieziony do obozu internowania.

A to nie wszystko. Lokalni urzędnicy wydawali zarządzenia brzmiące dziś haniebnie: grozili śmiercią za przechowywanie angielskich szpiegów i ustanawiali nagrody za informacje o akcjach sabotażowych. Czy robili to z własnej inicjatywy czy – jak się potem tłumaczyli – wskutek niemieckiego szantażu? Trudno dziś dociec. Faktem jest, że po wojnie nikt nie został za nic pociągnięty do odpowiedzialności (choć Churchill miał podobno narzekać, że wyspiarze to tchórzliwi kolaboranci).

Żeby być uczciwym, trzeba wspomnieć o rachitycznym ruchu oporu, który

eprasa.pl a8150e68df

utworzyła garstka komunizującej młodzieży. W miejscach publicznych wypisywano literę V (symbol zwycięstwa), słuchano zakazanego radia i ukrywano zbiegów z obozów pracy.

Warto też pamiętać, że wyspy były nie tylko najbardziej ufortyfikowanym fragmentem wybrzeża, lecz także najbardziej zmilitaryzowanym: na Jersey jeden niemiecki żołnierz przypadał na trzech wyspiarzy, a na Guernsey stosunek ten wynosił niemal jeden do jednego.



Pomnik Wyzwolenia w Saint Peter Port na Guernsey FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MAN VYI

Niemcy mają zgnić

Pod koniec wojny nadszedł dla mieszkańców czas heroiczny. Po inwazji aliantów w Normandii w czerwcu 1944 r. Churchill ani myślał szafować życiem Brytyjczyków. W notatkach miał nawet zapisać, że Niemcom na Wyspach Normandzkich trzeba pozwolić zgnić.

Na wyspy przestało docierać zaopatrzenie, co dotknęło przecież nie tylko niemieckich żołnierzy. W efekcie zapanował głód. Żeby zdobyć cokolwiek do jedzenia, ludzie polowali nawet na mewy. Zabrakło gazu i elektryczności, a wodę do picia można było nabierać tylko o określonych godzinach. Męka trwała długo i skończyła się dopiero wraz z kapitulacją Niemiec 8 maja 1945 r. Tego samego dnia Churchill ogłosił przez radio: „Nasze drogie Wyspy Normandzkie zostaną dzisiaj również wyzwolone".

„Modelowa okupacja" zakończyła się także modelowo. Niemiecki garnizon poddał się 9 maja. Do portu w St. Peter na Guernsey przybił brytyjski okręt HMS „Bulldog", a na Jersey – HMS „Beagle". Kurtuazyjnie wymieniono honory wojskowe, a potem doszło do zmiany warty przed zamkiem Cornet na Guernsey. Wyspa Sark została przejęta 10 maja 1945 r., na Alderney Niemcy poddali się 16 maja 1945 r. Jeszcze później, bo 23 maja, broń złożyli żołnierze okupujący skalistą wysepkę Les Minquiers (10 kamiennych chałup). Ta kapitulacja też miała w sobie coś nierzeczywistego. Kiedy u wybrzeży wysepki zakotwiczył francuski kuter rybacki, do kapitana podszedł w pełni uzbrojony niemiecki żołnierz, który powiedział: „Brytyjczycy zapomnieli o nas, chyba nikt z Jersey nie poinformował ich o naszej obecności. Chcę, żebyś zabrał nas do Anglii. Chcemy się poddać". Dopiero 28 maja, trzy tygodnie po zakończeniu wojny w Europie, na maszt wciągnięto tu brytyjską flagę.

7 czerwca 1945 r. Jersey i Guernsey odwiedził król Jerzy VI, witany przez rozentuzjazmowane tłumy. Churchill, choć był zapraszany dwa razy – w latach 1947 i 1951 – nigdy się tu nie pojawił.

Techno w bunkrze

Po wojnie mieszkańcy wysp musieli nauczyć się żyć z pamięcią o czasach okupacji i oswoić poniemieckie budowle. I choć na początku chcieli się ich pozbyć, to okazało się to trudnym zadaniem.

Na cyplu La Corbière, gdzie stoi słynna latarnia morska o tej samej nazwie, Niemcy postawili wieżę kierowania ogniem i punkt oporu Corbière. W jego skład wchodziły bunkry typu insel, budowane wyłącznie na Wyspach Normandzkich, z uzbrojonymi w moździerz i karabiny maszynowe wieżyczkami na szczycie. W 1953 r. mieszkańcy chcieli pozbyć się choćby wieżyczki – próbowali wysadzić ją w powietrze. Eksplozja nie wyrządziła budowli większych szkód; stalowy korpus trzeba było pociąć na mniejsze fragmenty. Mieszkańcy dali sobie z tym spokój. Po latach wyremontowali wieżę kierowania ogniem: pokryli ją nowym dachem i dodali przeszklenia. Dziś obiekt jest chętnie odwiedzany przez turystów, bo zapewnia doskonały widok na południowo-zachodni kraniec Jersey.

Inną próbę podjął kilka lat temu deweloper, który postanowił zburzyć bunkier, gdzie znajdowała się kwatera główna. Sprowadził specjalne maszyny z Wielkiej Brytanii, dzięki którym skruszono twardy i gruby beton.

Z biegiem lat większość fortyfikacji wtopiła się w normandzki krajobraz. A ponieważ Niemcy stawiali je tam, gdzie chcieli, także na prywatnych posesjach, musiały zostać zaadaptowane do zwykłych celów. Zazwyczaj służą po prostu jako magazyny, ale niektóre zostały przeznaczone do bardziej wyrafinowanych zadań: gdzieś powstało przetwórstwo rybne, gdzie indziej kafejka, w jeszcze innym bunkrze uprawiano pieczarki. Część została włączona we współczesną zabudowę – bunkier stał się fragmentem domu, czasem piwniczką na wino, ktoś chciał przerobić go na bibliotekę. Czasem ktoś urządzi w bunkrze nielegalną imprezę techno – grube ściany świetnie tłumią dźwięk i chronią uczestników zabawy przed ingerencją władz.

Starsi co prawda wciąż uważają, że szare bloki są szkaradne i zakłócają pejzaż wschodnioatlantyckiego wybrzeża, ale dla młodych są już niezauważalne. – Tak jak dla mnie niedostrzegalny jest Pałac Kultury w Warszawie. Po prostu jest – mówi Jan Makowski.

Umocnienia, które miały być niezniszczalne, z biegiem lat nikną jednak pod piaskiem, niszczeją pod wpływem erozji i sztormów. To, co nie udało się ludziom, być może dokończy natura.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8150e68df



Vis – polska „dziewiątka”



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Gdyby ogłosić plebiscyt na 10 najsłynniejszych polskich konstrukcji militarnych, nie mogłoby w nim zabraknąć Visa. Ten pistolet stał się ikoną przedwojennej zbrojeniówki, która do dzisiaj jest przedmiotem narodowej dumy

„Warunkach technicznych na pistolety »VIS« wz. 35 kal. 9 mm”, wydanych przez Instytut Techniczny Uzbrojenia w Warszawie w 1937 r., zapisano: „Pistolet »Vis« jest bronią samopowtarzalną o zewnętrznym kurku, lufie ryglowanej i iglicy przerzutowej. Pistolet »Vis« przystosowany jest do nabojów syst. »Parabellum« kal. 9 mm. Magazynek mieści 8 nabojów. Po wystrzeleniu ostatniego naboju zamek pozostaje otwarty […]. Konstrukcja pistoletu umożliwia napinanie kurka przez potarcie o ubranie. Pistolet posiada urządzenie do ewentualnego użycia pistoletu łącznie z kolbą, która jednocześnie stanowić może pochwę pistoletu. Polowe rozkładanie pistoletu do czyszczenia nie wymaga żadnych przyrządów. Ciężar gotowego, nienasmarowanego pistoletu wraz z magazynkiem bez nabojów nie przekracza 1050 g”.

Ten suchy techniczny opis w najmniejszym stopniu nie oddaje zawiłej historii pistoletu opracowanego przed wojną dla Wojska Polskiego, a którego obecna wartość na rynku antykwarycznym przekracza 50 tys. zł. Skąd bierze się ta fascynacja visem, przecząca niekiedy zdrowemu rozsądkowi (zwłaszcza w aspekcie finansowym)? Przyczyny są rozmaite, ale fakt, że broń produkowano w Polsce przed 1939 r., jest znamienny. Ta symboliczna data oddziela świat niepodległej i mozolnie rozwijającej się II Rzeczypospolitej od katastrofy drugiej wojny światowej i powojennej komunistycznej beznadziei z jej wszechobecną tandetą. To oczywiście obraz skrajnie uproszczony, nieuwzględniający wielu niuansów (broń produkowana w PRL akurat z tandetą nie miała nic wspólnego). Ale jedna kwestia nie podlega dyskusji – zbudowanie, właściwie od zera, przemysłu zbrojeniowego oraz wykształcenie rodzimej kadry inżynierskiej w latach 1918–1939 było gigantycznym sukcesem biednego i zniszczonego wojną państwa. W 1939 r. armia wyruszyła na wojnę uzbrojona i wyposażona w sprzęt pochodzący głównie z polskich fabryk. Bronią boczną oficerów i podoficerów Wojska Polskiego był vis wz. 35.

Nasz wzór

Powstanie visa wynikało z zapotrzebowania na ujednolicony typ krótkiej broni palnej, mającej zastąpić mozaikę wzorów i kalibrów odziedziczonych po zaborcach lub kupionych „na pniu” w okresie walk o granice. Ich stan pozostawiał wiele do życzenia, a liczba była dalece niewystarczająca. Rodzimy przemysł nie produkował broni krótkiej, dlatego do konkursu ogłoszonego przez Ministerstwo Spraw Wojskowych stanęli wyłącznie zagraniczni kontrahenci. Najbardziej perspektywiczny wydawał się belgijski pistolet 13-strzałowy skonstruowany przez Dieudonné'a Saive'a z belgijskiej Fabrique Nationale d'Armes de Guerre (broń stała się wkrótce znana na całym świecie pod nazwą Browning High Power), który w 1929 r. uzyskał rekomendację Komitetu do spraw Uzbrojenia i Sprzętu.

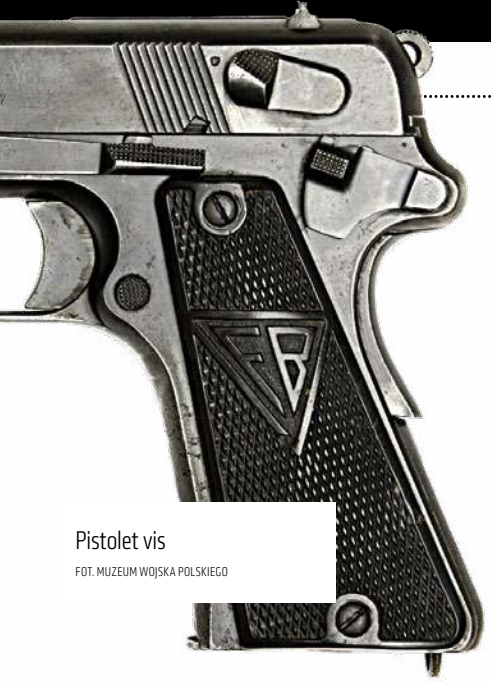
Gdy kwestia przyjęcia do uzbrojenia pistoletu z Fabrique Nationale wydawała się przesądzona, do rywalizacji stanął Piotr Wilniewczyc, pracownik Państwowych Wytwórni Uzbrojenia (PWU), ekspert balistyczny i doradca w zakresie konstrukcji broni. Według jego publikowanej relacji zaproponował dyrektorowi technicznemu PWU przygotowanie projektu rodzimego pistoletu: „Nasze zakłady niewątpliwie potrafią dobrze zrobić pistolet, i to bez obcych licencji, a oprócz tego wierzę, że potrafimy nawet zaprojektować pistolet, jeżeli nie najlepszy, to w każdym razie lepszy od tego, który nam proponują. […] powołamy się na to, że nad pistoletem pracujemy od dawna, że ponieśliśmy koszty i prosimy o odłożenie podpisania umowy, dopóki nie przedstawimy naszego wzoru celem przeprowadzenia prób porównawczych”.

Wojsko skwapliwie skorzystało z propozycji, zwłaszcza że w grę wchodził czynnik finansowy (kosztowny zakup zagranicznej licencji). Do prac nad pistoletem włączył się wówczas Jan Skrzypiński,



Żołnierz broni pancernych z visem FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

eprasa.pl a8150e68df



Pistolet vis
FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

technolog uzbrojenia i dyrektor warszawskiej Fabryki Karabinów.

Amerykańska inspiracja

Rodzimą konstrukcję oparto na pistolecie samopowtarzalnym Colt M1911 (Colt Automatic Pistol M1911), ale zamiast naboju 0,45 cala (11,43 mm) wybrano popularną w Europie „dziewiątkę", czyli amunicję 9 x 19 mm Parabellum. Amerykańska „jedenastka", dzieło genialnego Johna Mosesa Browninga, zawierała w sobie wiele przełomowych rozwiązań, które stosowane są w broni krótkiej do dzisiaj.

Z amerykańskiego pistoletu polscy inżynierowie zaadaptowali przede wszystkim sposób ryglowania. Ale zamiast ruchomego łącznika złączonego z lufą za pomocą osi zastosowali integralny profilowany występ u spodu komory nabojowej, który wchodził do wyprofilowanego gniazda w szkielecie. Okazało się to prostsze i równie niezawodne, a dodatkowo zwiększyło celność. Mechanizmy spustowy i uderzeniowy były w zasadzie skopiowane z „jedenastki", podobnie jak chwytowy bezpiecznik.

Dobrym rozwiązaniem zastosowanym przez polskich konstruktorów było integralne łożysko lufy, które zmniejszało liczbę części i ułatwiało rozkładanie broni, a ponadto wpływało dodatnio na jej osadzenie i przez to większą precyzję strzału. Chwyt zaopatrzono w gniazdo do drewnianej kolbokabury. W ostatecznej, seryjnej wersji wprowadzono bardzo pomysłowy mechanizm służący do bezpiecznego zwalniania napiętego kurka. Z lewej strony zamka osadzono skrzydełko, które było sprzęgnięte z umieszczonym wewnątrz dwuramiennym trzpieniem. Nacisk na skrzydełko powodował, że jedno z ramion działało na iglicę i wsuwało ją do kanału iglicznego, drugie natomiast za pośrednictwem przerywacza zwalniało zaczep i powodowało opadnięcie kurka (iglica była już wówczas schowana). Był to pierwszy na świecie zwalniacz kurka użyty w pistolecie wojskowym.

Polskie orły

15 stycznia 1931 r. konstruktorzy pistoletu zgłosili wniosek do Urzędu Patentowego, zawierający rysunek oraz założenia patentowe, natomiast w lutym gotowy był prototypowy egzemplarz, wykonany w Biurze Studiów FK, który niezwłocznie poddano testom. Do lata 1931 r. przeprowadzono pierwsze próby w Instytucie Badań Materiałów Uzbrojenia w Zielonce, które potwierdziły, że vis jest bardzo perspektywiczny. Szef Departamentu Uzbrojenia płk Mieczysław Maciejowski w notatce skierowanej do Szefa Sztabu Głównego konkludował: „Rezultaty osiągnięte przy próbach kwalifikują go zasadniczo do wprowadzenia na uzbrojenie mimo nieusunięcia dotychczasowych pewnych drugorzędnych wad. Przygotowanie się P.W.U. i uruchomienie produkcji pistoletów uważam za sprawę bardzo pilną, gdyż chociaż w najbliższych latach nie posiadam na ten cel kredytów, to jednak P.W.U. znalazłyby zatrudnienie, wykonując zamówienie dla innych instytucji państwowych, które zakup pistoletów chciałyby już obecnie przeprowadzić. Mam tutaj na myśli Policję Państwową, Ministerstwo Poczt i Telegrafów, Straż Więzienną, Straż Celną i inne […]. Uruchomienie produkcji przez P.W.U. umożliwi nam wydanie, w razie potrzeby, w każdej chwili większego zamówienia i zaopatrzenia w kraju armji w broń krótką, z drugiej zaś strony przy wyrabianiu pistoletów na zamówienie instytucji niewojskowych zostaną ostatecznie usunięte stwierdzone jeszcze wady. Z tego też względu proszę Pana Generała o wniesienie na posiedzenie K.S.U.S. sprawy wprowadzenia na uzbrojenie armji 9 m/m pistoletu »Vis«". Broń była celna i wygodna w użyciu, chwalono także przyrządy celownicze o prostokątnym przekroju (standardem były trójkątne). Zastrzeżenia budził jednakże zwalniacz kurka, do którego operowania potrzeba było użyć obu rąk. Na takie rozwiązanie nie zgodził się przedstawiciel Departamentu Kawalerii, który słusznie argumentował, że dla powodującego koniem kawalerzysty jest ono całkowicie nieprzydatne. Problem ten postanowiono rozwiązać w toku dalszych prac.

8 lutego 1932 r. pistolet otrzymał polski patent nr 15567, a 28 lutego na konferencji Ministerstwa Spraw Wojskowych zapadła decyzja o przyjęciu do uzbrojenia automatycznego pistoletu 8-strzałowego vis kal. 9 mm konstrukcji PWU. Wkrótce potem do Fabryki Broni w Radomiu wysłano oficjalne zamówienie na partię próbną. W ciągu kolejnych lat trwały intensywne testy, które zaowocowały wieloma mniej lub więcej istotnymi zmianami. 5 września 1935 r. szef Departamentu Uzbrojenia zarządził uruchomienie produkcji seryjnej ostatecznej, dopracowanej wersji visa. Ruszyła ona w 1936 r. Broń składała się z 53 części; poza lufą i żerdzią urządzenia powrotnego wszystkie były oksydowane. Z lewej strony zamka znajdowały się napis: F.B. RADOM, rok produkcji, orzeł państwowy, VIS-wz.35 pat. Nr.15567. Ebonitowe okładki chwytu produkowano w warszawskiej Wytwórni Wyrobów Prasowanych Elektro i Radiotechnicznych Żywica, a magazynki w Fabryce Karabinów.

Wciąż dyskutowaną kwestią pozostaje dokładna liczba wyprodukowanych do września 1939 r. pistoletów. To znaczy takich, które przeszły wszystkie próby, zostały złożone z części o jednakowych numerach i posiadają oznaczenia polskiego rzeczoznawcy. Można ją szacować na minimum 47 tys. sztuk. Choć w porównaniu z ok. 320 tys. visów wyprodukowanych przez Niemców w czasie okupacji oryginalne przedwojenne egzemplarze, określane na kolekcjonerskim rynku „polskimi orłami" (z racji godła państwowego umieszczanego na zamku) sięgają niekiedy zawrotnych cen. Cóż, ta niepowtarzalna polska jakość…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8150e68df



Trzecia z lewej bateria AA, wprowadzona na rynek w 1907 r., oficjalnie standaryzowana w 1947 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LEAD HOLDER

XX w. / Marsz ku ujednoliceniu

Złoty standard



Tymoteusz Pawłowski

Wprowadzenie jednolitych norm, pozwalających skuteczniej korzystać z posiadanych zasobów – chociażby wtyczek elektrycznych – ma dość krótką historię. Jednak próby standaryzacji pojawiały się dużo wcześniej, w zupełnie nieoczekiwanych sytuacjach

Jak zostać wielkim władcą? To bardzo proste. Niemal wszyscy królowie nagrodzeni przydomkiem Wielki robili jedno: ujednolicali miary i wagi. Łokcie różnej długości bynajmniej nie sprawiały kłopotu kupcom bławatnym, a wręcz przeciwnie: ułatwiały im oszustwa podatkowe. Ujednolicenie miar i wag było tym samym, co współczesne zamknięcie dziury VAT-owskiej, czyli zwiększało dochody państwa, umożliwiając – np. królowi Kazimierzowi – przebudowanie Polski z drewnianej na murowaną.

Takie standaryzacje przeprowadzano od dawna – jak się zdaje, pierwszą zrealizowano 4 tys. lat temu w dolinie Indusu – ale skuteczne okazały się dopiero te wykorzystujące system metryczny. Choć jego fundamenty zaczęto budować w 1791 r., to w naszej części Europy zyskał on popularność dopiero w latach 70. XIX w., a jedynym obowiązującym stał się tuż po pierwszej wojnie światowej. Przez blisko pół wieku stosowano obok siebie dwa systemy miar: tradycyjny – dla wygody zwykłych ludzi i metryczny – dla inżynierów.

Ci ostatni domagali się standaryzacji, odkąd tylko pojawili się na świecie, czyli od połowy XVIII w., gdy rewolucja przemysłowa nabrała tempa. Do tamtej pory narzędzia – takie jak garnki, muszkiety, kotły parowe – wykonywali rzemieślnicy w pojedynczych egzemplarzach. Drobne różnice wymiarowe nie miały więc znaczenia. Gdy jednak rewolucja przemysłowa zastąpiła rzemieślników inżynierami i wprowadziła produkcję seryjną, drobne różnice wymiarowe zaczęły być istotne. Wciąż jednak daleko było do doskonałości. Co prawda, podzespoły lokomotyw i karabinów wykonywano seryjnie, ale ich dopasowanie następowało ręcznie, za pomocą dłuta i pilnika. Współcześnie możemy wymieniać zamki pomiędzy karabinami czy gaźniki pomiędzy silnikami tego samego typu – w XIX w. było to niemożliwe.

Zmieniło się to w latach 70. XIX w., wraz z nawiązaniem bliższych międzynarodowych kontaktów handlowych, związanych głównie z przemysłem zbrojeniowym. Francuzi kupowali za granicą olbrzymie ilości amunicji w czasie przegranej wojny z Prusami (1870–1871) i musiała ona pasować do ich karabinów, więc potencjalni sprzedawcy musieli przyjąć francuskie standardy metryczne. Dalej poszło jak z płatka...

Sedesy i paluszki

Jeśli w poprzednich akapitach było zbyt dużo o muszkietach, karabinach i amunicji, to nie dlatego, że autor jest militarystą, tylko dlatego, że standaryza-

eprasa.pl a8150e68df



Czułość kliszy do aparatów wyznaczała norma DIN

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES OF NORWAY

cja ma militarne korzenie. Wiele współczesnych standardów – chociażby format papieru do drukarki czy kolory kabli elektrycznych – ma oznaczenie DIN. Skrót ten pochodzi od Deutsches Institut für Normung, instytucji powstałej w 1917 r., aby ujednolicić produkcję pistoletów Mauser, gdy Niemcy przegrywali kolejną wojnę z Francją.

Cywile również standaryzowali, choć nie z taką determinacją jak wojskowi. Stąd też w domach mamy rury różnych wymiarów, wtyczki różnych kształtów, a nawet różne sedesy: „warszawski" z odpływem w dół i „poznański" z odpływem w tył. Mechanicy z kolei muszą borykać się z narzędziami o różnych wymiarach i różnych metodach pracy, chociażby wkrętakami – popularnie, ale błędnie nazywanymi śrubokrętami – płaskimi i krzyżakowymi. Częściowo problem wynika z nieprzyjęcia przez Amerykanów systemu metrycznego, a częściowo z chciwości – z braku lepszego słowa – producentów.

Chciwość producentów oraz brak determinacji cywilów najłatwiej można zaobserwować na przykładzie baterii elektrycznych. W 1907 r. amerykańska firma The American Ever Ready Company wprowadziła do sprzedaży baterię zwaną w Polsce „paluszkiem". Konkurencja jednak nie zasypiała gruszek w popiele i zaproponowała inne rozwiązania, o nieco innych wymiarach. Po kilkudziesięciu latach okazało się jednak, że producenci latarek wybrali „paluszki" firmy Ever Ready i stopniowo różne państwa uznały to za standard. Widać to po oznaczeniach „paluszków": w USA 15D, w Japonii UM-3, w Europie R6. Do niedawna była to w Polsce najpopularniejsza nazwa, ale w końcu została wyparta przez amerykańskie oznaczenie AA.

To nazwa zwyczajowa, nikt jej nie standaryzował, ale wszyscy jej używają, co świadczy o atrakcyjności amerykańskiej kultury technicznej. Ta atrakcyjność stanowi w Europie pewien problem, ponieważ do metrycznego porządku wprowadza amerykański chaos, związany nie tylko z tzw. imperialnym systemem miar, lecz także z amerykańskimi przyzwyczajeniami, np. sympatią do krzyżakowych wkrętaków i ćwierćfunciaków z serem. Amerykańską atrakcyjność powiększa jeszcze militarna słabość Europy.

Normy cywilne i wojskowe

Bateria AA została oficjalnie standaryzowana w 1947 r., co – wbrew pozorom – miało militarny charakter. Po przegranej wojnie – warto sobie uświadomić, że wszystkie państwa europejskie przegrały tę wojnę w ten czy inny sposób – nasz kontynent był słaby i bezbronny. Amerykanie przyszli Europie z pomocą, najpierw realizowała ją UNRAA, później zaproponowali plan Marshalla oraz zorganizowanie wspólnego sojuszu wojskowego NATO, skupiającego państwa leżące po dwóch stronach północnego Atlantyku. Niestety, komuniści rządzący w Polsce odrzucili plan Marshalla, a naszym sojusznikiem została Moskwa.

O ile Moskwa narzuciła swoim „sojusznikom" ścisłe rosyjskie standardy – z których, warto dodać, dziś niewiele zostało – o tyle Amerykanie postąpili o wiele bardziej demokratycznie czy raczej pluralistycznie. Dążono do standaryzacji, ale przede wszystkim na płaszczyźnie komunikacyjnej, tak by można było się porozumieć. Kwestie techniczne były drugorzędne i tak chociaż w 1954 r. wybrano wspólny karabinowy nabój NATO, to nie było i nie ma obowiązku używania go. Od tamtej pory podjęto blisko 1,5 tys. takich decyzji standaryzacyjnych, ale ich implementacja z reguły nie jest obowiązkowa. Nazywa się je „stanagami", co jest skrótem od „standardization agreement", czyli „porozumieniami standaryzacyjnymi" dotyczącymi – dajmy na to – stopni wojskowych.



Nabój karabinowy NATO 7,62 x 51

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUNICION.ORG

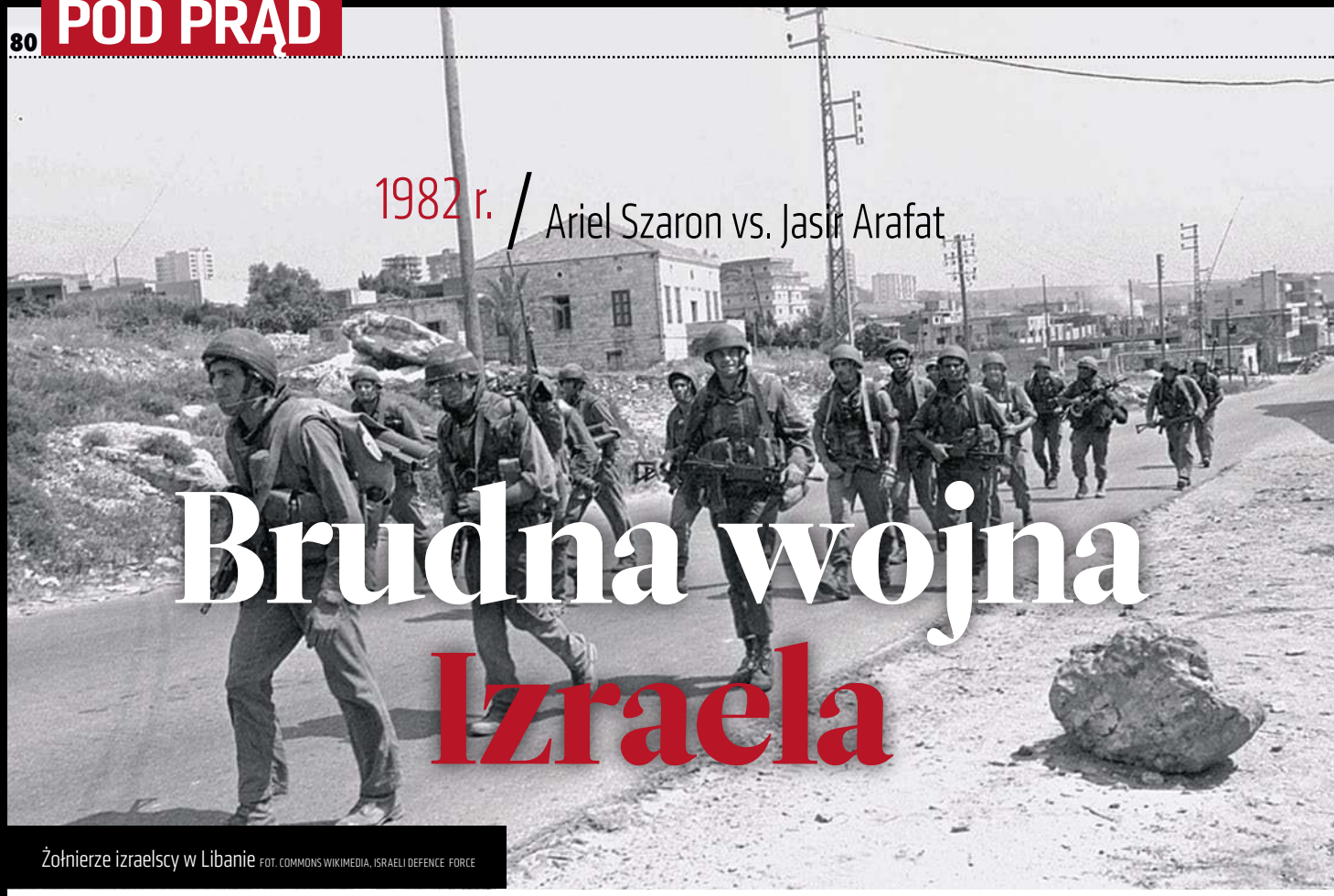
Ile standardów wprowadziła Unia Europejska? Nie sposób tego policzyć. Z punktu widzenia mieszkańca Europy można je jednak podzielić na kilka kategorii: ważne, niezbyt ważne i szkodliwe. Szkodliwe są przede wszystkim te dotyczące przelewania z pustego w próżne, jak choćby Europejskie Standardy Sprawozdawczości Zrównoważonego Rozwoju, ułatwiające życie biurokratom, a zwykłym ludziom rzucające kłody pod nogi. Niezbyt ważne są te regulujące rzeczy niepotrzebne, np. kształt bananów, warto jednak pamiętać, że mają one przede wszystkim wymiar podatkowy. Najważniejsze – z punktu widzenia szarego człowieka – są te, które dotyczą namacalnych spraw, takich jak skład produktów spożywczych.

Innym przykładem takiej korzystnej standaryzacji jest ta dotycząca kształtu wtyczek elektrycznych zasilających smartfony. Jeszcze nie tak dawno temu w naszych domach były całe hordy zasilaczy i olbrzymie kłębowiska kabli. Dzisiaj wszystko – lub prawie wszystko – można napędzić poprzez złącze USB lub USB-C (Universal Serial Bus, czyli uniwersalna magistrala szeregowa). Powstało ono w latach 90. XX w., a jego istnienie utrudniało wielu firmom zarabianie pieniędzy: chodziło bowiem o to, by konsument musiał kupować specjalistyczne wyposażenie przeznaczone dla tylko jednego produktu. Warto pamiętać, że filozofia standardów Unii Europejskiej plasuje się pomiędzy rozwiązaniem NATO-wskim a sowieckim: ich przestrzeganie nie jest obowiązkowe, ale kto ich nie przestrzega, ten nie zarobi.

Standaryzacja jest jednym z fundamentów współczesnego świata. Możemy śmiać się z krzywizny bananów i różnych modeli sedesów, ale nasze domy i nasze maszyny są zbudowane ze znormalizowanych elementów. Uczymy się standardowego języka angielskiego, leczymy standardowymi lekami i używamy standardowych żarówek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8150e68df



1982 r. / Ariel Szaron vs. Jasir Arafat

Brudna wojna Izraela

Żołnierze izraelscy w Libanie FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ISRAELI DEFENCE FORCE



Piotr Zychowicz

Inwazja na Liban miała być spacerkiem, a okazała się bagnem. Najbardziej hańbiącym wydarzeniem wojny była masakra w obozach Sabra i Szatila

To był jeden z największych triumfów Izraela. Tak przynajmniej mogło się wydawać 23 sierpniu 1982 r. Tego dnia rozpoczęła się upokarzająca ewakuacja Organizacji Wyzwolenia Palestyny z Bejrutu. Na pokładach statków eskortowanych przez Amerykanów tysiące palestyńskich bojowników opuściły Liban.

Był to skutek spektakularnego zwycięstwa izraelskiej machiny wojennej kierowanej przez ministra obrony gen. Ariela Szarona. Żydzi w błyskawicznej kampanii zajęli południowy Liban, rozbili oddziały OWP i pobili Syryjczyków.

Następnie rozpoczęli regularne oblężenie Bejrutu, w którym znajdowała się kwatera główna OWP. Kierownictwo palestyńskiej organizacji skapitulowało i przeniosło się do Tunezji. Legenda mówi, że gdy Arafat wchodził na statek, izraelski snajper miał go na celowniku. Rozkaz naciśnięcia spustu jednak nie nadszedł...

W wyniku tej wojny Izraelowi udało się usunąć zagrożenie, którym było opanowanie południowego Libanu przez OWP. Na tym jednak sukcesy Szarona się skończyły. Po raz kolejny w historii wojen okazało się, że prawdziwe kłopoty zaczynają się po zwycięstwie.

Sprawy z każdym dniem i z każdą godziną coraz bardziej wymykały się Izraelczykom z rąk. Szaron był przekonany, że w Libanie pozostały 2–3 tys. „terrorystów" z OWP, którzy ukrywają się w obozach palestyńskich uchodźców na terenie Bejrutu i w każdej chwili są gotowi do wznowienia wojny z syjonistami.

Falanga

Izraelski generał postanowił więc dokończyć robotę. Chcąc uniknąć strat wśród swych żołnierzy, do „oczyszczenia" obozów użył maronickiej Falangi, czyli chrześcijańskiej bojówki sprzymierzonej z Izraelczykami. Podczas spotkania z jej dowódcą nakazał mu wybicie wszystkich terrorystów. „Nie można pozostawić ani jednego" – powiedział.

Izraelscy generałowie doskonale zdawali sobie sprawę, że maronici palą się do odwetu za śmierć swojego przywódcy – Baszira Dżumajjila. Został on wysadzony w powietrze przez syryjskiego agenta. Jak przyznał później gen. Ejtan, w oczach oficerów Falangi dostrzegł niepowstrzymaną żądzę mordu.

Dla wszystkich było jasne, że wpuszczenie uzbrojonych chrześcijańskich bojówkarzy do obozów skończy się tra-

eprasa.pl a8150e68df



Pomnik ofiar masakry w obozach w Sabrze i Szatili w Bejrucie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BERTRAMZ

gedią. Mimo to dowództwo Izraelskich Sił Obronnych nie zrezygnowało z tego planu.

16 września Izraelczycy przepuścili falangistów przez swoje linie i wprowadzili ich do dwóch bejruckich obozów: Sabra i Szatila. Część bojowników została przywieziona na miejsce izraelskimi dżipami i otrzymała izraelską broń. Izraelczycy wystrzelili też w powietrze jaskrawe flary, aby oświetlić obozy i ułatwić maronitom operację. To, co wydarzyło się w kolejnych godzinach, przeszło do historii jako jedna z najbardziej drastycznych masakr w najnowszych dziejach Bliskiego Wschodu.

Oczywiście okazało się, że w obozach nie ma żadnych bojowników OWP. Byli tylko bezbronni cywile... Bojówkarze Falangi chodzili od domu do domu, bezwzględnie mordując każdego napotkanego człowieka. Palestyńczycy byli rozstrzeliwani, rozrywani granatami, zarzynani bagnetami. Falangiści gwałcili kobiety, a głowy noworodków miażdżyli ciężkimi wojskowymi butami.

„Jeden z członków komanda miał siekierę – relacjonowała 25-letnia Leila. – Powiedziałam do niego:

– To jest mój ojciec. Ma sześćdziesiąt lat. Nie zabijajcie go. Co on wam zrobił?

– Zamknij się, suko. Jeszcze słowo i cię zgwałcimy, a potem zabijemy – odpowiedział.

Zabili ojca na moich oczach. Moja siostra podbiegła do niego, krzycząc: – Ojcze, ojcze! Dlaczego go zabiliście?!

Zastrzelili ją na miejscu. Jeden z nich zapytał:

– To był chłopiec czy dziewczyna? Myśleliśmy, że to był chłopiec. Miała siedemnaście lat. Próbowali zdjąć złoto z jej rąk, ale nie zdołali tego zrobić i jeden z nich porąbał jej rękę na kawałki siekierą. Odcięli jej palce, żeby zabrać pierścionki. Wyrwali jej kolczyki, zerwali dwa naszyjniki i ukradli 200 lir z kieszeni. Po tym, gdy zamordowali mojego ojca siekierą, uklękłam na ziemi, żeby przyłączyć odciętą część czaszki do reszty głowy".

Wstrząs

Ludziom, którym udało się wejść do obozów po masakrze, ukazał się makabryczny widok. Oto fragment relacji amerykańskiej dziennikarki Janet Lee Stevens:

„Widziałam martwe kobiety ze spódnicami podciągniętymi do pasa i rozłożonymi nogami. Dziesiątki młodych mężczyzn rozstrzelanych pod ścianą. Dzieci z poderżniętymi gardłami, ciężarną kobietę z rozciętym brzuchem, wciąż szeroko otwartymi oczami i poczerniałą twarzą wykrzywioną w grymasie przerażenia. Niezliczone niemowlęta i małe dzieci, które zostały zadźgane nożami lub rozerwane na strzępy. Ich ciała wyrzucono na stosy śmieci".

Izraelskie wojsko – mimo że wiedziało, co się dzieje – nie reagowało. Mało tego, okrążyło oba obozy, aby ludność cywilna nie mogła się wydostać z krwawego kotła. Po rzezi Izraelczycy dostarczyli buldożery, za pomocą których maronici zagrzebali część ciał. Ocenia się, że w masakrze śmierć poniosło od 700 do 3,5 tys. ludzi.

Rzeź wstrząsnęła izraelskim społeczeństwem. Na ulice Tel Awiwu wyszło 400 tys. ludzi, głównie zwolenników pacyfistycznego ruchu Pokój Teraz. Był to pierwszy taki wypadek w dziejach Izraela. Do tej pory społeczeństwo stało murem za swoją armią i popierało wszystkie wojny. Pod presją opinii publicznej powołana została komisja śledcza pod kierownictwem sędziego Icchaka Kahana. Jej członkowie doszli do wniosku, że Ariel Szaron dopuścił się poważnych zaniedbań, a co za tym idzie – jest współodpowiedzialny za masakrę.

W tej sytuacji premier Menachem Begin nie miał wyboru i musiał ukarać generała. Kara była jednak symboliczna. Odebrał mu resort obrony, ale... pozostawił w rządzie jako ministra bez teki. Jak się miało okazać, rzeź w obozach Sabra i Szatila nie złamała kariery Ariela Szarona. Przeciwnie, generał został później premierem Izraela.

Plan Szarona

Intencje, którymi kierował się Szaron, wpuszczając maronitów do obozów, do dziś wzbudzają namiętne dyskusje wśród historyków. Komentatorzy nieprzychylni generałowi uważają, że z premedytacją doprowadził do masakry. Rzeź w Sabrze i Szatili miała skłonić palestyńskich uchodźców z Libanu do panicznej ucieczki do Jordanii. Komentatorzy przychylni Szaronowi uznają takie oskarżenia za teorię spiskową.

Jak było w rzeczywistości – nie dowiemy się nigdy. Wiadomo natomiast, że Szabra i Szatila były tylko początkiem kłopotów. Osłabiony w wyniku wojny Liban stał się wasalem Syrii, a miejsce OWP w południowym Libanie zajął szyicki Hezbollah.

Wojna, która miała się skończyć błyskawicznie, ciągnęła się... trzy lata. Ostatni izraelscy żołnierze wycofali się z Libanu (nie licząc wykrojonej na pograniczu „strefy bezpieczeństwa") w czerwcu 1985 r.

Dla Izraelczyków był to koszmar. Strzały zza węgła, miny, bomby, pułapki. Mimo stosowania brutalnych metod antypartyzanckich i represji wymierzonych w ludność cywilną Izraelskie Siły Obronne nie potrafiły sobie poradzić z asymetrycznym przeciwnikiem. Konflikt szybko został okrzyknięty „bliskowschodnim Wietnamem" i brudną wojną Izraela. Taktycznym zwycięstwem, ale strategiczną porażką.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8150e68df

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

URODZONY W 1921 ROKU W WARSZAWIE WOJCIECH ROSTAFIŃSKI BYŁ SYNEM PROFESORA JANA ROSTAFIŃSKIEGO – ZOOTECHNIKA I AGRONOMA ORAZ WNUKIEM PROFESORA JÓZEFA ROSTAFIŃSKIEGO – PREKURSORA FLORYSTYKI. OTRZYMAŁ ZATEM, PODOBNIE JAK RODZEŃSTWO, WSZECHSTRONNE WYKSZTAŁCENIE. PRZED WOJNĄ NALEŻAŁ DO HARCERSTWA, A W CZASIE OKUPACJI, PODOBNIE JAK BRAT I SIOSTRA, WSTĄPIŁ DO ARMII KRAJOWEJ. JEDNAK PEWNEGO DNIA...



JAN ROSTAFIŃSKI TRAFIŁ DO OBOZU W STUTTHOFIE, NATOMIAST JEGO ŻONA I CÓRKA ANNA DO OBOZU W RAVENSBRÜCK, A PÓŹNIEJ W BUCHENWALDZIE. CAŁA TRÓJKA PRZEŻYŁA WOJNĘ. WOJCIECH UNIKNĄŁ ARESZTOWANIA I CORAZ MOCNIEJ ANGAŻOWAŁ SIĘ W DZIAŁALNOŚĆ PODZIEMNĄ. POD KONIEC 1942 ROKU UKOŃCZYŁ KONSPIRACYJNĄ SZKOŁĘ PODCHORĄŻYCH. BĘDĄC W ODDZIALE DYWERSJI BOJOWEJ ZAJMOWAŁ SIĘ, MIĘDZY INNYMI LIKWIDACJĄ FUNKCJONARIUSZY SS.



W MOMENCIE WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO BYŁ CZŁONKIEM PLUTONU „RYGIEL". OSTATECZNIE ZOSTAŁ JEGO DOWÓDCĄ, A W UZNANIU ZASŁUG AWANSOWANO GO NA PODPORUCZNIKA. ZOSTAŁ TAKŻE ODZNACZONY KRZYŻEM WALECZNYCH ORAZ ORDEREM VIRTUTI MILITARI (V KL.). TRAFIŁ JEDNAK DO NIEMIECKIEJ NIEWOLI, Z KTÓREJ UWOLNILI GO ŻOŁNIERZE AMERYKAŃSCY.



WE FRANCJI WSTĄPIŁ DO POLSKIEGO WOJSKA, DZIĘKI CZEMU PO ZAKOŃCZENIU WOJNY OTRZYMAŁ STYPENDIUM 2. KORPUSU POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH WE WŁOSZECH I ROZPOCZĄŁ STUDIA W LOUVAIN W BELGII. W 1953 ROKU WRAZ Z ŻONĄ I DZIECKIEM WYJECHAŁ DO STANÓW ZJEDNOCZONYCH. TAM ZATRUDNIONO GO W NASA PRZY RUSZAJĄCYM PROGRAMIE KOSMICZNYM MAJĄCYM NA CELU LOT NA KSIĘŻYC.

ROSTAFIŃSKI ODPOWIADAŁ MIĘDZY INNYMI ZA KONSTRUKCJĘ BARDZO WYDAJNYCH POMP DOSTARCZAJĄCYCH W ODPOWIEDNICH PROPORCJACH MIESZANKĘ CIEKŁEGO WODORU I CIEKŁEGO TLENU. W NASA PRACOWAŁ PRZEZ 33 LATA.





PRZEBYWAJĄC NA EMIGRACJI ANGAŻOWAŁ SIĘ W DZIAŁALNOŚĆ POLONII, PROWADZIŁ SZKOŁĘ POLSKĄ W CLEVELAND. DLA RADIA GŁOS AMERYKI PRZYGOTOWYWAŁ AUDYCJE POŚWIĘCONE ODKRYWANIU KOSMOSU. BRAŁ TEŻ UDZIAŁ W MANIFESTACJACH POLONIJNYCH PRZECIWKO WPROWADZENIU W POLSCE STANU WOJENNEGO.

ZA SWOJĄ DZIAŁALNOŚĆ OTRZYMAŁ W 1993 ROKU W AMBASADZIE POLSKIEJ W WASZYNGTONIE ORDER ODRODZENIA POLSKI, NATOMIAST W 1998 ROKU ORDER ZASŁUGI RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ. WOJCIECH ROSTAFIŃSKI ZMARŁ W 2002 ROKU.

eprasa.pl a8150e68df

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA JACEK KOMUDA: „UPADEK. JAK STRACILIŚMY PIERWSZĄ RZECZPOSPOLITĄ"

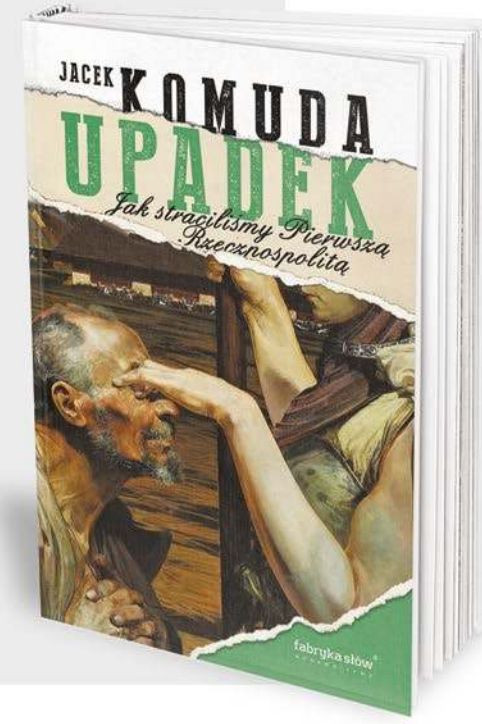
Upadek. Jak straciliśmy Pierwszą Rzeczpospolitą

W roku 1618 I Rzeczpospolita szlachecka Obojga Narodów osiągnęła szczyt swej potęgi.

Jej terytorium zajmowało ponad milion kilometrów kwadratowych, rozciągało się miedzy dwoma morzami i było istnym tyglem kulturowym. Do końca XVIII wieku ten kolos całkowicie znikł z mapy Europy. Znikła nie tylko pamięć o Rzeczypospolitej, ale nawet jej nazwa.

Jak doszło do tego, że tak wielkie, dumne i potężne państwo przestało istnieć?

Oto opowieść o tym, jak Rzeczpospolita zadziwiająca świat swoimi wolnościami, kulturą i potęgą, sławna z wielkich królów, nieustraszonych hetmanów i skrzydlatych husarzy - została roztrwoniona przez swoich dumnych Obywateli.



167 zł

oszczędność 60 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a8150e68df

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

Inwestuj w wolność!
Kup akcje Do Rzeczy S.A.

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

„Kapitał wygrał wolność słowa w USA. W Polsce zrobimy to samo.”



Łukasz Warzecha
PUBLICYSTA
TYGODNIKA „DO RZECZY”



Do Rzeczy S.A.
– LIDER KONSERWATYWNO - LIBERALNEGO RYNKU WYDAWNICZEGO W POLSCE W DRODZE NA **New/Connect (GPW)**

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka”). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom maklerski INC S.A.

eprasa.pl a8150e68df